LUDZIE

Krótka historia o tym, jak sp**ie**przyliśmy wszystko

TOM PHILLIPS

ALBATROS

EKSCYTUJĄCA PODRÓŻ PRZEZ
NAJBARDZIEJ SPEKTAKULARNE PORAŻKI
W HISTORII LUDZKOŚCI!

Od 70 tysięcy lat, od kiedy *Homo sapiens* chodzi po Ziemi, przebyliśmy długą drogę. Zaczęło się od koła garncarskiego, a skończyło na ultraszybkim porsche. Kultura, przemysł, technologia – to wielkie zdobycze ludzkości, które postawiły nas na szczycie łańcucha pokarmowego. Ale po drodze… udawało się nam czasem coś wybitnie spieprzyć.

I o tym właśnie jest ta książka. To zbiór ciekawostek, o których nie mieliście pojęcia, podanych lekko i z humorem. Od pijanej w sztok armii austriackiej, która przypuściła atak na samą siebie, do supermocarstwa, które wybrało na prezydenta gospodarza telewizyjnego reality show… Od Montezumy, który nie oparł się Cortésowi, do egipskiego króla, który postanowił obrabować Churchilla…

Fakapy chodzą po ludziach. Jedyna pociecha z nich taka, że możemy stać się dzięki nim mądrzejsi.

Jeżeli czasem przejmujecie się tym, co wam udało się spieprzyć, pośmiejcie się z tych, którzy trafili dużo, dużo gorzej…

TOM PHILLIPS

LUDZIE

Krótka historia o tym, jak sprzieprzyliśmy wszystko

Z angielskiego przełożyła
Maria Gębicka-Frąc

ALBATROS

TOM PHILLIPS

Dziennikarz i komik mieszkający w Londynie. Był dyrektorem wydawniczym brytyjskiej wersji serwisu BuzzFeed, gdzie dzielił swój czas między bardzo poważne relacjonowanie poważnych spraw… i robienie zupełnie niepoważnych żartów. Należał do grupy komediowej, pracował w telewizji i w Parlamencie, a nawet założył gazetę (fatalna porażka!). Studiował archeologię i antropologię, a także historię i filozofię nauki w Cambridge – i jest miło zaskoczony, że przy pisaniu tej książki skorzystał z wiedzy zdobytej na wszystkich tych kierunkach.

Tytuł oryginału:
HUMANS. A BRIEF HISTORY OF HOW WE F*CKED IT ALL UP

Copyright © Tom Phillips 2018
All rights reserved
The right of Tom Phillips to be identified as the Author of the Work has been asserted by him in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frąc 2019

Redakcja: Anna Walenko

Ilustracje na okładce:
Alexandra Lande/Shutterstock (*odcisk dłoni*), Tanya K/Shutterstock (*plama*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Headline Publishing Group

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8125-627-8

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

Prolog. U zarania porażek
1. Dlaczego mózg jest idiotą
2. Jakie ładne macie tu środowisko
3. Życie zawsze znajdzie sposób
4. Podążaj za przywódcą
5. Ludzie władzy
6. Wojna. Ha. Co w niej dobrego?
7. Superzabawna impreza kolonialna
8. Samouczek dyplomacji dla marionetek i/lub obecnych prezydentów
9. Smród technologii
10. Krótka historia ślepoty na to, co nadchodzi
Epilog. Jak spieprzyć przyszłość
Podziękowania
Do dalszej lektury
Przypisy

Z uwagi na temat
dedykowanie tej książki rodzinie
mogłoby zostać błędnie zinterpretowane.

Dlatego dedykuję ją każdemu,
kto kiedyś coś naprawdę paskudnie spieprzył.

Nie jesteś sam.

Prolog

U zarania porażek

Dawno, dawno temu, gdy słońce wzeszło nad wielkimi dolinami rzecznymi Etiopii, pewna małpa wylegiwała się na drzewie.

Nie wiemy, o czym myślała ani co robiła tego dnia. Prawdopodobnie dumała nad znalezieniem sobie samca albo czegoś do jedzenia, a może nad wdrapaniem się na sąsiednie drzewo, żeby sprawdzić, czy nie jest wygodniejsze. Kompletnie nie miała pojęcia, że tego dnia stanie się najsławniejszą przedstawicielką swojego gatunku – a gdyby nawet ktoś mógł jej o tym powiedzieć, koncepcja sławy byłaby dla niej pozbawiona sensu. Nawet nie wiedziała, że jest w Etiopii, ponieważ działo się to miliony lat przed tym, zanim ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby wyrysować linie na mapie i nadać nazwy powstałym kształtom, tak byśmy mieli o co toczyć wojny.

Ona i jej krewniacy nieco się różnili od innych małp, które żyły w tym samym czasie: coś niezwykłego w biodrach i nogach pozwalało im się poruszać w nowatorski sposób. Te małpy zapoczątkowały modę na złażenie z drzew

i chodzenie po sawannie w postawie wyprostowanej: pierwsza zmiana, która z czasem miała doprowadzić do ciebie i do mnie, i do każdej innej osoby na tej planecie. Małpa nie miała pojęcia, że żyje blisko początku jednej z najbardziej niezwykłych historii wszech czasów, u zarania wielkiej podróży ludzkości.

Nagle spadła z drzewa i zdechła.

Jakieś trzy miliony dwieście tysięcy lat później inna grupa małp – niektórych z doktoratami – wykopała jej skamieniałe kości. Ponieważ były to lata sześćdziesiąte dwudziestego wieku i w owym czasie królował przebój zupełnie wyjątkowych liverpoolczyków[1], postanowiono nadać jej imię Lucy. Była okazem nowiuteńkiego gatunku – obecnie zwiemy go *Australopithecus afarensis* – i została okrzyknięta „brakującym ogniwem" pomiędzy ludźmi a małpami. Odkrycie Lucy zauroczyło świat: stała się powszechnie znana, jej szkielet odbył wieloletnie tournée po Stanach Zjednoczonych i obecnie jest gwiazdą ekspozycji Muzeum Narodowego w Addis Abebie.

A jednak wiemy o niej wyłącznie dlatego, że, mówiąc bez ogródek, spieprzyła sprawę. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że to zdarzenie ustaliło wzorzec późniejszych porażek.

Jest to książka o ludziach i o naszym wyjątkowym talencie do zawalania na najróżniejszych frontach. O tym, dlaczego na każde osiągnięcie, które napawa nas dumą z przynależności do gatunku *Homo sapiens* (sztuka, nauka, puby), zawsze przypada coś innego, co sprawia, że z konsternacją i rozpaczą kręcimy głowami (wojna, skażenie środowiska, puby na lotniskach).

Całkiem możliwe, że – niezależnie od osobistych opinii czy przekonań politycznych – w pewnym momencie spojrzałeś na stan świata i zadałeś sobie w duchu pytanie: O cholera, co myśmy zrobili?

Niniejsza książka daje odrobinę pociechy: nie przejmuj się, zawsze byliśmy tacy. I zobacz, nadal tu jesteśmy!

(Chociaż w czasie, gdy to piszę, kilka tygodni dzieli nas od szczytu z udziałem Donalda Trumpa i Kim Dzong Una, od spotkania, do którego dojdzie albo nie dojdzie i które może przebiegnie dobrze, a może nie. Niestety, muszę oddać tekst do redakcji, zanim się dowiemy, czy wszystkich nas czeka zagłada nuklearna. Mam zamiar pracować z założeniem, że jeśli rzeczywiście czytasz tę książkę, oznacza to, że dotrwaliśmy co najmniej do końca lipca).

Napisano mnóstwo książek o najświetniejszych dokonaniach ludzkości, o wielkich przywódcach, o genialnych wynalazcach, o niezłomnym ludzkim duchu. Napisano również mnóstwo książek o popełnionych przez nas błędach, o wpadkach indywidualnych i ogólnospołecznych. Ale nie ma zbyt wielu książek o tym, jak to się dzieje, że potrafimy na okrągło powtarzać takie same katastrofalne błędy.

Jedną z tych wielkich ironii losu, w których wszechświat chyba naprawdę się lubuje, jest to, że wiele rzeczy zawalamy na ogromną skalę dzięki dokładnie tym samym cechom, które odróżniają nas od innych zwierząt i pozwalają nam osiągać wielkość. Ludzie umieją dostrzegać w świecie wzory, dzielić się swoimi odkryciami i wyobrażać sobie przyszłość: jeśli zmienimy jedno, to nastąpi pożądane przez nas drugie i świat stanie się odrobinę lepszy.

Kłopot tylko w tym, że… cóż, nie jesteśmy zbyt dobrzy w te klocki. Każda uczciwa ocena dawnych dokonań ludzkości na tym froncie przypomina wyjątkowo brutalną roczną ocenę wystawioną przez szefa, który szczerze nas nienawidzi. Dostrzegamy wzory tam, gdzie wcale ich nie ma. Nasze umiejętności komunikacji, uch,

pozostawiają wiele do życzenia. I mamy nadzwyczaj marne osiągnięcia, jeśli chodzi o zrozumienie, że zmiana jednego doprowadzi nie tylko do tego, na czym nam zależy, ale również do czegoś zupełnie innego, potem do jeszcze gorszego, a wtedy: O Boże, nie, to się dzieje naprawdę! Jak to powstrzymać?

Nieważne, ilu wyzwaniom dajemy radę sprostać, katastrofa zawsze czyha tuż za rogiem. Przykład historyczny: w jednej chwili jesteś Sigurdem Potężnym (nordyckim jarlem Orkadów z dziewiątego wieku), triumfalnie wracającym do domu po bitwie, z przytroczoną do siodła głową wroga, Máela Brigte'a, ksywka Wystający Ząb.

W następnej jesteś… cóż, kilka dni później jesteś Sigurdem Potężnym, umierającym na skutek infekcji spowodowanej przez wystające zęby Máela Brigte'a, które podczas twojej triumfalnej jazdy ocierały ci się o nogę.

To prawda: Sigurd Potężny zasługuje na wątpliwe wyróżnienie w historii wojskowej jako człowiek zabity przez wroga, którego dekapitował kilka godzin wcześniej. Płyną z tego dla nas ważne nauki: (a) o nieposkromionej pysze i (b) o tym, jak ważne jest wybieranie sobie wrogów, którzy mają wysokiej jakości opiekę stomatologiczną. To pycha i następujący po niej

upadek będą głównym tematem tej książki. Fani standardów dawnej stomatologii mogą być głęboko rozczarowani.

(Warto również wspomnieć, że Sigurd Potężny wyzwał Máela Brigte'a Wystającego Zęba na bitwę, w której po każdej stronie miało walczyć czterdziestu żołnierzy. Máel Brigte przystał na ten układ, po czym Sigurd zjawił się z osiemdziesięcioma żołnierzami. Skoro tak, prawdopodobnie historia Sigurda stanowi również lekcję, że nie zawsze opłaca się być wrednym kutafonem, co dziwnym trafem także jest wątkiem przewijającym się w tej książce).

Sigurd to tylko jeden z wielu pechowców, których historia pamięta bardziej z powodu ich klęsk niż zwycięstw. Następne dziesięć rozdziałów zabierze nas na wycieczkę po długiej historii ludzkości i katalogu jej wpadek. Łagodne ostrzeżenie: jeśli nie bawią cię cudze niepowodzenia, jest to dobra chwila, by porzucić tę lekturę.

Historia postępu ludzkości zaczyna się od naszej zdolności do myślenia i naszej inwencji twórczej. To różni nas od innych zwierząt – ale również prowadzi do tego, że regularnie robimy z siebie kompletnych idiotów.

W pierwszym rozdziale tej książki, **Dlaczego mózg jest idiotą**, zobaczymy, jak inaczej myśleli nasi przodkowie – a następnie, jak nasze próby rozumienia świata kończą się tym, że umysł płata nam figle, zawodzi nas i prowadzi do podejmowania koszmarnych decyzji.

W rozdziale drugim, **Jakie ładne macie tu środowisko**, prześledzimy początki rolnictwa i związane z nim zmiany w otaczającym nas świecie, po czym przekonamy się, jak ustawicznie robimy totalny bałagan wszędzie tam, gdzie żyjemy, kierowani naszą niezawodną zdolnością niemyślenia o odpowiedzi na pytanie: Hej, co najgorszego może się zdarzyć, jeśli zmienimy bieg tej rzeki?

Następnie, w rozdziale **Życie zawsze znajdzie sposób**, przyjrzymy się naszym konsekwentnie nieporadnym próbom kontrolowania przyrody – i między innymi zobaczymy, jak przewodniczącemu Mao i niefrasobliwemu entuzjaście Szekspira udało się doprowadzić do lustrzanie podobnych katastrof z powodu niedoceniania ptaków.

Gdy najwcześniejsze społeczeństwa rozwinęły się i stały bardziej złożone, stało się jasne, że będziemy potrzebowali kogoś, kto będzie za nas podejmować decyzje. W rozdziale czwartym,

Podążaj za przywódcą, przypatrzymy się kilku niepochodzącym z wyborów, absolutnie najgorszym przywódcom, jacy kiedykolwiek sprawowali władzę; w rozdziale piątym, **Ludzie władzy**, przyjrzymy się demokracji i zobaczymy, czy coś się poprawiło.

Przez stulecia dawaliśmy sobie radę z kształtowaniem najbliższego otoczenia, a prawdziwy potencjał do robienia z siebie idiotów ujawniliśmy dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy podróżować po świecie, co doprowadziło do stykania się różnych cywilizacji. Wtedy naprawdę poszliśmy na całość, zawalając gruntownie i katastrofalnie.

W rozdziale szóstym, **Wojna. Ha. Co w niej dobrego?**, zobaczymy, że ludzkość ma bardzo długą historię wdawania się w bezsensowne walki, i zatrzymamy się na kilku najgłupszych zdarzeniach, jakie z tego wynikły – łącznie z tym, jak armia zdołała przegrać bitwę, mimo że przeciwnicy nawet się nie pojawili, i jak spieprzono idealnie skoordynowane plany ataku przez to, że zapomniano o istnieniu stref czasowych.

W rozdziale siódmym, **Superzabawna impreza kolonialna**, wyruszymy w nieznane z bohaterskimi postaciami epoki wielkich odkryć

i zauważymy (uwaga, spoiler), że kolonializm był straszny.

Rozdział ósmy, **Samouczek dyplomacji dla marionetek i/lub prezydentów**, zawiera ważne lekcje o tym, jak z wdziękiem kierować kontaktami międzykulturowymi, przede wszystkim na przykładzie szacha Imperium Chorezmijskiego, który podjął chyba najgorszą decyzję polityczną w dziejach (obejmowała podpalanie bród).

W ostatnich stuleciach postęp naukowy i techniczny wprowadził nas w epokę bezprecedensowych innowacji, szybkich zmian i ekscytujących nowych sposobów na ponoszenie porażek. To jest tematem rozdziału dziewiątego, **Smród technologii**, gdzie zobaczymy, że nauka nie zawsze poprawia sytuację, oraz powiemy o tajemniczym promieniowaniu, widzialnym tylko dla Francuzów, i o człowieku, który popełnił nie jeden, ale dwa z najbardziej katastrofalnych błędów dwudziestego wieku.

Obecnie zmiany zachodzą tak szybko, że współczesny świat może być zagmatwanym miejscem; w rozdziale dziesiątym, **Krótka historia ślepoty na to, co nadchodzi**, przekonamy się, jak często nie potrafimy

przewidzieć strasznych rzeczy, które niedługo nas spotkają.

I wreszcie w epilogu, **Jak spieprzyć przyszłość**, spróbujemy, opierając się na rzetelnej wiedzy, postawić hipotezę, jak będą wyglądały następne stulecia ludzkiej głupoty, i dojdziemy do wniosku, że prawdopodobnie utkniemy w kosmicznym więzieniu, które sami budujemy dla siebie z własnych śmieci.

Jest to książka o historii i o nierozumieniu. Naturalnie warto podkreślić, że często w ogóle nie rozumiemy historii.

Problem w tym, że przekazy historyczne są niepewne: nieliczni zawracali sobie głowę drobiazgowym opisywaniem aktualnych wydarzeń, a wśród tych, którzy to robili, wielu mogło się mylić albo kłamać, albo być wariatami czy skrajnymi rasistami (często wszystko po trosze). Wiemy o Sigurdzie Potężnym, ponieważ jego historia występuje w dwóch sagach: w *Heimskringla* i w *Sadze o Orkadach*. Ale skąd mamy wiedzieć, czy wiernie przedstawiają fakty? Czy możemy być całkowicie pewni, że historia Sigurda nie jest po prostu jakimś

wyjątkowo śmiesznym staronordyckim żartem, zrozumiałym tylko dla wtajemniczonych?

Nie możemy tego wiedzieć. W każdym razie nie do końca, pomimo zdumiewającej pracy wykonanej przez historyków, archeologów i ekspertów z wielu innych dziedzin. Liczba rzeczy, które wiemy na pewno, jest maleńka w porównaniu z liczbą tych, o których wiemy, że nie wiemy. Liczba rzeczy, o których nawet nie wiemy, że nie wiemy, jest prawdopodobnie jeszcze większa, ale niestety nie wiemy tego na pewno.

Chcę więc zaznaczyć: szanse, że książka o wpadkach nie zawiera żadnej wpadki, są, szczerze mówiąc, minimalne. Będę się starał wyraźnie rozgraniczać to, czego jesteśmy całkiem pewni, od tego, co w najlepszym wypadku możemy tylko hipotetycznie zakładać. Próbowałem unikać historii typu „zbyt piękne, żeby było prawdziwe", przekazów o wątpliwej wiarygodności i jędrnych anegdot historycznych, które zdają się rozrastać z każdym kolejnym powtórzeniem. Mam nadzieję, że nie poszło mi źle.

Co prowadzi nas z powrotem do Lucy spadającej z drzewa trzy miliony dwieście tysięcy lat temu. Skąd wiemy, że spadła z drzewa?

W 2016 roku grupa badaczy ze Stanów Zjednoczonych i Etiopii opublikowała artykuł w „Nature”, wiodącym na świecie czasopiśmie naukowym. Zbadali tomografem skamieniałe kości Lucy, tworząc trójwymiarowe mapy komputerowe, żeby zrekonstruować szkielet. Stwierdzili, że kości są złamane tak samo jak w żywym organizmie i że nigdy się nie zrosły, co sugeruje, że żyła, gdy pękły, ale niedługo później zmarła. Skonsultowali się z licznymi chirurgami ortopedami, którzy orzekli to samo: To złamania, jakie spotyka się u pacjenta, który spadł z dużej wysokości. Pęknięcie ramienia sugeruje, że wyciągnęła rękę, chcąc zahamować upadek. Z badań geologicznych wynikało, że Lucy żyła na porośniętej drzewami równinie, w pobliżu strumienia – nie było tam urwisk ani skał, z których mogłaby spaść. Wniosek? Lucy spadła z drzewa.

Wykonano niezwykłą robotę, która zresztą została dobrze przyjęta przez wielu innych ekspertów w tej dziedzinie. Jedyny problem jest taki, że kilku ekspertów – łącznie z Donaldem Johansonem, człowiekiem, który znalazł Lucy – nie dało się przekonać. Kategorycznie oświadczyli: „Nie, stary, ma połamane kości, bo właśnie to dzieje się z kośćmi, kiedy leżą

pogrzebane w ziemi przez trzy miliony dwieście tysięcy lat” (tu trochę parafrazuję).

Więc… czy Lucy spadła z drzewa? Możliwe. Nawet prawdopodobne. Pod wieloma względami o to chodzi w tej książce: posłużyliśmy się metodą naukowej dedukcji i dokazaliśmy czegoś niesłychanego, a jednak nie taka musi być prawda. Możesz być najlepszy na świecie w swojej dziedzinie, dawać z siebie wszystko w swoim zawodzie, opublikować w najbardziej prestiżowym czasopiśmie swoje przełomowe odkrycie, które splata imponujące osiągnięcia paleontologii i fizyki, informatyki i medycyny, kryminalistyki i geologii, żeby dać nam bezprecedensowy wgląd w odległą o ponad trzy miliony lat przeszłość… a wciąż istnieje ryzyko, że ktoś podejdzie i powie: „Ha, ha, wcale nie!”.

I gdy myślisz, że wszystko jest już poukładane, akurat wtedy uderzy wiecznie majaczące w powietrzu widmo totalnej klapy.

Pamiętaj o Sigurdzie Potężnym.

1

Dlaczego mózg jest idiotą

Około siedemdziesięciu tysięcy lat temu istoty ludzkie rozpoczęły pierwsze prawdziwe dzieło zniszczenia.

W tym czasie nasi przodkowie rozpoczęli migrację z Afryki i rozprzestrzeniali się po całej kuli ziemskiej – najpierw dotarli do Azji, chwilę później do Europy. Unieszczęśliwili przy tym mnóstwo innych istot ludzkich, bo tak się złożyło, że nasz gatunek, *Homo sapiens*, nie był wtedy jedynym gatunkiem rozumnym na tej planecie – wcale nie. To, ile dokładnie innych gatunków ludzi pałętało się tu wówczas, jest kwestią dyskusyjną. Zbieranie fragmentarycznych szkieletów czy fragmentarycznego DNA i próba ustalenia, co właściwie uznaje się za odrębny gatunek albo podgatunek, albo tylko za nieco dziwną wersję tego samego gatunku, jest nie lada sztuką (jest to również idealny sposób na wszczęcie dyskusji, jeśli kiedyś znajdziesz się w gronie paleontologów, którzy mają trochę czasu do zabicia). Ale jakkolwiek je klasyfikować, na Ziemi żyły co najmniej dwa inne gatunki człowieka, z których najsłynniejszy to *Homo*

neanderthalensis – lepiej znany jako neandertalczyk. W rezultacie wcześniejszych migracji z Afryki neandertalczycy przez ponad sto tysięcy lat zamieszkiwali większą część Europy i znaczne obszary Azji. Zasadniczo nieźle im się wiodło.

Niestety, ledwie kilkadziesiąt tysięcy lat po tym, jak nasi przodkowie wtarabanili się na scenę – mgnienie oka w kategoriach ewolucyjnych – neandertalczycy i wszyscy inni nasi krewni zniknęli z powierzchni Ziemi. Taki był początek schematu, który szybko stał się typowy dla całej historii ludzkości: gdy tylko gdzieś się zjawiamy, święty spokój diabli biorą. W ciągu kilku tysięcy lat od wejścia tak zwanych współczesnych ludzi na tereny zajmowane przez neandertalczyków ci drudzy zaczęli znikać z zapisów kopalnych, zostawiając po sobie tylko kilka widmowych genów, które wciąż nawiedzają nasze DNA (najwyraźniej dochodziło do krzyżowania się neandertalczyków z intruzami, którzy ich wypierali. Jeśli jesteś pochodzenia europejskiego albo azjatyckiego, istnieje duża szansa, w przedziale od jednego do czterech procent, że masz neandertalskie DNA).

To, dlaczego i jak my przeżyliśmy, a nasi kuzyni pojechali ekspresem do Wymarłowa, jest

kolejnym dyskusyjnym tematem. Właściwie mnóstwo najbardziej prawdopodobnych wyjaśnień wiąże się z zagadnieniami, które często będą się przewijać w tej książce. Może doprowadziliśmy do wymarcia neandertalczyków niechcący, przywlekając ze sobą choroby, na jakie nie byli odporni (większa część historii ludzkości jest tak naprawdę tylko historią chorób, które złapaliśmy podczas naszych podróży, a potem przekazaliśmy innym). A może byliśmy lepsi w przystosowywaniu się do zmian klimatycznych? Dowody wskazują, że nasi przodkowie żyli w większych grupach społecznych, komunikowali się i handlowali na znacznie większym obszarze niż bardziej odizolowani, skostniali neandertalczycy, co oznacza, że mogliśmy lepiej sobie poradzić, gdy uderzyła fala chłodów.

A może po prostu ich wymordowaliśmy, ponieważ, hej, właśnie to lubimy robić.

Zapewne – jak to zwykle bywa – nie ma jednego zgrabnego wyjaśnienia. Ale wiele z najbardziej wiarygodnych wyjaśnień łączy jedno – nasze mózgi i to, jak ich używamy. To niezupełnie takie proste jak stwierdzenie, że „My byliśmy mądrzy, a oni głupi”. Neandertalczycy nie byli ociężałymi matołami z popularnego

stereotypu. Mieli mózgi równie duże jak my i w Europie przez dziesiątki tysięcy lat wyrabiali narzędzia, rozniecali ogień, tworzyli abstrakcyjne dzieła sztuki i biżuterię, zanim przyszedł *Homo sapiens* i zaczął podnosić poprzeczkę. Nasza przewaga nad neandertalskimi kuzynami miała związek przede wszystkim z myśleniem przekładającym się na umiejętności przystosowawcze, lepsze narzędzia, bardziej złożone struktury społeczne czy sposoby komunikowania się w obrębie grupy i pomiędzy grupami.

W sposobie myślenia ludzi jest coś, co nas wyróżnia jako wyjątkowych. Poważnie. Wskazuje to sama nazwa naszego gatunku: *Homo sapiens*, czyli „człowiek rozumny” (skromność, bądźmy szczerzy, nigdy tak naprawdę nie należała do naszych typowych cech).

I oddając sprawiedliwość naszemu ego, ludzki mózg jest niezwykłą maszyną. Umiemy dostrzegać w otoczeniu wzory i na ich podstawie odgadywać, jak coś działa, bo tworzymy złożony mentalny model świata obejmujący więcej niż to, co widzimy. Następnie możemy wykorzystać ten model jako punkt wyjścia do twórczych skoków: jesteśmy w stanie wyobrazić sobie zmiany, które

poprawią naszą sytuację. Możemy przekazać te koncepcje innym ludziom, żeby mogli wprowadzić ulepszenia, o jakich my nie pomyśleliśmy, i obrócić wiedzę i inwencję we wspólny wysiłek przekazywany kolejnym pokoleniom. Następnie możemy przekonać innych, by wspólnie pracowali przy realizacji jakiegoś planu, który wcześniej istniał tylko w naszej wyobraźni, tak by dokonali przełomu, jakiego nikt z nas nie mógłby dokonać w pojedynkę. A później powtarzamy to na setki tysięcy sposobów, na okrągło, i to, co kiedyś było szokującymi innowacjami, staje się tradycją, która rodzi nowe innowacje, aż wreszcie kończy się czymś, co nazywamy kulturą albo społeczeństwem.

Pomyśl o tym w ten sposób: pierwszym krokiem jest spostrzeżenie, że okrągłe przedmioty toczą się ze wzgórza lepiej niż kanciaste. Drugi krok to wykombinowanie, że jeśli coś zaokrąglić przy użyciu jakiegoś narzędzia, to będzie się toczyć lepiej. Trzecim krokiem jest pokazanie kumplom nowych turlających się przedmiotów, po czym rodzi się pomysł, że można połączyć cztery takie, żeby zrobić wóz. Czwarty krok polega na zbudowaniu floty imponujących rydwanów, żeby ludzie mogli

lepiej pojąć świetność twojej dobrotliwej, a zarazem bezlitosnej władzy. A piąty krok to jazda vauxhall insignią po A-dziesiątce przy słuchaniu kompilacji klasycznych softrockowych hymnów i pokazywanie kierowcy ciężarówki środkowego palca.

(WAŻNA UWAGA GWOLI ŚCISŁOŚCI: to wysoce nieprecyzyjny, karykaturalny opis wynalezienia koła. W rzeczywistości koło zostało wynalezione zaskakująco późno, biorąc pod uwagę ogólną sytuację, i cywilizacja radośnie jakoś sobie bez niego radziła przez tysiące lat. Pierwsze koło, które pojawiło się w historii archeologicznej około pięciu i pół tysiąca lat temu w Mezopotamii, nie było używane do transportu: było to koło garncarskie. Wygląda na to, że minęło kolejne kilkaset lat, zanim ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby postawić koła garncarskie w pionie i je poturlać, tym samym zapoczątkowując proces, który ostatecznie miał doprowadzić do programu motoryzacyjnego Jeremy'ego Clarksona. Przeprosiny kieruję do wszystkich znawców historii koła, którzy poczuli się urażeni poprzednim akapitem, przeznaczonym wyłącznie do celów instruktażowych).

Ale ludzki mózg, choć niezwykły, jest również wyjątkowo dziwaczny i skłonny do popełniania fatalnych omyłek w najmniej odpowiednim momencie. Wciąż podejmujemy koszmarne decyzje, wierzymy w idiotyzmy, ignorujemy dowody, które mamy przed oczami, i tworzymy plany pozbawione nawet odrobiny sensu. Nasz umysł potrafi wymyślać koncerty, miasta i teorię względności, a jednak bez pięciu minut bolesnych rozważań nie umie zadecydować, jakie chipsy chcemy sobie kupić.

Jak to się stało, że nasz wyjątkowy sposób myślenia pozwala nam na przeróżne sposoby kształtować świat zgodnie z naszymi pragnieniami, ale również dzięki niemu ustawicznie dokonujemy absolutnie najgorszych wyborów, chociaż jest jasne, że są złe? Krótko mówiąc: wysłaliśmy człowieka na Księżyc, a jednak wciąż wysyłamy TAKI tekst do naszych eks? Wszystko sprowadza się do tego, w jaki sposób ewoluował nasz mózg.

Rzecz w tym, że ewolucja jako proces nie jest bystra – jest tępa, i to w bardzo uparty sposób. Dla ewolucji ma znaczenie tylko to, żebyś przetrwał tysiące strasznych niebezpieczeństw, które czyhają na każdym kroku, i przekazał swoje geny następnemu pokoleniu. Jeśli się uda,

zadanie wykonane. Jeśli nie, pech. To oznacza, że ewolucja naprawdę nie jest dalekowzroczna. Jeżeli jakaś cecha zapewnia nam przewagę w danej chwili, zostanie wybrana bez względu na to, czy w końcu nie obciąży naszych praprapraprapraprawnuków czymś, co jest żałośnie przestarzałe. Ewolucja nie daje punktów za przewidywanie – argument „Och, ta cecha teraz jest przeszkodą, ale wierz mi, stanie się naprawdę przydatna dla moich potomków za milion lat” absolutnie do niej nie trafia. Ewolucja osiąga wyniki nie przez planowanie, ale raczej przez proste rzucanie absurdalnie wielkiej liczby głodnych, napalonych organizmów w niebezpieczny, bezwzględny świat i patrzenie, kto padnie ostatni.

To oznacza, że nasz mózg nie jest wynikiem drobiazgowego procesu projektowania, mającego na celu stworzenie jak najlepszych myślących maszyn; jest luźnym zbiorem klisz, improwizacji i skrótów, które uczyniły naszych przodków o dwa procent lepszymi w znajdowaniu pożywienia albo o trzy procent lepszymi w przekazywaniu informacji „O cholera, uważaj, to lew”.

Te skróty myślowe (formalnie rzecz ujmując, nazywają się „heurystyką”) są absolutnie

konieczne do przetrwania, do kontaktów z innymi i do uczenia się na błędach: nie można każdorazowo siadać i opracowywać od podstaw wszystkiego, co chce się zrobić. Gdybyśmy za każdym razem, aby uniknąć szoku na widok wschodzącego słońca, musieli stosować poznawczy odpowiednik wielkoskalowego badania randomizowanego z grupą kontrolną, jako gatunek doszlibyśmy donikąd. Rozsądniejsze dla naszego mózgu jest przyjęcie „O tak, słońce wstaje” po tym, jak kilka razy widzieliśmy to zjawisko. Na tej samej zasadzie, jeśli Jeff mówi, że się zrzygał po zjedzeniu tych fioletowych jagód z tamtego krzaka nad jeziorem, prawdopodobnie lepiej po prostu uwierzyć mu na słowo, niż próbować to sprawdzić.

Ale tu również zaczynają się problemy. Nasze skróty myślowe (jak wszystkie skróty), jakkolwiek przydatne, czasami spychają nas na niewłaściwą ścieżkę. I w świecie, gdzie problemy, z którymi mamy do czynienia, są bardziej skomplikowane niż „Czy powinienem zjeść te fioletowe jagody?”, prowadzą do wielu błędów. Mówiąc wprost, przez większość czasu twój mózg (i mój, i zasadniczo wszystkich innych ludzi) jest strasznym idiotą.

Na początek weźmy wspomnianą wcześniej zdolność dostrzegania wzorców i związków. Rzecz w tym, że nasze mózgi są tak bardzo zainteresowane ich szukaniem, że zaczynają widzieć je wszędzie – nawet tam, gdzie ich nie ma. Nie jest to wielkim problemem, kiedy dotyczy czegoś takiego jak na przykład pokazywanie gwiazd na nocnym niebie i mówienie: „Spójrz, to lis polujący na lamę". Ale jeśli wymyślony wzorzec, który zauważamy, jest czymś w rodzaju „Większość przestępstw popełnia jedna konkretna grupa etniczna", to… cóż, wtedy robi się naprawdę duży problem.

Istnieje mnóstwo określeń na ten rodzaj błędnego postrzegania, na przykład „korelacja iluzoryczna" czy „iluzja grupowania". Podczas drugiej wojny światowej wielu ludzi w Londynie było przekonanych, że niemieckie pociski V-1 i V-2 (już same w sobie ogromnie przerażające) spadają na miasto w ściśle określonych skupiskach – co skłaniało londyńczyków do szukania schronienia w rzekomo bezpieczniejszych dzielnicach czy do podejrzeń, że w pewnych, pozornie nietkniętych, rejonach mieszkają niemieccy szpiedzy. Sytuacja była na tyle niepokojąca, że brytyjski rząd zlecił

statystykowi, niejakiemu R.D. Clarke'owi, sprawdzenie, czy to prawda.

Do jakich wniosków doszedł? „Skupiska" nie były niczym więcej jak sztuczkami płatanymi przez umysł, iluzorycznymi duchami dopasowywania wzorców. Okazało się, że Niemcy nie dokonali dramatycznego przełomu w technice naprowadzania pocisków i że dzielnica Clerkenwell nie była gniazdem tajnych agentów Wehrmachtu; bomby wystrzeliwano w kierunku miasta na chybił trafił. Ludzie widzieli wzory tylko dlatego, że właśnie tak reagują nasze mózgi.

Nawet wysoko wykwalifikowani profesjonaliści mogą paść ofiarą tego rodzaju iluzji. Na przykład wielu pracowników medycznych z głębokim przekonaniem powie, że pełnia Księżyca nieuchronnie prowadzi do koszmarnie złej nocy na szpitalnym oddziale ratunkowym – napływ pacjentów, dziwaczne obrażenia, psychotyczne zachowanie. Kłopot w tym, że przeprowadzono badania i o ile wiadomo, to po prostu nieprawda: nie ma związku pomiędzy fazami Księżyca a liczbą pacjentów przyjmowanych przez SOR-y. A jednak gromada utalentowanych, doświadczonych

profesjonalistów przysięgnie, że taki związek istnieje.

Dlaczego? Cóż, wiara nie bierze się znikąd. Przekonanie, że w czasie pełni ludzie dziwnie się zachowują, pokutuje od wieków. Stąd słowo „lunatyzm”, stąd mitologia wilkołaka (może być z tym również związane przekonanie o rzekomej korelacji między fazami Księżyca a cyklem menstruacyjnym kobiet). I kiedyś rzeczywiście mogło to być swego rodzaju prawdą. Przed wynalezieniem sztucznego oświetlenia – zwłaszcza latarni ulicznych – światło Księżyca miało znacznie większy wpływ na ludzkie życie. Jedna z teorii mówi, że Księżyc w pełni nie dawał spać bezdomnym koczującym pod gołym niebem, a bezsenność nasilała ich problemy ze zdrowiem psychicznym (ponieważ lubię teorie łączące się z piwem, przedstawię alternatywną sugestię: ludzie przypuszczalnie więcej pili w te wieczory, kiedy wiedzieli, że Księżyc oświetli im drogę do domu, i mniej ich martwiło zabłądzenie albo napaść, albo potknięcie się i umieranie w rowie).

Bez względu na to, skąd się wziął pomysł na dziwaczny wpływ Księżyca, na długi czas utrwalił się kulturze. I kiedy ktoś usłyszy, że pełnia zwiastuje noc wariactw, prawdopodobnie przypomni sobie wszystko, co potwierdza te

słowa – a zapomni wszystko, co im zaprzecza. Mózg nieumyślnie stworzył wzór z przypadkowości.

Powtarzam, dzieje się tak dlatego, że nasz mózg używa skrótów myślowych. Dwa główne skróty to „heurystyka zakotwiczenia” i „heurystyka dostępności”. I oba bez końca sprawiają nam kłopoty.

Kotwiczenie oznacza, że gdy podejmujemy jakąś decyzję, zwłaszcza nie za bardzo mając się na czym oprzeć, niewspółmiernie duży wpływ ma na nas pierwsza zasłyszana informacja. Na przykład w sytuacji, gdy brak nam niezbędnej wiedzy, żeby dokonać w pełni przemyślanej oceny – powiedzmy domu, który widzimy tylko na zdjęciu (uwaga dla milenialsów: domy to te wielkie ceglane rzeczy, na których kupno nigdy nie będzie was stać). Nie mając żadnych informacji, możemy tylko spojrzeć na zdjęcie, stwierdzić, że dom wygląda mniej lub bardziej fajnie, i strzelić w ciemno. Ale ocena może zostać dramatycznie wypaczona, jeśli wcześniej usłyszymy sugerowaną sumę – jak choćby w formie pytania: „Jak sądzisz, ten dom jest wart mniej czy więcej niż czterysta tysięcy funtów?”. Ważne jest, by zrozumieć, że tak naprawdę pytanie nie dostarczyło nam żadnych

pożytecznych informacji (na przykład za ile ostatnio zostały sprzedane domy w tej okolicy). A jednak ludzie, którym podsunie się sumę sześciuset tysięcy funtów, ocenią dom znacznie wyżej niż ci, którym podsunięto sumę dwustu tysięcy. Takie pytanie, chociaż nie zawiera żadnych informacji, wpływa na naszą ocenę, ponieważ dostaliśmy „kotwicę” – mózg ją chwyta jako punkt odniesienia i dostosowuje się.

Robimy to niemal do absurdalnego stopnia: strzęp informacji, którego używamy jako kotwicy, może być równie mało pomocny jak przypadkowo wygenerowana liczba, lecz mimo to nasz mózg będzie się go trzymać i od niego uzależniać nasze decyzje. To może być naprawdę niepokojące: w swojej książce *Pułapki myślenia* Daniel Kahneman podaje przykład eksperymentu przeprowadzonego w 2006 roku na grupie doświadczonych niemieckich sędziów. Pokazano im szczegóły sprawy sądowej, w której kobieta była winna kradzieży w sklepie. Następnie poproszono ich, by rzucili dwiema kośćmi, które (o czym nie wiedzieli) były obciążone w taki sposób, że zawsze wypadało łącznie trzy albo dziewięć oczek. Zapytano ich, czy kobieta powinna zostać skazana na więcej

lub mniej miesięcy niż wyrzucona liczba oczek, a na koniec mieli podać długość wyroku.

Można się domyślić rezultatu: sędziowie, których kości pokazały wyższą liczbę, skazali kobietę na znacznie dłuższy pobyt w więzieniu niż ci, którzy wyrzucili mniej oczek. Uśredniając, rzut kośćmi sprawiłby, że kobieta spędziłaby w więzieniu trzy miesiące więcej. To nie jest pocieszające.

Z kolei dostępność oznacza, że dokonujemy oceny na podstawie tego, co najłatwiej przychodzi nam na myśl, zamiast głęboko rozważać wszystkie dostępne nam informacje. To zaś oznacza, że mamy tendencję do postrzegania świata przez pryzmat niedawnych zdarzeń albo tych wyjątkowo dramatycznych i zapadających w pamięć, podczas gdy stare, prozaiczne wspomnienia, które prawdopodobnie są dokładniejszym wyznacznikiem codziennej rzeczywistości, po prostu… się zacierają.

Właśnie dlatego sensacyjne doniesienia o potwornych zbrodniach każą nam myśleć, że wskaźnik przestępczości jest wyższy, niż jest w istocie, podczas gdy suche dane statystyczne mówiące, że ten wskaźnik spada, nawet w przybliżeniu tak na nas nie oddziałują. Między innymi dlatego wielu ludzi bardziej się boi

katastrofy lotniczej (są rzadkie, ale dramatyczne) niż wypadków samochodowych (zdarzają się częściej i jako takie są mniej ekscytujące). I to dlatego akty terroryzmu mogą spowodować błyskawiczne odruchowe reakcje społeczeństwa i polityków, podczas gdy znacznie bardziej niebezpieczne, ale również bardziej banalne zagrożenia dla życia są odsuwane na bok. W latach 2007–2017 w USA więcej ludzi zginęło od kosiarek niż z rąk terrorystów, a mimo to rząd amerykański dotąd jeszcze nie wypowiedział wojny kosiarkom (chociaż, bądźmy szczerzy, w świetle niedawnych wypadków nie można tego wykluczyć).

Współdziałając, heurystyka zakotwiczenia i heurystyka dostępności są naprawdę przydatne do szybkiego wydawania sądów w chwilach kryzysu albo podejmowania tych wszystkich drobnych, codziennych decyzji, które w gruncie rzeczy nie mają większego znaczenia. Ale gdy chce się powziąć bardziej przemyślaną decyzję, biorąc pod uwagę całą złożoność współczesnego świata, mogą okazać się koszmarem. Umysł będzie próbował wśliznąć się do strefy komfortu, korzystając z czegoś, co słyszeliśmy niedawno albo co najszybciej wpada nam do głowy.

Między innymi dlatego jesteśmy koszmarnie źli w ocenianiu ryzyka i właściwym przewidywaniu, przy której z wielu dostępnych nam opcji jest najmniej prawdopodobne, że dojdzie do katastrofy. Tak naprawdę mamy w umyśle dwa odrębne systemy, które pomagają nam ocenić jakieś niebezpieczeństwo: jeden wolny i rozważny, drugi szybki i instynktowny. Problemy zaczynają się w chwili, gdy pojawia się konflikt. Jedna część naszego mózgu cicho mówi: „Przeanalizowałem wszystkie dowody i wygląda na to, że opcja pierwsza jest najbardziej ryzykowna”, podczas gdy druga część krzyczy: „Tak, ale opcja druga WYDAJE SIĘ przerażająca!”.

Pewnie, może ktoś pomyśleć, ale na szczęście jesteśmy na to za mądrzy. Przecież możemy wyrwać mózg ze strefy komfortu, czyż nie? Możemy zignorować głos instynktu i wzmocnić ten rozważny, i dzięki temu obiektywnie rozpatrzyć naszą sytuację, prawda? Niestety, nie bierzemy pod uwagę efektu potwierdzenia.

Jeszcze przed rozpoczęciem pracy nad tą książką uważałem, że efekt potwierdzenia jest ważnym problemem, i wszystko, co od tamtej pory przeczytałem, utwierdziło mnie w tym przekonaniu. I właśnie na tym polega problem: nasz mózg nienawidzi się dowiadywać, że nie

miał racji. Efekt potwierdzenia jest irytującym nawykiem, który, jak laser naprowadzający pocisk na cel, skupia naszą uwagę na każdym strzępie dowodu potwierdzającym to, w co już wierzymy, i niefrasobliwie ignoruje znacznie większe stosy dowodów sugerujących, że być może kompletnie się mylimy. W najłagodniejszej formie: właśnie dlatego wolimy dostawać wiadomości ze źródła, które zasadniczo zgadza się z naszymi poglądami politycznymi. W bardziej skrajnym przypadku: trudno jest odwieść zwolennika teorii spiskowych od jego przekonań, ponieważ dobiera on wydarzenia, które popierają jego wersję rzeczywistości, i odrzuca te, które nie pasują.

Pod pewnymi względami jest to bardzo pomocne: świat jest skomplikowany, chaotyczny i nie ujawnia nam swoich zasad w miły, prosty sposób, jak prezentacja w PowerPoincie, z łatwymi do odczytania głównymi punktami. Tworzenie każdego mentalnego modelu świata oznacza odrzucanie nieprzydatnych informacji i skupianie się na właściwych wskazówkach. Tylko że ustalenie, na jakie informacje warto zwrócić uwagę, często jest czymś w rodzaju poznawczej loterii.

Jest jeszcze gorzej. Opór naszego mózgu na myśl, że coś mógł spieprzyć, sięga głębiej. Możesz sądzić, że jeśli podjąłeś decyzję, wcieliłeś ją w życie i zobaczyłeś jej potwornie złe konsekwencje, to staniesz się przynajmniej odrobinę lepszy w zmienianiu swojego zdania. Ha, ha, ha, wcale nie. Wkracza tak zwany „efekt wspierania decyzji", co zasadniczo znaczy, że kiedy raz obierzemy jakiś kierunek działania, to jak tonący brzytwy kurczowo trzymamy się myśli, że dokonaliśmy właściwego wyboru. Próbujemy się usprawiedliwić, odtwarzając wspomnienia o tym, jak i dlaczego podjęliśmy taką decyzję. W łagodnej formie: właśnie dlatego kuśtykasz i cierpisz w nowych butach, z uporem powtarzając, że „w nich wyglądam POTĘŻNIE, a zarazem SEKSOWNIE". W ostrzejszej formie: właśnie dlatego ministrowie się upierają, że negocjacje poszły bardzo dobrze i że uczyniono znaczące postępy, nawet gdy jest coraz bardziej oczywiste, że wszystko całkiem się sypie. Klamka zapadła, więc decyzja musiała być właściwa, ponieważ to my ją podjęliśmy.

Są nawet dowody na to, że w pewnych okolicznościach samo mówienie ludziom, że nie mają racji – nawet jeśli cierpliwie pokazujesz im to czarno na białym – może wręcz silniej

utwierdzić ich w błędnym przekonaniu. Skonfrontowani z tym, co uważają za przeciwieństwo swojej racji, stają się jeszcze bardziej uparci i jeszcze mocniej okopują się na swoich pozycjach. To dlatego dyskusja z rasistowskim wujkiem na Facebooku albo decyzja, by pójść na dziennikarstwo, może w ostatecznym rozrachunku okazać się przedsięwzięciem skazanym na porażkę, która wpędzi cię w depresję i sprawi, że wszyscy będą na ciebie źli.

To jednak wcale nie oznacza, że ludzie nie mogą podejmować rozsądnych i przemyślanych decyzji: naturalnie, że mogą. Przecież czytasz tę książkę. Gratulacje, umiesz dokonać właściwego wyboru! Po prostu nasz mózg często stawia na swojej drodze ogromną liczbę przeszkód, przez cały czas myśląc, że będą pomocne.

Oczywiście, skoro jesteśmy kiepscy w samodzielnym podejmowaniu decyzji, może być znacznie gorzej, gdy podejmujemy decyzje razem z innymi ludźmi. Jesteśmy zwierzętami towarzyskimi i napraaawdę nie lubimy odstawać od stada. Właśnie dlatego, często na przekór naszym lepszym instynktom, staramy się do niego dopasować.

Stąd syndrom grupowego myślenia – inaczej „gromadomyślenie” – polegający na tym, że dominująca koncepcja przytłacza wszystkie inne: sprzeczne z nią propozycje są odrzucane albo w ogóle pozostają niewyrażone, bo grupa wywiera presję i nikt nie chce się wychylić, żeby sceptycznie zapytać: „Uch, czy to aby na pewno najlepszy pomysł?”. Również dlatego z dzikim zapamiętaniem podążamy za silniejszym: samo to, że widzimy innych, którzy coś robią albo w coś wierzą, zwiększa nasze pragnienie, by dołączyć do nich, stać się częścią tłumu. Kiedy w dzieciństwie mama cię pytała: „A gdyby inne dzieciaki skoczyły z mostu, zrobiłbyś to samo?”, najuczciwszą odpowiedzią było: „Właściwie tak, jest całkiem spora szansa”.

Do tego dochodzi fakt, że – mówiąc otwarcie – uważamy się za dość wielkich, podczas gdy w istocie jest zupełnie inaczej. Nazwij to nieposkromioną pychą, arogancją, umiarkowaną głupotą: badania wykazują, że szalenie przeceniamy nasze umiejętności. Jeśli zapytasz grupę studentów, na jakim miejscu skończą studia, przytłaczająca większość odpowie, że w czołowych dwudziestu procentach. Mało kto stwierdzi: „No cóż, prawdopodobnie wyląduję poniżej średniej” (w rzeczywistości

najpowszechniej wskazywana jest lokata poza czołowymi dziesięcioma procentami, ale w obrębie dwudziestu, jak chełpliwa wersja zamawiania drugiego w kolejności najtańszego wina).

Tu wyłania się dobrze znany problem poznawczy, zwany efektem Dunninga-Krugera, który – poza tym, że brzmi jak nazwa kapeli rocka progresywnego z lat siedemdziesiątych – może być świętym patronem tej książki. Opisany po raz pierwszy przez psychologów Davida Dunninga i Justina Krugera w artykule *Niewykwalifikowany i tego nieświadomy: jak trudności w rozpoznawaniu własnej niekompetencji prowadzą do zawyżonej samooceny*, dostarcza dowodów na coś, co każdy z nas może zaobserwować we własnym życiu. Ludzie naprawdę dobrzy w swoim fachu mają tendencje do zaniżania oceny swych umiejętności, natomiast ci o znikomych kwalifikacjach dziko je przeceniają. Po prostu za mało wiemy o naszych wadach, żeby dostrzec, jacy jesteśmy w czymś kiepscy. I dlatego wciąż robimy głupoty, przepełnieni pewnością siebie i błogim optymizmem, nieświadomi, że strasznie się mylimy (jak zostanie wykazane w dalszej części tej książki, ze wszystkich błędów

popełnianych przez nasz umysł właśnie pewność siebie i optymizm mogą być najbardziej niebezpieczne).

Wszystkie te problemy poznawcze, spiętrzone jedne na drugich w formie społeczeństwa, prowadzą do tego, że ciągle powtarzamy te same błędy. Poniżej zamieszczam tylko kilka z nich: można je uznać za ciąg dalszy tej książki w pigułce.

Na początek, nasze pragnienie zrozumienia świata i dostrzegania w nim wzorców oznacza, że wiele czasu poświęcamy na to, by przekonać samych siebie, że świat działa w określony sposób, chociaż rzeczywistość jest zupełnie inna. Takie podejście może obejmować wszystko, od małych osobistych przesądów do kompletnie błędnych teorii naukowych, a także wyjaśnia, dlaczego tak chętnie ulegamy propagandzie i wierzymy w *fake newsy*. Zabawa na dobre zaczyna się wtedy, gdy ktoś zdoła wmówić dużym grupom ludzi, że jego ulubiona teoria na temat funkcjonowania świata jest prawdziwa – stąd mamy religię i ideologię, i wszystkie inne Wielkie Pomysły, które sprawiły kupę uciechy na przestrzeni dziejów.

Ludzie są również bardzo kiepscy w ocenianiu ryzyka i planowaniu. Wynika to

częściowo z tego, że sztuka przewidywania jest, jak wiadomo, bardzo trudna, szczególnie gdy dotyczy takich skomplikowanych systemów jak pogoda, rynki finansowe czy społeczeństwo. Ale inną przyczyną jest to, że gdy już wyobrazimy sobie możliwą przyszłość, która w pewien sposób nas zadowala (często dlatego, że pasuje do naszych wcześniejszych przekonań), radośnie zignorujemy wszelkie przeciwne dowody i nie będziemy chcieli słuchać niczyich sugestii, że możemy się mylić.

Jednym z najsilniejszych bodźców do planowania opartego na myśleniu życzeniowym jest oczywiście zachłanność. Widoki na szybkie zdobycie bogactwa odbierają ludziom rozsądek – okazuje się, że jesteśmy bardzo słabi w robieniu analizy kosztów i korzyści, gdy powab korzyści jest zbyt silny. Ludzie nie tylko będą przepływać oceany i wspinać się na góry dla (często iluzorycznej) obietnicy bogactwa, ale też chętnie odrzucą na bok wszelkie zasady moralności czy przyzwoitości.

Chciwość i samolubstwo dają o sobie znać również w innym powszechnym błędzie: razem niszczymy wspólną własność, coś, co jest dostępne dla wszystkich, ponieważ chcemy wyciągnąć korzyści dla siebie. W naukach

społecznych ta kategoria zawalania sprawy nosi nazwę „pułapki społecznej” albo „tragedii wspólnego pastwiska”: to, co robi jeden człowiek, może być absolutnie nieszkodliwe na krótką metę, ale gdy wielu ludzi równocześnie zacznie robić to samo, na dłuższą metę skutki okażą się opłakane. Często oznacza to niszczenie wspólnych zasobów przez ich nadmierne eksploatowanie: na przykład intensywna eksploatacja łowiska prowadzi do jego wyczerpania. Istnieje również pokrewna koncepcja w ekonomii, znana jako „negatywne efekty zewnętrzne” – dwie strony zawierają transakcję i obie dobrze na tym wychodzą, ale koszty ponosi ktoś, kto nie uczestniczy w transakcji. Klasycznym przykładem jest zanieczyszczenie środowiska: jeśli kupujemy coś, co zostało wyprodukowane w fabryce, zyskujemy my i zyskuje producent, ale stracić mogą ludzie mieszkający w dole rzeki, do której fabryka zrzuca toksyczne odpady.

Ta grupa pokrewnych błędów stoi za naprawdę dużą częścią ludzkich porażek – w ustrojach od kapitalizmu do komunizmu, w kwestii tak wielkiej jak zmiana klimatu i tak małej jak dzielenie się rachunkiem w restauracji. Wiemy, że bagatelizowanie konsekwencji tych

błędów jest kiepskim pomysłem, ale jeśli robią to wszyscy inni, nie chcemy być wśród tych, którzy stracą przez to, że tego nie zrobią. Dlatego wzruszamy ramionami i mówimy: „Nie mój problem, stary”.

Kolejnym z naszych najpowszechniejszych błędów są uprzedzenia: tendencja do dzielenia świata na „my” i „oni” oraz do bezkrytycznej wiary w najgorsze rzeczy dotyczące „ich”, kimkolwiek są. Tu schodzą się wszystkie nasze błędy poznawcze i urządzają imprezę nietolerancji: dzielimy świat według wzorców, które być może nie istnieją, dokonujemy pochopnych ocen na podstawie tego, co pierwsze wpadnie nam do głowy, wybieramy te argumenty, które podpierają nasze przekonania, rozpaczliwie próbujemy dopasować się do grupy i bez szczególnie dobrego powodu niezachwianie wierzymy w naszą wyższość.

(Właśnie to pod niejednym względem znajduje odzwierciedlenie w tej książce: jest to historia porażek ludzkości, ale tak naprawdę, poza kilkoma wyjątkami, to historia porażek ludzi, najczęściej białych ludzi – dlatego że często biali byli jedynymi, którzy mieli okazję zawalić. Na ogół skupianie się prawie wyłącznie na błędach starych białych facetów nie jest dobrym

podejściem w książkach historycznych, ale zważywszy na temat tej, chyba jest to uczciwe postawienie sprawy).

I na koniec: nasze pragnienie, by dopasować się do tłumu, oznacza, że mamy wyjątkową skłonność do ulegania przelotnej modzie, szaleństwom i wszelkiego rodzaju maniom – krótkim, gwałtownym obsesjom, które opanowują społeczeństwo i wyrzucają racjonalność przez okno. Przyjmują wiele różnych form. Niektóre mogą być czysto fizyczne, jak niewytłumaczalna plaga tańca, która co rusz ogarniała Europę przez mniej więcej cztery stulecia średniowiecza, gdy setki tysięcy ludzi „zarażały" się nagłym i nieodpartym pragnieniem tańczenia, czasami do śmierci.

Inne manie mają charakter finansowy, jak pragnienie pieniędzy połączone z chęcią, by przynależeć do tłumu i wierzyć w historie o sposobach na szybkie wzbogacenie się (w Londynie w 1720 roku wybuchła taka gorączka inwestowania w Kompanię Mórz Południowych, że pewna grupa cwaniaków z powodzeniem sprzedawała akcje „kompanii realizującej przedsięwzięcie, które przyniesie wielkie korzyści, chociaż nikt nie wie jakie"). Tak oto doszliśmy do baniek spekulacyjnych – kiedy

postrzegana wartość czegoś znacznie przewyższa wartość rzeczywistą, ludzie zaczynają inwestować w tę rzecz nie dlatego, że uważają, iż jest faktycznie coś warta, ale po prostu dlatego, że skoro wielu innych uważa, że jest coś warta, to można na tym zarobić. Oczywiście w końcu daje o sobie znać brutalna rzeczywistość, mnóstwo ludzi traci pieniądze i czasami wali się cała gospodarka.

Inną manią jest masowa panika, często wyrastająca z pogłosek, które grają na naszych lękach. Dlatego w różnych momentach historii dochodziło, w takiej czy innej formie, do polowania na czarownice, i to dosłownie we wszystkich kulturach na świecie (ocenia się, że podczas histerii trwającej od szesnastego do osiemnastego wieku w Europie zginęło pięćdziesiąt tysięcy ludzi).

To tylko kilka z błędów, które z męczącą przewidywalnością powtarzają się w całej historii cywilizacji. Ale oczywiście zanim mogliśmy zacząć popełniać je na poważnie, najpierw musieliśmy wynaleźć cywilizację.

5 NAJDZIWNIEJSZYCH MANII W DZIEJACH

Plaga tańca

Zagadkowe epidemie niekontrolowanego tańca powszechnie występowały w Europie od czternastego do siedemnastego wieku, niekiedy z udziałem tysięcy ludzi. Nikt nie jest całkowicie pewien, jaka była przyczyna.

Zatruwanie studni

Mniej więcej w tym samym czasie dochodziło do wybuchów masowej histerii z powodu fałszywych pogłosek o zatruciu studni, o co zwykle obwiniano Żydów. Niektóre z tych wybuchów doprowadziły do zamieszek i palenia żydowskich domów.

Kradzieże penisa

Wybuchy paniki, że złe siły kradną albo kurczą mężczyznom penisy, zdarzają się na całym świecie – w średniowiecznej Europie zrzucano winę na czarownice, w Azji na zatrutą żywność, a w Afryce na czarowników.

Epidemie śmiechu

Od lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku w wielu afrykańskich szkołach miały miejsce epidemie niepohamowanego śmiechu – najsłynniejsza, która wybuchła w Tanzanii w 1962 roku, trwała osiemnaście miesięcy i spowodowała czasowe zamknięcie szkół.

Czerwona panika

Klasyczna „panika moralna”; fala antykomunistycznej histerii omywała Stany Zjednoczone w latach czterdziestych i pięćdziesiątych dwudziestego wieku, gdy media i populistyczni politycy rozpowszechnili wyolbrzymione przekonanie, że komunistyczni agenci zinfiltrowali każdą część amerykańskiego społeczeństwa.

2

Jakie ładne macie tu środowisko

Około trzynastu tysięcy lat temu na Żyznym Półksiężycu w Mezopotamii ludzie zabrali się do robienia rzeczy, których dotychczas nie robili. Nastąpiło coś, co można by opisać jako „zmianę stylu życia”, i w tym wypadku oznaczało to dużo więcej niż ograniczenie spożycia węglowodanów i zapisanie się na siłownię. Ludzie wpadli na pomysł, że zamiast tradycyjnie zdobywać żywność – mianowicie wyprawiać się na jej poszukiwanie – lepiej ją do siebie sprowadzić. Zaczęli uprawiać rośliny.

Powstanie rolnictwa nie tylko ułatwiło wrzucenie czegoś na ruszt, podniosło też życie społeczeństwa na wyższy poziom i spowodowało głęboką zmianę w otaczającym nas świecie. Wcześniej grupy ludzkie z reguły żyły zgodnie z porami roku, podążając w ślad za pożywieniem. Kiedy wysiejesz ryż albo pszenicę, w zasadzie musisz tkwić w miejscu, żeby doglądać upraw. I stąd się wzięły stałe osady i wioski, a jakiś czas później miasta. I oczywiście wszystko, co się z nimi wiąże.

Rolnictwo było tak doskonałym pomysłem, że w ciągu kilku tysięcy lat pojawiło się, niezależnie od siebie, w mnóstwie różnych miejsc na różnych kontynentach – przynajmniej w Mezopotamii, Indiach, Ameryce Środkowej i Ameryce Południowej. Tyle że według pewnej szkoły naukowej wynalezienie rolnictwa tak naprawdę wcale nie było naszym najlepszym skokiem do przodu. W rzeczywistości mogło być strasznym błędem.

Przede wszystkim rolnictwo spowodowało narodziny zabawnej koncepcji, jaką są nierówności społeczne, gdy tylko wyłoniły się elity, które miały więcej dóbr niż inni ludzie, i zaczęły wszystkim rządzić. Mogło również stanowić genezę wojen, ponieważ kiedy masz wioskę, grozi ci niebezpieczeństwo napaści ze strony sąsiedniej wioski. Ponadto sprowadziło nowe choroby, a wspólne życie w coraz większych skupiskach stwarzało warunki do wybuchu epidemii. Są również dowody wskazujące, że ludzie ze społeczeństw nierolniczych więcej jedli, mniej pracowali i być może byli zdrowsi.

Zasadniczo (tak mówi koncepcja) mnóstwo najgorszych rzeczy we współczesnym życiu jest skutkiem tego, że tysiące lat temu ktoś wetknął

do ziemi kilka nasion. Rolnictwo przyjęło się nie dlatego, że ułatwiało życie, ale ponieważ umożliwiło powstanie społeczeństw, które miały przewagę ewolucyjną nad małymi społecznościami: rolnicy mogli mieć więcej dzieci (po pierwsze, z rolnictwa może wyżyć więcej ludzi, i po drugie, kiedy już nie masz potrzeby bezustannego przenoszenia się z miejsca na miejsce, nie musisz czekać, aż dziecko nauczy się chodzić, zanim postarasz się o następne) i mogli zajmować coraz więcej ziemi, w końcu przepędzając wszystkich nierolników. W 1987 roku Jared Diamond, zwolennik teorii „Rolnictwo było strasznym błędem", w artykule opublikowanym w magazynie „Discover" napisał: „Zmuszeni wybierać pomiędzy ograniczeniem populacji a próbą zwiększenia produkcji żywności, wybraliśmy to drugie, co doprowadziło do głodu, wojny i tyranii". Krótko mówiąc, przedłożyliśmy ilość nad jakość. Cali my.

W dodatku do wszystkiego innego [tu lekkie machnięcie ręką nad stanem świata] rolnictwo pchnęło nas na ścieżkę, która doprowadziła do wielu bardziej bezpośrednich, bardziej dramatycznych problemów.

Oczywiście zapoczątkowało zmianę środowiska – w końcu przecież na tym polega

uprawa roli. Bierzesz rośliny i umieszczasz je tam, gdzie ich obecność nie była planowana. Zaczynasz dokonywać zmian w krajobrazie. Próbujesz pozbyć się tego, czego nie chcesz, żebyś mógł wpasować więcej tego, co chcesz.

W każdym razie okazuje się, że jesteśmy naprawdę beznadziejni w obmyślaniu takich rzeczy.

Nasz świat jest zupełnie inny niż ten, w którym trzynaście tysięcy lat temu nasi przodkowie wysiali pierwsze nasiona. Rolnictwo zmieniło krajobraz i przyczyniło się do wprowadzenia gatunków nierodzimych na różne kontynenty, podczas gdy miasta, przemysł i nasza wrodzona tendencja do wyrzucania odpadków zmieniły glebę, morze i powietrze. I jeśli nie chcemy na siebie ściągnąć GNIEWU MATKI ZIEMI, czasami musimy pamiętać, że świat naturalny nie jest naszym placem zabaw.

Właśnie jak plac zabaw potraktowano środkowe równiny Stanów Zjednoczonych w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Jak to często bywa, na początku wszystko szło gładko. Ameryka parła na zachód i ludzie spełniali coś w rodzaju amerykańskiego snu. Polityka rządowa zachęcała do wędrówki na zachód i zajmowania się rolnictwem, dając osadnikom

darmowe działki na Wielkich Równinach. Niestety, na początku stulecia większość dobrej ziemi uprawnej – właściwie skrawki z przyzwoitymi zapasami wody – już została zajęta. Ludzie, co zrozumiałe, okazywali mniej entuzjazmu do gospodarowania na suchej, pylistej ziemi, więc rząd podwoił areał rozdawanej suchej, pylistej ziemi. „Wygląda to na niezły biznes”, stwierdzili osadnicy.

Z perspektywy czasu ten pęd do zagospodarowania każdego kawałka ziemi nie wydaje się najwspanialszym pomysłem na świecie, ale wtedy ludzie mieli mnóstwo powodów, by zakładać, że będzie cudownie. Były powody romantyczne – nostalgiczny powab rolniczego narodu pionierów – i pragmatyczne – zaspokojenie zapotrzebowania na żywność w rozwijającym się kraju. Ale była również szarlatańska pseudonauka, granicząca z religią: teoria, że „deszcz podąża za pługiem”, że prosty akt obsiania ziemi przywoła chmury deszczowe, przemieniając pustynię w żyzne, zielone tereny rolne. Zgodnie z tą teorią jedynym, co hamowało ekspansję rolnictwa w Ameryce, był brak woli. Jak w tym filmie z Kevinem Costnerem, *Pole marzeń*, tyle że zamiast duchów grających

w baseball wywoływało się plony zboża. Jeśli będziesz uprawiać ziemię, nadciągną deszcze.

Naprawdę w to wierzono i rzeczywiście często się zdarzało, że deszcz zaczynał padać niedługo po tym, jak rolnicy zajęli dany obszar. Przykro powiedzieć, ale działo się tak wyłącznie dlatego, że lata w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia, kiedy powstała owa teoria, były po prostu niezwykle deszczowe. Niestety, deszcze nie padały w nieskończoność.

Przyszła pierwsza wojna światowa i nagle posiadanie wszystkich tych ziem uprawnych wydało się doskonałym pomysłem: produkcja żywności w Europie niemal stanęła w miejscu, ale Ameryka mogła wyrównać ten zastój. Ceny były niebotyczne, padały deszcze i rząd dawał rolnikom wysokie dotacje na uprawę pszenicy, więc naturalnie rolnicy uprawiali pszenicę, zaorując coraz większe połacie prerii.

Jednak po wojnie ceny drastycznie spadły. Jeśli jesteś rolnikiem uprawiającym pszenicę i za mało na niej zarabiasz, to rozwiązanie jest oczywiste: musisz posiać więcej pszenicy. Farmerzy zainwestowali w nowe pługi mechaniczne, coraz głębiej rozdzierając glebę. Większa ilość pszenicy oznaczała jeszcze niższe ceny, co spowodowało… I tak dalej.

Potem nagle deszcze przestały padać. Gleba wyschła, a nie było korzeni traw, które scalały jej wierzchnią warstwę w czasie poprzednich okresów suszy. Przemieniła się w pył, który był podrywany przez wiatr i powstawały ogromne, kłębiące się chmury.

To właśnie te przerażające burze pyłowe – „czarne śnieżyce", które przysłaniały słońce, utrudniały oddychanie i zmniejszały widoczność do kilku kroków – stały się symbolem okresu Dust Bowl. W najgorszych latach rzadko zdarzał się w lecie dzień bez takiej burzy i nawet kiedy wiatr zamierał, chmury pyłu wciąż wisiały na niebie. Zdarzało się, że mieszkańcy przez wiele dni nie widzieli słońca. Burze pyłowe miały zdumiewający zasięg, kilka z nich przebyło tysiące kilometrów, pokrywając miasta takie jak Waszyngton i Nowy Jork gęstym całunem pyłu i obsypując statki płynące setki kilometrów od Wschodniego Wybrzeża.

Susza i burze pyłowe trwały prawie dziesięć lat. Były rujnujące pod względem gospodarczym i zmusiły kilka milionów ludzi do porzucenia farm. Wielu już więcej do nich nie powróciło, osiedlając się jeszcze dalej na zachodzie, głównie w Kalifornii. Część ziemi nigdy w pełni się nie odrodziła, nawet gdy znów zaczęło padać.

Amerykański okres Dust Bowl jest jednym z najbardziej znanych przykładów niezamierzonych konsekwencji ingerowania w środowisko. Ale – od wielkoskalowej geoinżynierii do plastikowych mikrogranulek, od wyrębu lasów do sprawiania, że rzeki robią to, czego na pewno nie powinny robić – nie jest jedynym.

Weźmy na przykład Jezioro Aralskie – chociaż musimy brać szybko, bo niewiele zostało do wzięcia.

To słone jezioro, zwane niekiedy morzem, o powierzchni ponad sześćdziesięciu siedmiu tysięcy kilometrów kwadratowych, jest jednym z największych jezior na świecie, a przynajmniej było. Otóż problem polega na tym, że już nie zajmuje ono sześćdziesięciu siedmiu tysięcy kilometrów kwadratowych.

Kiedyś wielkości Irlandii, obecnie ma sześć tysięcy siedemset kilometrów kwadratowych, chociaż ten stan się zmienia. Skurczyło się dziesięciokrotnie, tracąc ponad osiemdziesiąt procent wody. Już nie jest jednym dużym zbiornikiem – podzieliło się tak z grubsza na cztery mniejsze. „Z grubsza”, ponieważ jeden z nich może zupełnie zaniknąć. To, co zostało z Jeziora Aralskiego, jest martwym,

pozbawionym nawet odrobiny życia duchem, otoczonym przez rdzewiejące, rozpadające się szkielety statków, które leżą wiele kilometrów od pierwotnej linii brzegowej.

Co rodzi pytanie: Do licha, jak właściwie można stracić całe ogromne jezioro?

Odpowiedź jest prosta: zmieniasz bieg dwóch zasilających je rzek, bo wpadłeś na genialny pomysł uprawiania bawełny na pustyni. Tak właśnie zrobiły władze Związku Radzieckiego w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, ponieważ faktycznie chciały mieć więcej bawełny. Dlatego przystąpiono do realizacji potężnego projektu przekierowania wody z Amu-darii (która spływała do Jeziora Aralskiego z Uzbekistanu) i Syr-darii (która docierała do celu przez Kazachstan), żeby suche jak pieprz równiny pustyni Kyzył-kum mogły zostać przekształcone w monokulturę, która zaspokoi zapotrzebowanie Związku Radzieckiego na bawełnę. Trzeba przyznać, że plan nawodnienia ziem Turkmenistanu, Kazachstanu i Uzbekistanu okazał się częściowym sukcesem – chociaż ogromnie nieekonomicznym, ponieważ pustynie cechuje to, że są zupełnie suche i chłonne, więc siedemdziesiąt pięć procent wody z rzek nie miało szans dotrzeć na pola (doszła również

kwestia stosowania defoliantów, które spowodowały niebosiężny skok wskaźników śmiertelności niemowląt i występowania wad wrodzonych).

Zmiana biegu rzek, nie najgorsza dla przemysłu bawełnianego Azji Środkowej, okazała się katastrofalna dla Jeziora Aralskiego i jego otoczenia. Najwyraźniej nikomu nie przyszło na myśl – albo po prostu nikogo to nie obchodziło – że kiedy zatrzyma się wodę wpływającą do jeziora, szybko przestanie ono być jeziorem.

Jezioro Aralskie zaczęło się kurczyć już w latach sześćdziesiątych, ale ten proces znacznie przyśpieszył od końca lat osiemdziesiątych. Tylko około jednej piątej wody, która wcześniej je zasilała, pochodziła z opadów deszczu – resztę dostarczały rzeki. Kiedy więc zniknęły, zabrakło świeżej wody, żeby uzupełniać to, co wyparowywało. Poziom wody opadał, zaczęły się pojawiać nowe wyspy i przesmyki; na przełomie wieków jezioro podzieliło się na dwie części: małą północną i większą południową, z dużą wyspą pośrodku. Woda opadała, wyspa rosła i z czasem tylko cienka wstążka wody łączyła wschodnią i zachodnią połowę południowej części jeziora.

W końcu one też się rozdzieliły i latem 2014 roku zdjęcia satelitarne pokazały, że wschodnia część zupełnie wyschła, zostawiając po sobie tylko pustynię. Wschodnie jezioro pojawia się i znika, w zależności od pogody.

To już samo w sobie jest wystarczająco złe, ale wyłania się kolejny problem: kiedy woda wyparowuje, zostawia po sobie to, co zawierała. Przede wszystkim sól. Gdy Jezioro Aralskie się kurczyło, sól zostawała, więc woda była coraz bardziej słona i coraz mniej zdatna do podtrzymywania życia. Zasolenie wzrosło dziesięciokrotnie, co zabiło dosłownie każdą istotę żyjącą w jeziorach i spowodowało zniszczenie prężnego przemysłu rybnego, w którym pracowało sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Co gorsza, wzrastało stężenie zanieczyszczeń przemysłowych i rolniczych, które w końcu osiadły na powierzchni wyłaniającego się dna. Pustynie są, jakie są, więc wiatr podrywał z wysuszonej ziemi tony toksycznego pyłu i soli i rzucał je na leżące wokół byłych jezior wioski i miasta, gdzie mieszkały miliony ludzi. Rażąco wzrosła liczba zachorowań na raka i choroby układu oddechowego.

To niekoniecznie koniec Jeziora Aralskiego: ostatnie (bardzo kosztowne) wysiłki, by

doprowadzić wodę, przyniosły pewną poprawę w małym północnym zbiorniku, w którym stopniowo pojawia się coraz więcej gatunków ryb. Zbiornik południowy praktycznie spisano na straty. Ale Jezioro Aralskie wciąż jest świadectwem naszej skłonności do myślenia, że możemy wprowadzać wielkoskalowe zmiany w środowisku naturalnym, nie wywołując przy tym katastrofalnych skutków ubocznych.

Co dziwne, jedną z tych dwóch rzek przekształcono nie po raz pierwszy. Nie wiem, czy istnieje kategoria rekordów „najczęstsza zmiana biegu rzeki”, ale jeśli tak, Amu-daria ma duże szanse na zwycięstwo. Przez stulecia interwencje natury i ludzkich rządów zmieniały jej bieg – raz uchodziła do Jeziora Aralskiego, raz do Morza Kaspijskiego, a czasami do jednego i drugiego jednocześnie. Sądzi się, że w drugim stuleciu naszej ery wpływała na pustynię, gdzie wyparowywała, dopóki w pewnym momencie nie skręciła do Jeziora Aralskiego. Na początku trzynastego wieku wyjątkowo drastyczna interwencja imperium mongolskiego znowu zmieniła jej bieg (więcej na ten temat w dalszym rozdziale), kierując co najmniej część nurtu do Morza Kaspijskiego, a pod koniec szesnastego wieku Amu-daria wróciła do Jeziora Aralskiego.

W latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, na długo przed powstaniem Związku Radzieckiego, w cesarstwie rosyjskim poważnie rozważano, czy nie skierować jej z powrotem do Morza Kaspijskiego, ponieważ stwierdzono, że słodka woda się marnuje, wpadając do słonego jeziora. Co?! Ludzie, nie tak to działa.

Rolnictwo pierwsze sprawiło, że zaczęliśmy wprowadzać dramatyczne zmiany w środowisku, często z nieprzewidzianymi skutkami, ale z czasem straciło monopol. Pod wieloma względami zostało daleko w tyle za przemysłem i naszym najwyraźniej niepohamowanym pragnieniem, by wyrzucać to, co zbędne, gdzie tylko się da – bez jednej myśli o konsekwencjach.

Przykładem tych konsekwencji jest pożar na rzece Cuyahoga, która pewnego poranka w ciepły letni dzień 1969 roku stanęła w ogniu.

Rzeki, żeby było jasne, nie powinny płonąć. Dla czytelników, którzy wciąż mają mętne pojęcie na temat ogólnej koncepcji rzek, wyjaśnienie: rzeka to masa wody płynącej w naturalnym korycie, a przecież woda nie jest powszechnie uważana za ciecz szczególnie łatwopalną. Rzeki robią bardzo dużo różnych rzeczy – przenoszą wodę z wyżyn na niziny, są metaforą upływu czasu, tworzą meandry, żeby

dzieci mogły nauczyć się nowego słowa na lekcji geografii – ale stawanie w płomieniach absolutnie do nich nie należy.

Jednak w 1969 roku rzeka Cuyahoga się zapaliła i co więcej, nie po raz pierwszy. I nawet nie drugi. Cuyahoga, która leniwie meandruje przez uprzemysłowioną północną część Ohio, przecina miasto Cleveland i wpada do jeziora Erie, została opisana przez dziewiętnastowiecznego burmistrza Clevelandu jako „otwarty ściek w środku miasta", była tak zanieczyszczona, że w ciągu poprzednich stu jeden lat stawała w ogniu nie mniej niż trzynaście razy. Płonęła w roku 1868, 1883, 1887, 1912 (kiedy pięciu ludzi zginęło w spowodowanych przez ogień eksplozjach), 1922 i 1930. W 1936 roku potężny pożar szalał przez pięć dni – co, pozwolę sobie powtórzyć, nie jest tradycyjnym zachowaniem w przypadku rzek. Cuyahoga powtórzyła swój wyczyn w roku 1941 i 1948, a później, najbardziej niszczycielsko, w 1952 roku, kiedy zapaliła się zalegająca na wodzie plama ropy o grubości pięciu centymetrów, powodując pożogę, która strawiła most i stocznię; łączne zniszczenia oszacowano na półtora miliona dolarów.

W porównaniu z pożarem w 1952 roku, ten w 1969 był stosunkowo niewielki, ale zapłon mieszaniny ropy, odpadów przemysłowych i śmieci, które utworzyły coś w rodzaju płynącej z nurtem łatwopalnej góry śmieci, zapewnił imponujące widowisko (płomienie miały wysokość pięciu pięter). Sytuacja została opanowana w ciągu pół godziny – najwyraźniej straż pożarna Clevelandu do perfekcji opanowała gaszenie płonącej rzeki. Ludzie z miasta tak przywykli do tego rodzaju zdarzeń, że gazeta „Cleveland Plain Dealer" poświęciła „pożarowi przeklętej rzeki" ledwie pięć akapitów w środku numeru.

Ale jeśli anielsko cierpliwi mieszkańcy Clevelandu kwitowali pożary lakonicznym „O, znowu", to w 1969 roku naród jako całość okazał się mniej wyrozumiały. Po ostatnim pożarze na Cuyahodze sytuacja się zmieniła. Były to przecież lata sześćdziesiąte i społeczeństwem do szpiku kości wstrząsały różne rewolucyjne nowe idee, takie jak „Mniej wojen", „Nie bądźmy aż takimi rasistami" i „Może spróbujemy nie spieprzyć tej planety do samego końca".

Tak więc kilka tygodni po pożarze ukazał się na łamach magazynu „Time" artykuł o stanie amerykańskich rzek, zatytułowany *Amerykański*

system ścieków i cena optymizmu, z pamiętnym opisem Cuyahogi: „Czekoladowobrązowa, oleista, z bąblami podpowierzchniowego gazu, sączy się, zamiast płynąć (…). Otwarty ściek zapełniający mazią jezioro Erie”. Artykuł przyciągnął uwagę społeczeństwa i zapoczątkował powszechne żądania zmiany – głównie dzięki zamieszczonemu w nim szokującemu zdjęciu, które przedstawiało spowitą płomieniami łódź i wysiłki walczących z ogniem zastępów straży pożarnej. W rzeczywistości zdjęcie nie pochodziło z 1969 roku, była to archiwalna fotografia z roku 1952, ponieważ ten późniejszy pożar ugaszono tak szybko, że nikt nie miał szans go sfotografować czy sfilmować. W 1952 roku zdjęcie nie przemówiło do wyobraźni ludzi, ale siedemnaście lat później zrobiło swoje. Czasami wyczucie czasu to podstawa.

Od dziewiętnastego wieku zakłady przemysłowe Ohio radośnie zrzucały do Cuyahogi produkty uboczne, a nawet produkty swojej pracy. Media regularnie grzmiały na ten stan rzeczy, społeczeństwo, na czele z politykami, powtarzało: „Uch, może jednak powinniśmy coś z tym zrobić?” – i nikt tak naprawdę nic z tym nie robił. Po drugiej wojnie światowej podjęto kilka mało entuzjastycznych prób, ale miały one na

celu przede wszystkim poprawę bezpieczeństwa żeglugi, a nie przywrócenie zgodnej z naturą całkowitej niepalności rzeki.

To może jednak trochę niesprawiedliwe, że Cuyahoga stała się narodowym symbolem bierności ludzi w obliczu niszczenia środowiska – niesprawiedliwe choćby dlatego, że rok przed pożarem władze Clevelandu rzeczywiście wydały kilka rozporządzeń nakazujących ostateczne oczyszczenie rzeki. Wielu lokalnych urzędników poczuło się nieco dotkniętych, gdy ich rzekę wybrano jako przykład wszystkich zanieczyszczonych dróg wodnych w kraju (do tego stopnia, że nawet pisano o tym piosenki). „Już robiliśmy wszystko co trzeba, żeby ją oczyścić, i znowu wybuchł pożar”, skarżył się jeden z nich.

Bo przecież nie była to w owym czasie jedyna płonąca rzeka. Rzeka Buffalo zapaliła się w 1968, rok przed Cuyahogą, a Rouge w Michigan stanęła w płomieniach ledwie kilka miesięcy później, w październiku 1969 roku („Kiedy masz płonącą rzekę, na litość boską, masz także kłopoty”, lamentowała gazeta „Detroit Free Press”.) Cuyahoga nawet nie jest jedyną rzeką, która stawała w ogniu kilka razy – w dziewiętnastym wieku rzeka Chicago płonęła tak regularnie, że

ludzie przychodzili oglądać pożary jak pokazy fajerwerków w Dzień Niepodległości – chociaż zdecydowanie zgarnia nagrodę główną w kategorii „najczęściej płonąca rzeka” w Ameryce Północnej.

Niemniej opowieść o płonącej rzece zrobiła swoje, napędzając akcję narodową. Ruch na rzecz ochrony środowiska, rodzący się na gruncie, który już przygotowały takie książki jak wydana w 1962 roku *Silent Spring* Rachel Carson, zaczął się jednoczyć (w następnym roku ogłoszono pierwszy Dzień Ziemi). Zmuszony do działania Kongres wydał w 1972 roku ustawę o czystości wód. Stopniowo stan amerykańskich rzek poprawiał się, do tego stopnia, że teraz raczej nie stają w ogniu. W rzadkim przypadku szczęśliwego zakończenia w tej książce, ludzie naprawdę zrobili co trzeba, żeby poprawić stan rzeczy, i – ha, ha – absolutnie nie ma szans, by administracja Trumpa – zmartwiona, że przemysłowi nie wolno za bardzo zanieczyszczać rzek – kiedykolwiek podjęła próbę obniżenia standardów czystości wody. [Zakryć uszy]. Aha, słyszałem, że właśnie to zrobiono.

Stające w płomieniach duże cieki wodne mogą być jednym z bardziej dramatycznych przykładów niezawodnego talentu ludzkości do

brutalnego ingerowania w świat przyrody, ale na pewno nie jedynym. Na świecie nie brakuje przykładów, że udaje nam się zrobić potężny bałagan właściwie wszędzie tam, gdzie jesteśmy. Czy wiesz, że w Zatoce Meksykańskiej istnieje wielka „martwa strefa”? To rozległy akwen, praktycznie bez śladów życia, rozpoczynający się od miejsca, gdzie z rolniczych terenów Południa USA spływają nawozy sztuczne. Powodują one kwitnienie glonów, które rozmnażają się jak opętane i okradają wodę z tlenu, zabijając wszystko, co nie jest glonami. Tak trzymać, chłopaki!

Albo weźmy nasze zamiłowanie do wyrzucania niepotrzebnych rzeczy, bez chwili refleksji, że przecież w końcu muszą one gdzieś trafić. W chińskim mieście Guiyu powstało owiane złą sławą gigantyczne, zajmujące ponad pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych cmentarzysko niechcianych gadżetów świata, z wysokimi hałdami przestarzałych laptopów i zeszłorocznych smartfonów. Do niedawna było również piekłem na ziemi, z zatruwającymi powietrze gęstymi pióropuszami czarnego dymu, z wszechobecnym smrodem płonącego plastiku, z toksycznymi solami metali ciężkich, które po kąpieli złomu w kwasie solnym wsączały się

w glebę i ludzi (było to na porządku dziennym, dopóki kilka lat temu chiński rząd nie podwyższył norm dotyczących ochrony zdrowia i bezpieczeństwa. Niedługo później Yang Linxuan, mieszkaniec Guiyu, w wywiadzie dla gazety „South China Morning Post” powiedział, że jakość powietrza znacznie się poprawiła. „Czuć tylko płonący metal, gdy jest się naprawdę blisko”).

Może najbardziej imponującym dokonaniem na tym polu jest Wielka Pacyficzna Plama Śmieci. To niemal poetyckie, że pośrodku oceanu istnieje ogromne wirujące wysypisko wielkości Teksasu, utworzone i więzione przez wir prądów Pacyfiku Północnego. Plama składa się głównie z mikroskopijnych cząstek plastiku, niewidocznych gołym okiem, ale dla życia morskiego będących czymś bardzo realnym. Ostatnio naukowcy ocenili, że odkąd w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku zaczęliśmy powszechnie używać tworzyw sztucznych, wyprodukowaliśmy ich łącznie około ośmiu miliardów trzystu milionów ton. Z tego sześć miliardów trzysta milionów ton wyrzuciliśmy i właśnie to poniewiera się po powierzchni Ziemi. Hurra, istoty ludzkie!

Ale jeśli chcemy poznać najbardziej poruszający przykład zniszczenia własnego habitatu przez ludzi, którzy wcale nie mieli takich niszczycielskich ambicji, trzeba spojrzeć na wyspę pełną ogromnych kamiennych głów.

Głowy, które straciliśmy

Kiedy w 1722 roku pierwsi Europejczycy dobili do brzegów Wyspy Wielkanocnej (holenderska wyprawa szukała rzekomo nieodkrytego kontynentu, który nie istnieje, idioci), nie posiadali się ze zdumienia. Jak ten maleńki, całkowicie odizolowany polinezyjski lud, nie posiadając ani nowoczesnej techniki, ani drzew, zdołał stworzyć i postawić te wielkie kunsztowne posągi – niektóre wysokie na dwadzieścia metrów i ważące prawie dziewięćdziesiąt ton?

Najwyraźniej zaciekawienie Holendrów nie trwało długo: szybko przeszli do czynności rutynowych dla Europejczyków, a mianowicie po szeregu nieporozumień zastrzelili gromadę tubylców. Przez następne dziesięciolecia europejscy goście kontynuowali robienie tego, co mieli w zwyczaju robić w „odkrytych” miejscach,

czyli sprowadzali nowe śmiertelne choroby, wywozili tubylców do niewolniczej pracy i w ogóle piekielnie ich gnębili (zajrzyj dalej, do rozdziału o kolonializmie).

W późniejszych stuleciach biali ludzie wysnuli mnóstwo teorii, w jaki sposób tajemnicze posągi znalazły się na wyspie zamieszkanej przez „prymitywny" lud – głównie dotyczących mało prawdopodobnego przetransportowania ich z odległych kontynentów albo nawet jeszcze mniej prawdopodobnej ingerencji kosmitów („Zrobili to kosmici" – jest ulubionym i oczywiście wyjątkowo racjonalnym rozwiązaniem zagadki, jak niebiali ludzie mogli zbudować coś niewyobrażalnego dla białych ludzi). Odpowiedź na to pytanie jest naturalnie prosta: wyciosali je i ustawili Polinezyjczycy.

W czasach gdy Holendrzy dobili do brzegów Rapa Nui (przy okazji nadając wyspie swoją nazwę), Polinezyjczycy stanowili jedną z największych cywilizacji świata, która badała i zasiedlała wyspy rozrzucone na tysiącach kilometrów kwadratowych oceanu. Wcześniej Europejczycy, nie licząc kilku zbłąkanych wikingów, właściwie nie wyściubiali nosów poza swoje podwórka.

Wyspa Rapa Nui stała się ojczyzną zaawansowanej kultury z międzygrupową współpracą, intensywną uprawą roli, rozwarstwionym społeczeństwem i ludźmi dojeżdżającymi do pracy: zasadniczo był tam cały szajs, jaki generalnie kojarzymy z luksusem i sznytem. Posągi – *moai* w języku polinezyjskim – stanowiły koronne osiągnięcie sztuki powszechnie uprawianej przez inne polinezyjskie społeczeństwa. Były ważne dla mieszkańców Rapa Nui z powodów duchowych i politycznych; upamiętniały przodków, których twarze wyobrażały, i jednocześnie symbolizowały prestiż tych, którzy nakazali ich budowę.

Tak oto jedna zagadka ustąpiła miejsca innej: nie „Skąd się wzięły posągi?”, ale „Gdzie się podziały drzewa?”. Ponieważ w jakikolwiek sposób mieszkańcy Rapa Nui dostarczali te posągi na miejsce, potrzebowali mnóstwa cholernie wielkich pni. I jak doszło do tego, że potężna cywilizacja twórców *moai* przemieniła się w małą społeczność biednych rolników, którzy powitali tych pierwszych holenderskich żeglarzy (a potem zostali przez nich zastrzeleni)?

Odpowiedź jest taka, że mieszkańcy Rapa Nui i mieli pecha, i spieprzyli sprawę.

Mieli pecha, ponieważ warunki geograficzne i ekologiczne ich wyspy okazały się niezwykle wrażliwe na skutki wylesienia. Jak Jared Diamond (ten od „rolnictwo było naszym największym błędem”) wyjaśnia w swojej książce *Upadek* (w której mieszkańcy Rapa Nui zajmują poczesne miejsce), w porównaniu z większością wysp polinezyjskich Wyspa Wielkanocna była mała, sucha, płaska, zimna i odizolowana: wszystkie te cechy minimalizowały szanse na naturalne odradzanie się wycinanego lasu.

I spieprzyli, bo chcąc budować lepsze domy, lepsze łodzie i lepszą infrastrukturę do transportu posągów, radośnie ścinali drzewa – może nie zdając sobie sprawy, że już się nie odrodzą – aż nagle nie zostało ani jedno. To „tragedia wspólnego pastwiska” pisana wielkimi literami. Nikt, kto ścinał drzewo, nie był niczemu winny, dopóki nie zrobiło się za późno – i w tym momencie odpowiedzialność spadła na wszystkich.

Skutki były katastrofalne dla mieszkańców Rapa Nui. Bez drzew nie mogli budować łodzi, które pozwalały im łowić ryby na otwartym oceanie; cienka i niczym niechroniona warstwa gleby ulegała erozji pod wpływem wiatru i deszczu, jałowiała i powodowała osuwiska,

które niszczyły wioski; w chłodne zimy wyspiarze musieli palić resztki roślinności, żeby się ogrzać.

I w miarę pogarszania się spraw wzrastała rywalizacja o coraz uboższe zasoby. Doprowadziło to do wyniku tragicznego, ale też dziwnie przewidywalnego, zważywszy na częste zachowanie ludzi w rozpaczliwej sytuacji, gdy pragną pozycji społecznej, podbudowania morale albo tylko drobnego zapewnienia, że nie popełnili koszmarnego błędu. Otóż mieszkańcy Rapa Nui nie tylko nie przestali budować posągów, ale wręcz zdwoili wysiłki. Skupili się na tym, co znane, ponieważ… cóż, z reguły tak właśnie postępują ludzie z problemem, którego, jak się obawiają, nie potrafią rozwiązać. Ostatni posąg wyciosany na wyspie nawet nie opuścił kamieniołomu, a inne zostały porzucone na skraju drogi, nie docierając na miejsce przeznaczenia, gdy cały projekt ostatecznie legł w gruzach.

Polinezyjczycy nie byli głupsi niż ty czy ja; nie byli ani prymitywni, ani nieświadomi faktu, że żyją w określonym środowisku. Jeśli uważasz, że twierdzenie, iż społeczeństwo w obliczu potencjalnej katastrofy ekologicznej ignoruje problem i wzmaga akurat te działania, które go

spowodowały, brzmi głupio, to może… Może warto się rozejrzeć? (A następnie przykręcić termostat i zająć się segregowaniem odpadów).

W *Upadku* Jared Diamond zastanawia się nad pytaniem: „Co powiedział wyspiarz ścinający ostatnią palmę?”. To bardzo dobre pytanie i takie, na które dość trudno znaleźć odpowiedź. Pewnie była to jakaś polinezyjska wersja YOLO[2].

Ale chyba lepsze pytanie dotyczy tego, co myślał wyspiarz, który ścinał przedostatnie drzewo albo trzecie lub czwarte od końca. Jeśli reszta dziejów ludzkości może być jakąś wskazówką, to całkiem prawdopodobne, że pomyślał sobie coś w stylu: „Nie mój problem, stary”.

7 ZDUMIEWAJĄCYCH WIDOKÓW, KTÓRYCH NIGDY NIE ZOBACZYSZ, PONIEWAŻ ZOSTAŁY ZNISZCZONE PRZEZ LUDZI

Partenon

Jeden z klejnotów antycznej Grecji do roku 1687, kiedy to podczas wojny z Wenecją Osmanowie przekształcili go w skład prochu. Jeden szczęśliwy strzał Wenecjan później – i koniec Partenonu.

Świątynia Artemidy

Jeden z rzeczywistych siedmiu cudów świata starożytnego, do roku 356 p.n.e., kiedy niejaki Herostrates puścił go z dymem, bo zależało mu na popularności.

Jezioro Boeung Kak

Największe i najpiękniejsze jezioro w kambodżańskiej stolicy Phnom Penh, dopóki nie postanowiono zasypać go piaskiem, żeby zbudować na nim luksusowe apartamentowce. Obecnie kałuża.

Posągi Buddy z Bamianu

Wspaniałe posągi Gautamy Buddy w centralnym Afganistanie, wysokie na ponad trzydzieści metrów, w 2001 roku wysadzone w powietrze przez talibów, ponieważ były „bożkami". Niech was szlag.

Nohmul

Wielka piramida, najświetniejszy zabytek kultury Majów w Belize, zniszczona przez firmę budowlaną, ponieważ potrzebowano żwiru do budowy drogi.

Rzeka Slims

Spora kanadyjska rzeka na terytorium Jukonu, która zniknęła w ciągu czterech dni w 2017 roku,

gdy zmiany klimatu spowodowały cofnięcie się czoła lodowca, z którego wypływała.

Drzewo z Ténéré

Słynne, najbardziej odizolowane drzewo na kuli ziemskiej, rosnące samotnie pośrodku Sahary – do 1973 roku, kiedy to, mimo że było jedyne w promieniu czterystu kilometrów, pijany kierowca zdołał w nie wcelować swoją ciężarówką.

3

Życie zawsze znajdzie sposób

Wraz z zapoczątkowaniem uprawiania ziemi pierwsi rolnicy, tych kilka tysięcy lat temu, zaczęli robić coś jeszcze, co miało zmienić świat na wiele dziwnych i nieprzewidywalnych sposobów – zaczęli udomawiać zwierzęta.

Tak naprawdę pierwsze udomowienie zwierzęcia prawie na pewno wyprzedza o tysiące lat rozwój rolnictwa, było też raczej szczęśliwym przypadkiem niż efektem przemyślanego planu. Pierwszymi oswojonymi zwierzętami były psy i wydaje się, że proces udomowienia zaczął się między czterdzieści a piętnaście tysięcy lat temu w Europie, na Syberii, w Indiach, w Chinach albo gdzieś indziej (niepewność bierze się stąd, że DNA psa jest nieźle zabałaganione, ponieważ psy radośnie bzykają się z każdym innym psem, na jakiego się natkną). Wprawdzie możliwe, że nasz przodek, przedsiębiorczy łowca-zbieracz, pewnego dnia się zbudził i powiedział: „Zamierzam zaprzyjaźnić się z wilkiem, który będzie Bardzo Grzecznym Pieskiem”, ale bardziej prawdopodobne, że psy (przynajmniej na

początku) zasadniczo same się udomowiały. Najbardziej wiarygodna historia jest po prostu taka, że wilki zaczęły chodzić za ludźmi, bo ludzie mieli pożywienie i pozostawiali resztki. Z czasem wilki coraz bardziej adaptowały się do życia z ludźmi, a ludzie uświadomili sobie, że żyjące z nimi przyjazne wilki są całkiem dobre do stróżowania i polowania, a poza tym przecież takie fajne z nich futrzaki.

Ale kiedy uprawianie ziemi ruszyło pełną parą, ludzie wykombinowali, że to, co robią z roślinami, mogą też robić ze zwierzętami i w ten sposób zaoszczędzą sobie trudów polowania. Jakieś jedenaście tysięcy lat temu w Mezopotamii udomowiono kozy i owce. Pięćset lat później na terenach dzisiejszej Turcji, a także obecnego Pakistanu, udomowiono bydło. Świnie też udomowiono w dwóch rejonach, około dziewięciu tysięcy lat temu – w Chinach i Turcji. Jakieś sześć, pięć i pół tysiąca lat temu na stepach Eurazji, prawdopodobnie na terenach dzisiejszego Kazachstanu, udomowiono konie. Tymczasem w Peru, około siedmiu tysięcy lat temu, ludzie oswoili świnkę morską. Oczywiście to dokonanie jest nieco mniej imponujące, ale i tak było całkiem fajne.

Udomowienie zwierząt miało mnóstwo korzyści – zapewniało podręczny zapas białka, wełnę na ubrania i gnój do użyźniania pól. Naturalnie były również minusy, o czym wspomnieliśmy w poprzednim rozdziale. Trzymanie zwierząt sprzyja przenoszeniu się chorób, hodowla staje się źródłem nierówności społecznych, a militarne wykorzystanie koni i słoni uczyniło wojnę znacznie bardziej… wojenną.

W dodatku udomowienie zwierząt podsunęło nam pomysł, że jesteśmy panami natury i że od tej chwili zwierzęta i rośliny mają wykonywać nasze polecenia. Niestety, jak zobaczymy w tym rozdziale, niezupełnie tak to działa. Uparcie wierzymy, że możemy zmusić przyrodę ożywioną do robienia dokładnie tego, czego od niej chcemy, co ma dosyć paskudny nawyk obracania się przeciwko nam.

Dla przykładu przeskoczmy do roku 1859, kiedy Thomasa Austina ogarnęła lekka nostalgia.

Thomas, Anglik, przybył do australijskiej kolonii jako nastolatek. Parędziesiąt lat później był zamożnym hodowcą owiec i właścicielem ponad dziesięciu tysięcy hektarów w stanie Wiktoria. Tam z entuzjazmem oddawał się zajęciom typowym dla swoich przodków: jako

zapalony sportsmen hodował i trenował konie wyścigowe, a ponadto założył wielki park, gdzie urządzał polowania. Jego posiadłość zyskała taką sławę wśród australijskiej śmietanki towarzyskiej, że książę Edynburga gościł tam za każdym razem, gdy odwiedzał Australię. Po śmierci Austina w nadzwyczaj pochlebnym nekrologu napisano, że „lepszego przedstawiciela prawdziwych staroangielskich ziemian nie można by znaleźć ani tu, ani w ojczyźnie".

Zdecydowany wieść życie tradycyjnego angielskiego dziedzica nawet na końcu świata, Austin nie szczędził starań, żeby odtworzyć odrobinę Anglii na antypodach. I niestety, taki był początek koszmaru.

Austin uznał, że polowania staną się znacznie bardziej atrakcyjne, jeśli sprowadzi do Australii zwierzęta, do jakich strzela się w Anglii (przypuszczalnie kangury nie do końca spełniały jego wymagania). Kazał bratankowi załadować na statek bażanty i kuropatwy, zające, kosy i drozdy. I co najważniejsze, dwadzieścia cztery angielskie króliki. „Kilka królików – powiedział – wyrządzi niewielkie szkody, a może będzie powiewem ojczystych stron i stworzy przy tym trochę okazji do polowania".

Bardzo, ale to bardzo się mylił co do „niewielkich szkód”. Chociaż trzeba mu oddać sprawiedliwość, że króliki rzeczywiście stworzyły okazję do polowania.

Austin nie był pierwszą osobą, która sprowadziła króliki do Australii, ale to jego króliki w znacznej mierze stały się odpowiedzialne za rychłą katastrofę. Problem z królikami polega na tym, że mnożą się jak… cóż, jak króliki. Skalę problemu mogą uzmysłowić słowa Austina, który w roku 1861, ledwie dwa lata po przybyciu dostawy, chełpił się w liście: „Mam tysiące angielskich dzikich królików”.

Nie skończyło się na tysiącach. Dziesięć lat po sprowadzeniu dwudziestu czterech królików w Wiktorii co roku odstrzeliwano dwa miliony sztuk, bez najmniejszego uszczerbku dla ich populacji. Królicza armia rozprzestrzeniała się po całym stanie, pokonując, jak oceniono, sto trzydzieści kilometrów rocznie. W 1880 roku króliki zawędrowały do Nowej Południowej Walii, w 1886 do Australii Południowej i Queensland, w 1890 do Australii Zachodniej i w 1900 na Terytorium Północne.

W latach dwudziestych ubiegłego wieku, podczas apogeum króliczej plagi, populację

królików szacowano na dziesięć miliardów sztuk – średnio tysiąc dwieście na kilometr kwadratowy. Australia była dosłownie pokryta królikami.

Króliki nie tylko się mnożą – króliki również jedzą (w końcu rozmnażanie się wzmaga apetyt). Ogołociły ziemię z roślinności, powodując wymarcie licznych gatunków roślin. Rywalizacja o pożywienie sprawiła, że wiele australijskich zwierząt znalazło się na krawędzi wymarcia, a gleba, której już nie spajały korzenie, kruszyła się i ulegała erozji.

Skala problemu stała się jasna w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Władze odchodziły od zmysłów, bo nic nie mogło pohamować natarcia. Rząd Nowej Południowej Walii w gazecie „Sydney Morning Herald" zamieścił nieco rozpaczliwy apel, obiecując nagrodę „25 000 funtów osobie albo osobom, które opracują (…) jakąś nieznaną dotąd w kolonii metodę lub procedurę umożliwiającą skuteczne wytępienie królików".

W następnych dziesięcioleciach Australijczycy strzelali, zastawiali pułapki, rozkładali trutki, wypalali i odymiali królicze nory albo wpuszczali tam fretki. Na początku dwudziestego wieku postawili długi na ponad półtora tysiąca

kilometrów płot, żeby króliki nie przedostały się do Australii Zachodniej, ale nic z tego, bo te zwierzęta nie dość, że umieją kopać tunele, to najwidoczniej nauczyły się też wspinać na ogrodzenia.

Australijskie króliki są jednym z najsłynniejszych przykładów problemu, który zaczynamy rozwiązywać wtedy, gdy jest prawie za późno: ekosystemy są absurdalnie złożone i eksperymentuje się z nimi zawsze na własne ryzyko. Zwierzęta i rośliny po prostu nie będą grać według naszych zasad, gdy beztrosko postanowimy przenieść je z miejsca na miejsce. „Życie – jak kiedyś powiedział pewien wielki filozof – się uwalnia, rozprzestrzenia na nowe obszary, przedziera przez wszelkie bariery, nie zważając na ból ani na niebezpieczeństwa. Zawsze znajdzie sposób" (dobra, powiedział to Jeff Goldblum w *Parku Jurajskim*. Jak mówię, wielki filozof).

Jak na ironię, po pierwotnym zawaleniu sprawy, czyli sprowadzeniu królików do Australii, ostateczne rozwiązanie też okazało się skutkiem ludzkiego błędu. Przez kilkadziesiąt lat australijscy naukowcy eksperymentowali z używaniem broni biologicznej: zarażali króliki chorobami (najbardziej znana to myksomatoza

w latach pięćdziesiątych) w nadziei, że w ten sposób zredukują populację. Przez jakiś czas szło doskonale, liczba królików radykalnie spadła, ale i tak skończyło się klapą. Chorobę przenoszą komary, więc nie atakowała tam, gdzie komary nie występowały, a w końcu króliki uodporniły się na wirusa i ich liczba znowu zaczęła wzrastać.

Naukowcy nie zrezygnowali z poszukiwania nowych czynników biologicznych. W latach dziewięćdziesiątych pracowali nad wirusem choroby krwotocznej królików. Eksperymentowanie z chorobami jest niebezpieczne, więc prowadzili badania na wyspie, aby zminimalizować ryzyko, że wirus się wymknie i rozprzestrzeni po kontynencie. Śmiało. Zgadnijcie, co się stało.

Tak, w roku 1995 wirus się wymknął i dotarł na ląd. Życie wyrwało się na wolność, w tym wypadku podróżując na gapę na kilku muchach. Ale po nieplanowanym uwolnieniu zabójczego (dla królików) patogenu naukowcy z zadowoleniem stwierdzili, że to… działa. W ciągu dwudziestu lat od uwolnienia tej wirusowej choroby krwotocznej populacja królików w Australii Południowej znacząco zmalała, flora zaczęła się odradzać i wzrosła

liczba zwierząt z gatunków, którym groziło wymarcie. Należy tylko mieć nadzieję, że choroba królików nie będzie miała jakichś innych skutków ubocznych.

Króliki australijskie zdecydowanie nie są jedynym przykładem dowodzącym, że czasami powinniśmy zostawiać rośliny i zwierzęta tam, gdzie je znaleźliśmy.

Inny przykład to okoń nilowy, długi na dwa metry żarłoczny drapieżnik, który, jak sugeruje nazwa, pochodzi z Nilu. Jednak brytyjscy kolonizatorzy Afryki Wschodniej mieli wobec niego ambitniejsze plany. Pomyśleli, że doskonałym pomysłem będzie introdukowanie go w Jeziorze Wiktorii, największym w Afryce. W Jeziorze Wiktorii już żyło mnóstwo ryb i miejscowym rybakom w zupełności to wystarczało, ale Brytyjczycy postanowili ulepszyć istniejący stan rzeczy. W owym czasie największą grupę ryb w jeziorze stanowiły pielęgnicowate, te urocze rybki uwielbiane przez akwarystów. Niestety, brytyjscy urzędnicy kolonialni ich nie cierpieli, uważając je za „śmieciowe ryby".

Stwierdzili, że Jezioro Wiktorii będzie się miało znacznie lepiej po wpuszczeniu do niego większych, fajniejszych ryb. Uznali, że przyczyni

się to do wzrostu połowów. Wielu biologów ostrzegało, że nie jest to dobry pomysł, ale w 1954 roku pomysłodawcy przeszli od słów do czynów i wpuścili okonia nilowego do jeziora. Okoń nilowy z miejsca zaczął robić to, co robi okoń nilowy: zjadał gatunek po gatunku.

Brytyjscy urzędnicy mieli rację co do jednego: introdukcja rzeczywiście zwiększyła połowy. Nastąpił gwałtowny rozwój przemysłu rybnego, okoń nilowy cieszył się popularnością jako ryba poławiana komercyjnie i rekreacyjnie. Ale podczas gdy wartość przemysłu rybnego wzrosła o pięćset procent, zapewniając setki tysięcy miejsc pracy, liczba gatunków w Jeziorze Wiktorii radykalnie spadła. Wymarło ich ponad pięćset, w tym dwieście gatunków biednych pechowych pielęgnic.

Nie tylko zwierzęta mogą się wymknąć spod kontroli. Azjatycka roślina opornik łatkowaty, inaczej kudzu, w latach trzydziestych ubiegłego wieku została sprowadzona do Stanów Zjednoczonych w ramach próby rozwiązania wspomnianego już problemu: Dust Bowl. Urzędnicy mieli nadzieję, że szybko rosnące pnącze pomoże związać glebę i zapobiegnie dalszej erozji. I pnącze okazało się w tym całkiem dobre. Niestety, było dobre również w porastaniu

innych roślin i drzew, a także domów, samochodów i wszystkiego, na co się natknęło. Rozprzestrzeniło się w południowych Stanach Zjednoczonych tak bardzo, że zyskało przydomek „Pnącza, które pożarło Południe”.

Trzeba przyznać, że problem inwazji tej rośliny został zdemonizowany, że nie takie kudzu straszne, jak je malują. Ostatnie badania wykazały, że pnącze rozpanoszyło się na mniejszej powierzchni, niż powszechnie uważano. Jednak jest go bardzo dużo tam, gdzie osiemdziesiąt lat temu nie było go wcale, i figuruje na oficjalnej amerykańskiej liście uciążliwych chwastów.

I może nadszedł czas, żeby zacząć współczuć opornikowi, bo gatunki inwazyjne zyskują własne gatunki inwazyjne. W 2009 roku japońskiemu pluskwiakowi żerującemu na kudzu udało się przedostać na drugą stronę Pacyfiku i wylądować w Atlancie. Z pewnością nie posiadał się z zachwytu, gdy stwierdził, że ma na miejscu mnóstwo kudzu do jedzenia. W ciągu trzech lat pluskwiaki rozprzestrzeniły się w trzech stanach, pożerając jedną trzecią biomasy kudzu. Na wypadek gdybyście myśleli, że to dobrze, bo problem kudzu został rozwiązany, pozwolę sobie dodać, że pluskwiaki

niszczą również uprawy soi, na wielu obszarach stanowiące główne źródło dochodu. Przypadkowe rozwiązanie jednego problemu może okazać się znacznie większym problemem.

Nasze oczywiste pragnienie, by wprowadzać nowe gatunki tam, gdzie nie mają prawa być, nie zatrzymuje się nawet na tych już istniejących: czasami udaje się nam stworzyć zupełnie nowy gatunek. Tak się stało w 1956 roku, kiedy brazylijski naukowiec Warwick Estevam Kerr importował z Tanzanii kilkadziesiąt afrykańskich matek pszczelich, żeby krzyżować je z pszczołami europejskimi w nadziei, że uzyska gatunek lepiej dostosowany do środowiska brazylijskiego.

Niestety, po roku eksperymentalnego krzyżowania doszło do tego, co dzieje się zawsze. Pracownik laboratorium Kerra w Rio Claro, mieście leżącym na południe od São Paulo, miał w pracy bardzo zły dzień. Dwadzieścia sześć tanzańskich królowych uciekło, a za nimi podążyły ich osobiste roje pszczół europejskich. Królowe kopulowały z każdym samcem, jaki się nawinął, produkując hybrydowe szczepy kilku różnych gatunków. Te nowe zafrykanizowane pszczoły zaczęły się szybko rozprzestrzeniać po Ameryce Południowej i przez Amerykę Środkową

dotarły do USA. Są mniejsze i mają mniej jadu niż pszczoły afrykańskie, ale znacznie agresywniej bronią swoich uli i żądlą dziesięć razy częściej. Wskutek ich ataków zmarło co najmniej tysiąc osób i właśnie dlatego dorobiły się przydomka „pszczoły zabójczynie". Co jest wobec nich ciut niesprawiedliwe. One są po prostu nierozumiane.

Ale w całej historii trudnego uczenia się ludzkości, że ekosystemy są niesłychanie złożone i że eksperymentowanie z panującą w przyrodzie równowagą, wrażliwą na wszelką ingerencję, w końcu się na nas odgryzie, dwa zdarzenia uwydatniają się szczególnie. W różnych częściach świata i w różnych czasach (w odstępie kilkudziesięciu lat) pewien fanatyczny dyktator i pewien ekscentryczny miłośnik literatury popełnili lustrzanie podobne błędy, które miały bardzo poważne konsekwencje. Oba błędy pochodziły z tego samego źródła: radykalnego zlekceważenia ptaków.

Nie lekceważ ptaków

Część I: O jednego szkodnika za daleko

Zainicjowana przez Mao Zedonga kampania zwalczania czterech plag to najbardziej katastrofalny w historii, całkowicie udany program ochrony zdrowia. Zmobilizowała całe społeczeństwo do realizacji celów tego programu, a wyniki przeszły najśmielsze oczekiwania – połowa z tych celów prawie na pewno zaowocowała powszechną poprawą zdrowia narodu. Dwa na cztery to nieźle, można by pomyśleć.

Kłopot w tym, że czwarty cel pociągnął za sobą dziesiątki milionów ofiar.

Problem ponownie wyrasta z niezrozumienia, że ekosystemy są skomplikowane i nieprzewidywalne. O tak, myślimy sobie, dodajmy gatunek tu, może ujmijmy dwa gatunki tam, a będzie znacznie lepiej. W tym momencie ni stąd, ni zowąd pojawiają się Niezamierzone Konsekwencje ze swoimi kumplami, Skutkami Ubocznymi i Efektem Kaskadowym, i razem urządzają sobie imprezę nieposkromionej pychy.

Kiedy pod koniec 1949 roku władzę w Chinach objęli komuniści przewodniczącego Mao, w kraju trwał kryzys zdrowotny. Szerzyły się choroby zakaźne, od cholery, przez dżumę po malarię. Przewodniczącemu Mao zależało na szybkiej transformacji rolniczego kraju, który ledwie kilkadziesiąt lat wcześniej pożegnał się z epoką feudalizmu, w nowoczesną potęgę przemysłową, więc trzeba było coś zrobić.

Niektóre rozwiązania były oczywiste i sensowne – programy masowych szczepień, poprawy warunków sanitarnych i tak dalej. Kłopoty zaczęły się wtedy, gdy za bolączki kraju Mao postanowił obwinić zwierzęta.

Komary przenoszą malarię, a szczury przenoszą dżumę – to było niezaprzeczalne. I stąd wykluł się ogólnokrajowy plan zredukowania liczby szkodników. Niestety, Mao na tym nie poprzestał. Gdyby kampania ograniczyła się do zwalczania tylko dwóch plag, to zakończyłaby się sukcesem. Ale Mao zdecydował (nie zawracając sobie głowy czymś takim jak zasięgnięcie opinii specjalistów), by do komarów i szczurów dodać dwa inne gatunki. Należy wyniszczyć muchy, bo muchy są denerwujące. A czwarty szkodnik? Wróble.

Problem z wróblami, taki był tok rozumowania, polega na tym, że zjadają ziarno. Jeden wróbel w ciągu roku zjada cztery i pół kilograma ziarna – ziarna, które przecież mogłoby zostać wykorzystane do nakarmienia ludu Chin. Mądrzy ludzie zrobili obliczenia, z których wynikało, że milion wróbli zjada tyle zboża co sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Czy ktoś mógłby się spierać z taką logiką?

Kampania walki z czterema plagami rozpoczęła się w roku 1958 i była nadzwyczajnym przedsięwzięciem. Ruszyła ogólnokrajowa akcja plakatowa z żądaniem, żeby każdy obywatel, od najmłodszego do najstarszego, wypełnił swój obowiązek i zatłukł tyle wróbli, ile tylko się da. „Ptaki – ogłoszono – są publicznymi wrogami kapitalizmu”. Ludzie uzbroili się we wszystko co możliwe, od łapek na muchy po karabiny, a uczniowie przechodzili szkolenia, w jaki sposób zastrzelić jak najwięcej wróbli. Na ulice wyległy rozentuzjazmowane, nienawidzące wróbli, wymachujące flagami tłumy. Obywatele niszczyli gniazda i rozbijali jajka, a także tłukli w garnki i patelnie, płosząc ptaki, które, bez szans na chwilę odpoczynku, wyczerpane spadały na ziemię. Ocenia się, że w samym Szanghaju pierwszego dnia wrogich

działań zginęło niemal dwieście tysięcy wróbli. „Żaden wojownik się nie wycofa, dopóki bitwa nie zostanie wygrana” – oznajmiał „Dziennik Ludowy”.

Bitwa rzeczywiście została wygrana. Jeśli chodzi o osiągnięcie zamierzonego celu, odniesiono zwycięstwo – walne zwycięstwo ludzi nad armią ptaszków. Reasumując, bilans kampanii walki z czterema plagami wyglądał następująco: półtora miliarda szczurów, jedenaście milionów kilogramów komarów, sto milionów kilogramów much… i miliard wróbli.

Niestety, szybko wyłonił się problem: ten miliard wróbli nie żywił się wyłącznie ziarnem. Wróble zjadały również owady. W szczególności larwy szarańczy.

Nagle pozbawiona naturalnego wroga ograniczającego jej liczbę szarańcza świętowała w Chinach tak, jakby codziennie był Nowy Rok. W przeciwieństwie do wróbli – które tu i tam skubną po trosze ziarna – spadała na pola w ogromnych żarłocznych chmarach. W roku 1959 wreszcie posłuchano prawdziwego eksperta (ornitologa Tso-hsin Chenga, który wcześniej próbował ostrzec ludzi, że tępienie wróbli jest naprawdę złym pomysłem) i na liście oficjalnych szkodników przeznaczonych do eksterminacji

miejsce wróbli zajęły pluskwy. Ale wtedy było już za późno – nie można tak po prostu zastąpić miliarda wytępionych wróbli.

Dla jasności, wyniszczenie wróbli nie było jedyną przyczyną wielkiego głodu, który nawiedził Chiny w latach 1959–1962 – pomogła go spowodować idealnie zsynchronizowana burza koszmarnych decyzji. Kolektywizacja i zlikwidowanie tradycyjnej produkcji rolnej na własne potrzeby, nowe destrukcyjne metody upraw, oparte na pseudonauce sowieckiego biologa Trofima Łysenki, centralne zarządzanie całą produkcją rolną… Urzędnicy każdego szczebla, motywowani premiami, składali raporty o pozytywnych rezultatach reform, co utwierdzało część przywódców kraju w mylnym przekonaniu, że zasadniczo JEST DOBRZE i naród ma żywności aż nadto. W tej sytuacji, kiedy nastało kilka lat niesprzyjającej pogody (w jednych częściach kraju powodzie, w innych susza), nie było rezerw, żeby je przetrzymać.

Ale to właśnie mordowanie wróbli i będące jego następstwem niszczenie plonów przez prawdziwe szkodniki było decydującym elementem, który spowodował klęskę głodu. Szacuje się, że w Chinach zmarło od piętnastu do trzydziestu milionów ludzi, i fakt, że nawet nie

znamy dokładnej liczby ofiar, dodatkowo potęguje ten koszmar.

Można by mieć nadzieję, że ta podstawowa lekcja – nie kombinuj z przyrodą, dopóki nie zyskasz absolutnej pewności, jakie będą konsekwencje, a nawet gdy ją zyskasz, pomysł w dalszym ciągu nie jest dobry – została dobrze zapamiętana. Ale wydaje się to mało prawdopodobne. W 2004 roku chiński rząd nakazał masową eksterminację ssaków, od cywet po borsuki, w odpowiedzi na wybuch epidemii wywołanej przez wirusa SARS, co sugeruje, że ludzka zdolność uczenia się na własnych błędach jak zawsze pozostawia wiele do życzenia.

Nie lekceważ ptaków

Część II: Szekspir w parku

Eugene Schieffelin zasadniczo popełnił ten sam błąd co przewodniczący Mao, z tą różnicą, że w przeciwną stronę. I podczas gdy za błędem Mao stało dążenie do poprawy zdrowia publicznego połączone z ideologią, to drugim sprawcą zamętu w ekosystemie i trwającej do dziś klęski naturalnej kierował wyłącznie kaprys.

To, co Schieffelin zrobił pewnego zimnego dnia wczesnej wiosny w roku 1890, doprowadziło do szerzenia się różnych chorób, corocznych strat plonów wartości setek milinów dolarów, a nawet śmierci sześćdziesięciu dwóch osób w katastrofie lotniczej. To całkiem spore zniszczenia jak na kogoś, kto tylko próbował pokazać, że jest wielkim fanem Szekspira.

Mieszkający w Nowym Jorku Schieffelin był dobrze sytuowanym wytwórcą leków, ale mimo że ta branża oferuje wachlarz możliwości spieprzenia czegoś w środowisku, nie wykorzystał jej potencjału. Pomysł na wzniecenie chaosu miał związek nie z jego profesją, ale z hobby. Niezmiernie interesowały go dwa modne trendy jego epoki – absolutne uwielbienie dla dzieł Szekspira i przesiedlenie gatunków do nowych habitatów.

W owym czasie fascynacja Szekspirem w kulturze Zachodu wzrosła do tego stopnia, że Bard zyskał popularność porównywalną z tą, jaką dziś cieszy się Beyoncé. Jednocześnie, za przykładem Francji, w zachodnim świecie wyrastały jak grzyby po deszczu tak zwane „towarzystwa aklimatyzacji” – ochotnicze grupy zamożnych ludzi, którzy na siłę uszczęśliwiali innych, z poświęceniem sprowadzając

zagraniczne gatunki roślin i zwierząt do swoich krajów (minęły lata, zanim ludziom zaczęło świtać, że w rzeczywistości było to strasznym pomysłem).

Błąd Schieffelina wziął się stąd, że był on przewodniczącym Amerykańskiego Towarzystwa Aklimatyzacji, z siedzibą w Nowym Jorku, a także absolutnie fanatycznym miłośnikiem Szekspira. I tak oto w jego głowie zrodził się cudowny, ekscentryczny plan. Czy jest lepszy sposób na oddanie hołdu największemu poecie tworzącemu w języku angielskim, pomyślał, niż sprowadzenie do Stanów Zjednoczonych przedstawicieli wszystkich gatunków ptaków wspomnianych w jego dziełach? Amerykańskie Towarzystwo Aklimatyzacji zakasało rękawy.

Z początku doznali szeregu niepowodzeń: introdukowane słowiki, gile i drozdy śpiewaki, uwolnione w dziczy (no, przynajmniej w mieście), nie zdołały się zadomowić w nieznajomym środowisku i po kilku latach wymarły. Ale później, szóstego marca 1890 roku, Eugene Schieffelin stanął z asystentami w Central Parku i otworzył klatki, które zawierały łącznie sześćdziesiąt europejskich szpaków.

Naprawdę nie można za to wszystko winić Szekspira, chociaż gdyby wybrał inną hiperbolę w pierwszej części *Henryka IV*, akt pierwszy scena trzecia, wtedy może wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. W tej scenie niejaki Hotspur, zdecydowany zmusić króla do zapłacenia okupu za swojego szwagra Mortymera (mimo że król zakazał mu choćby wymawiać jego imię), mówi:

Ułożę szpaka, który nic innego
Mówić nie będzie jak tylko: Mortymer.
I poślę mu go, aby ustawicznie
Gniew jego jątrzył i drażnił[3].

To jedyna wzmianka Szekspira o szpakach. W całej reszcie dzieł zebranych nie ma o nich więcej ani słowa. Ale to jedno nawiązanie wystarczyło Eugene'owi.

W 1890 roku uwolniono partię sześćdziesięciu szpaków, a rok później Schieffelin dodał jeszcze czterdzieści. Początkowo sytuacja pierwszych amerykańskich szpaków nie wyglądała dobrze – tylko trzydzieści dwa przeżyły kilka srogich nowojorskich zim i wyglądało na to, że podążą śladem swoich pechowych poprzedników. Ale szpaki są twardymi, wszechstronnymi stworzeniami, mistrzami w dostosowywaniu się

do nowego środowiska, i siłą torują sobie drogę do przetrwania. Zakrawa na niemałą ironię fakt, że stadko znalazło schronienie przed żywiołami pod okapem amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej – i w ten sposób gmach poświęcony zachowaniu historii naturalnej nieumyślnie przyczynił się do dramatycznej zmiany tejże. Ponieważ stopniowo liczba szpaków zaczęła rosnąć. I rosła. I rosła.

Zanim upłynęło dziesięć lat, szpaki występowały powszechnie w całym Nowym Jorku. W latach dwudziestych ubiegłego wieku ich zasięg objął już połowę kraju. W latach pięćdziesiątych dotarły do Kalifornii. Dzisiaj w Ameryce Północnej żyje dwieście milionów tych małych gnojków i można je znaleźć wszędzie, od Meksyku po Alaskę.

Stały się, słowami „New York Timesa", „jednymi z najkosztowniejszych i najbardziej szkodliwych ptaków na naszym kontynencie". Albo, jak kiedyś opisał je „Washington Post", „zapewne najbardziej znienawidzonymi ptakami w Ameryce Północnej". Latają w stadach, które mogą liczyć do miliona sztuk, i na ogromną skalę niszczą zbiory, pustosząc pola pszenicy i ziemniaków, łupiąc spichlerze. Są agresywne, przepędzają z gniazd rodzime ptaki

i przyczyniają się do roznoszenia groźnych dla ludzi i inwentarza żywego chorób, od grzybic po salmonellę. Srają absolutnie wszędzie i ich odchody potwornie cuchną.

Ogromne stada mogą również zagrażać bezpieczeństwu lotów – w roku 1960 w Bostonie stado oceniane na dziesięć tysięcy osobników wpadło na samolot startujący z lotniska Logana, niszcząc silniki i doprowadzając do katastrofy, w której zginęło 62 z 72 pasażerów.

Szpaki są szkodnikami, stanowią zagrożenie dla zdrowia i powodują znaczące straty finansowe w gospodarce rolnej Ameryki Północnej. Są obecne na tym kontynencie wyłącznie dlatego, że pewien miły facet z wyższej warstwy klasy średniej zbyt entuzjastycznie uprawiał swoje hobby i nie przystanął, żeby pomyśleć o potencjalnych konsekwencjach. Gdyby zajął się joggingiem, domowym wyrobem piwa albo malowaniem akwarel, nic takiego by się nie wydarzyło.

Po stronie plusów, jak sądzę… szpaki pomagają tępić owady?

5 INNYCH GATUNKÓW, KTÓRE UMIEŚCILIŚMY TAM, GDZIE ICH BYĆ NIE POWINNO

Koty

Koty kochają wszyscy, z wyjątkiem mieszkańców Nowej Zelandii, gdzie nie było żadnych drapieżnych ssaków, dopóki ich nie sprowadziliśmy – co źle wróżyło lokalnym gatunkom, szczególnie pulchnym nielotnym papugom kakapo.

Agi

Tak jak angielskie króliki, również południowoamerykańskie ropuchy zostały sprowadzone do Australii w dobrych zamiarach – w tym wypadku, żeby tępiły szkodniki, chrząszcze żerujące na trzcinie cukrowej. Agi nie zjadały chrząszczy. Agi zjadały prawie wszystko inne.

Szare wiewiórki

Kiedy do Wielkiej Brytanii i Irlandii sprowadzono szare wiewiórki, natychmiast zaczęły się panoszyć i spychać rodzime rude wiewiórki na krawędź wymarcia.

Azjatycki komar tygrysi

Wyjątkowo irytujący, potencjalny roznosiciel chorób, w przeciwieństwie do wielu swoich pobratymców żeruje o każdej porze; godne uwagi, jak przeskoczył z kontynentu na kontynent – w roku 1985 odbył rejs z Japonii do Ameryki z transportem zużytych opon.

Wężogłów

Posłuchaj, jeśli zamierzasz przesiedlać azjatyckie gatunki do Ameryki, to może nie wybieraj mięsożernych ryb, które mogą chodzić po lądzie i przetrwać kilka dni bez wody, dobrze? Taki pomysł jest równoznaczny z proszeniem się o kłopoty.

4

Podążaj za przywódcą

Gdy społeczeństwa stały się bardziej złożone, a wioski zaczęły rozrastać się w miasta, byliśmy zmuszeni zmierzyć się z problemem, który powszechnie występuje w każdej dużej grupie mającej do wykonania skomplikowane zadanie – czy chodzi o założenie cywilizacji, czy o ustalenie, dokąd pójść na obiad. W końcu potrzebny jest ktoś, kto podejmie decyzję.

Niewiele wiemy o tym, jak organizowały się najwcześniejsze społeczeństwa. Znając ludzką naturę, można pójść o zakład, że zawsze był ktoś, kto lubił rządzić innymi, chociaż nie jest zupełnie jasne, kiedy rządzenie stało się normalną pracą, a nie tylko hobby.

Wiemy (była już o tym mowa), że niedługo po wynalezieniu rolnictwa ludzkość wynalazła nierówności społeczne. Dobra robota, ludzie. Archeolodzy potrafią to stwierdzić po wielkości domów we wczesnych osadach. Na początku była pomiędzy nimi niewielka różnica i społeczeństwa wydawały się dość egalitarne. Kilka tysięcy lat po tym, jak ludzie zajęli się

uprawą ziemi, zaczęły się wyłaniać elity posiadające znacznie większe i bardziej luksusowe domy niż inni. W obu Amerykach poziom nierówności ustabilizował się prawdopodobnie jakieś dwa i pół tysiąca lat od powstania społeczeństwa rolniczego, ale w Starym Świecie dysproporcje bez przerwy wzrastały. Dlaczego? Jedno możliwe wyjaśnienie mówi, że w Europie były zwierzęta pociągowe, takie jak konie i bydło, i wykorzystywano je do transportu i orki, co sprzyjało gromadzeniu bogactwa, które mogło być przekazywane z pokolenia na pokolenie. I tak narodził się ten jeden procent.

W pewnym momencie elitom nie wystarczyło to, że są odrobinę bogatsze od innych ludzi, i zaczęły nimi rządzić. W najwcześniejszych miastach-państwach namiastką późniejszych władców byli zapewne przywódcy duchowi albo religijni, ale około pięciu tysięcy lat temu coś się zmieniło tak w Egipcie, jak i w Sumerze (dzisiejszy Irak), i oto pojawiły się pierwsze przykłady ulubionego przez wszystkich modelu rządów – dynastycznej monarchii absolutnej. Zachowane sumeryjskie gliniane tabliczki usłużnie wymieniają wszystkich królów (i jedną jedyną królową), przez co być może są pocztem

pierwszych królów w historii ludzkości. Mało pomocne jest to, że większa część informacji na nich zawartych to duby smalone. Pierwszy wspomniany król, Alulim, miał jakoby władać przez 28 800 lat, co naprawdę wydaje się bardzo mało prawdopodobne.

Właściwie dlaczego ludzie na okrągło opowiadali się za tym, żeby decyzje za nich podejmował jeden gość? Oczywiście, być może nie mieli większego wyboru: pierwsi władcy mogli zdobywać władzę siłą albo za pomocą jakiejś innej formy przymusu. Ale wydaje się to również powiązane z wojną – dynastia faraonów w Egipcie zaczyna się wtedy, gdy Egipt zostaje zjednoczony przez podbój, a władcy Sumeru wyłaniają się w okresie narastającego konfliktu pomiędzy miastami. Niedługo później, w 2334 roku p.n.e., po kilkuset latach władzy królów sumeryjskich, Sumerowie zostali podbici przez króla sąsiedniego Akadu, Sargona, zajętego tworzeniem pierwszego imperium na świecie. Archeolodzy mogli prześledzić podobny proces w Meksyku, w dolinie Oaxaca. Około 3600 lat temu, krótko po wynalezieniu rolnictwa, osada San José Mogote była mała, egalitarna, niehierarchiczna. Przez następne tysiąc lat nasilały się drobne konflikty z sąsiednimi

osadami, wzrastała również zamożność i pogłębiało się rozwarstwienie, aż 2400 lat temu, gdy istniała struktura wodzowska, w dolinie wybuchła wojna, a mieszkańcy San José Mogote przenieśli się w góry i zaczęli budować mury obronne.

„Co było pierwsze, przywódcy czy wojny?" – to pytanie trochę typu „jajko czy kura", ale wydaje się, że przywódcy szli ręka w rękę z wojną, i niestety, nie był to układ, z którego można by się wycofać, gdybyśmy zapragnęli zostać małą egalitarną wioską. Dobra wiadomość dla fanów wojny jest taka, że w dwóch dalszych rozdziałach będzie więcej na ten temat, ale na razie skoncentrujmy się na przywódcach.

Wiem, trudno w to uwierzyć w naszych szczęśliwych oświeconych czasach, ale od czasu do czasu ludzie, którzy zostają przywódcami narodów, tak naprawdę zbytnio się nie nadają do tej roboty. Choć w gruncie rzeczy wcale nie jest to zaskakujące: chyba trzeba być co najmniej trochę dziwnym, żeby w ogóle chcieć kierować krajem. Niektórzy z nas mają kłopot z porannym wybieraniem skarpet – wyobraź sobie, że naprawdę chcesz decydować, jakie skarpety powinien nosić cały naród!

Oczywiście jest mnóstwo różnych typów przywódców i mnóstwo sposobów, w jakie są wybierani. Autokracja ma różne oblicza: monarchia dziedziczna, władanie z boskiego prawa, przejmowanie władzy siłą, dyktatura i tak dalej. Aha, są również demokratyczne wybory. Szybkim przeglądem porażek demokracji zajmiemy się w następnym rozdziale, w tym rzucimy okiem na najbardziej niekompetentnych, najstraszniejszych albo po prostu najdziwniejszych samowładców w dziejach.

Zacznijmy od Qin Shi Huanga, pierwszego cesarza Chin, człowieka, który w oszałamiającym stopniu ukształtował nasz współczesny świat przez połączenie dalekosiężnej wizji i brutalnego, acz skutecznego podejścia do załatwiania problemów. Na nieszczęście dla niego, spartolił sprawę w klasycznym dla czarnego charakteru stylu, przeliczywszy się z własnymi siłami.

Qin zjednoczył kilka wojujących królestw Chin w jedno państwo dzięki przebiegłej dyplomatycznej taktyce podbijania ich wszystkich. Nikomu wcześniej się to nie udało: w 222 roku p.n.e., w czasach, kiedy Rzym dopiero zaczynał myśleć o ekspansji poza Italię

i stworzeniu imperium, Qin tworzył rozległy organizm polityczny, który miał przetrwać wszystkie inne.

Nie tylko mu się udało, ale zrobił to przy jednoczesnym wprowadzaniu szeregu reform, które miały ustanowić standardy organizacji nowożytnego państwa: zredukował wpływy panów feudalnych, wprowadził scentralizowaną biurokrację, zunifikował systemy pisma, pieniądza i miar, zbudował kluczową infrastrukturę komunikacji – potężną sieć dróg wraz z wczesnymi szlakami pocztowymi. Aha, i rozpoczął wznoszenie tego, co z czasem stało się Wielkim Murem.

Więc… co było z nim nie w porządku? Cóż, niestety, Qin osiągnął to wszystko przez okrutne tłumienie wszelkiego sprzeciwu, miażdżenie nieprawomyślnej filozofii, skazywanie na śmierć ludzi, którzy się z nim nie zgadzali, i brutalne zmuszanie chłopów do niewolniczej pracy przy realizacji jego projektów architektonicznych. Prawdopodobnie nie jest to wielką niespodzianką, biorąc pod uwagę, jak budowanie imperiów zwykle się odbywało.

Nieco bardziej zaskakujące jest to, do czego użył swojej bezprecedensowo scentralizowanej

władzy i rozleglej sieci komunikacyjnej: kazał swoim poddanym znaleźć eliksir życia.

Qin, człowiek ambitny, miał obsesję na punkcie nieśmiertelności i był przekonany, że wykorzystując potęgę swojego nowego państwa, może metodą siłową odkryć tajemnicę wiecznego życia. Rozesłał żądania i zmobilizował wszystkich, od lekarzy, przez żołnierzy, po rzemieślników w najdalszych częściach kraju, żeby przystąpili do poszukiwań. Kierował swoją osobistą misją jak główną inicjatywą rządową, z dworem otrzymującym z różnych placówek regularne raporty o postępach, a także próbki ziół i wywarów. W ramach tej misji zarejestrowano wszystkich lekarzy w kraju. Pod pewnymi względami była to wczesna forma scentralizowanego systemu opieki zdrowotnej. Pod innymi – nie.

Niestety dla Qina, taki system okazał się nie całkiem skuteczny. Obsesyjne poszukiwania nieśmiertelności doprowadziły Qina do zguby typowej dla czarnego charakteru: uważa się, że wiele rzekomych eliksirów życia, których próbował, zawierało rtęć. Co naturalnie go zabiło (i całkiem możliwe, że zatrucie rtęcią zdążyło go jeszcze wpędzić w szaleństwo, czego zresztą

życzy się absolutnemu władcy, którego każde słowo jest prawem).

Wszyscy byli tak na niego wkurzeni, że prawie natychmiast po jego zejściu ze sceny wybuchła rewolucja. Kilka lat później dynastia Qin odeszła w niebyt, ale stworzone przez Pierwszego Cesarza państwo do dziś jest supermocarstwem… chociaż Chińczykom nie udało się odkryć tajemnicy wiecznego życia.

Trzymając się Chin, szybko przeskoczymy w przód o jakieś siedemnaście stuleci, do 1505 roku. Jeśli chcesz się dowiedzieć, dlaczego lepiej nie powierzać władzy komuś, kto ma charakter rozpieszczonego dziecka, cesarz Zhengde (urodzony Zhu Houzhao) będzie prawdopodobnie najlepszym przykładem.

Jego niechęć do wszystkiego, co miało jakikolwiek związek ze sprawowaniem władzy – znacznie bardziej wolał polować na tygrysy albo sypiać z kobietami, a miał ich całe rzesze – to jedno. Daleko do ideału, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Zrobiło się dziwniej, gdy Zhengde wymyślił swoje alter ego, pełnego fantazji generała Zhu Shou, i zaczął mu wydawać rozkazy, które – jako Zhu Shou – oczywiście posłusznie wykonywał, tocząc bitwy na północy. Niezwykłym zbiegiem

okoliczności rozkazy te odrywały go na wiele miesięcy od nielubianej pracy.

Zdecydowanie dziwne.

Ale chyba nie aż tak dziwne jak to, że na terenach pałacowych miał pełnowymiarową replikę targu miejskiego. Co dziwniejsze, zmuszał większość starszych urzędników i dowódców wojskowych, żeby przebierali się za handlarzy i zachowywali jak handlarze, po czym w stroju prostego człowieka chodził po targu i udawał, że coś kupuje. I gdy przyłapał któregoś z nich na robieniu choć trochę niezadowolonej miny z powodu tego upokarzającego marnowania czasu, ów nieszczęśnik natychmiast tracił posadę, albo i gorzej.

Tak, to zapewne było największe dziwactwo.

Aha, zdarzyło się też, że uznał za doskonały pomysł zmagazynowanie całego prochu strzelniczego w pałacu tuż przed świętem lampionów. Skończyło się to mniej więcej tak, jak się spodziewasz: wybuchowo (Zhengde przeżył pożar; przeżył również katastrofę morską, ale wpadł do wody, rozchorował się i zmarł w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Tak czy inaczej, palant).

Problem z systemami władzy dziedzicznej polega tym, że całkiem często na tronie zasiada

ktoś, kto wolałby robić coś zupełnie innego, niż zajmować się rządzeniem. Tak było z cesarzem Zhengde i tak było również w przypadku biednego Ludwika II Wittelsbacha. W przeciwieństwie do większości innych władców kwalifikujących się, by umieścić ich na tej liście, Ludwik Szalony był w zasadzie nieszkodliwy, po prostu ani trochę nie interesowały go sprawy, którymi powinien się zajmować jako król Bawarii. Wolał poświęcić życie budowaniu baśniowych pałaców.

Kiedy spojrzy się na historię rzekomego obłędu u władców, trudno nie zauważyć, że wielu tych, którzy figurują na listach najbardziej szalonych monarchów, ma coś wspólnego. Mianowicie dziejopisarze zdają się używać określeń typu „obłęd” albo „ekscentryzm” jako eufemizmu dla „niedostatecznej heteroseksualności” (ukłony szczególnie pod adresem szwedzkiej królowej Christiny, która odmówiła wyjścia za mąż, lubiła nosić męskie ubrania, nie fryzowała włosów i generalnie zachowywała się jak ktoś, kogo dziś opatrzylibyśmy mianem „kumpelka”. Gdy zaczęto przymuszać ją do zamążpójścia, zrzekła się tronu, ubrana jak mężczyzna opuściła

Szwecję i udała się do Rzymu; wjechała do miasta wierzchem, w stroju amazonki).

Możemy tylko snuć ostrożne domysły co do orientacji seksualnej postaci historycznych (i musimy pamiętać, że koncepcja „geja” jako specyficznej, wyrazistej osobowości skrystalizowała się w społeczeństwach Zachodu jakieś sto pięćdziesiąt lat temu). Mimo to można śmiało powiedzieć, że Ludwik II był supersupergejem.

Ludwik był nieśmiałym, kreatywnym marzycielem, w ogóle niezainteresowanym polityką czy dowodzeniem armią. Kiedy w 1864 roku, we względnie młodym wieku dziewiętnastu lat, został królem, wycofał się z życia publicznego i zajął mecenatem sztuki. Co więcej, okazał się w tym całkiem dobry.

Wniósł znaczący wkład w budowę wielkiego teatru operowego, wynajmował najlepszych artystów i przemienił Monachium w kulturalną stolicę Europy. Był wiernym fanem Wagnera i został jego osobistym mecenasem, zapewniając mu fundusze i poparcie, kiedy ten tworzył swoje późne arcydzieła – podczas gdy wszyscy inni próbowali wypędzić kompozytora z miasta, bo uważali go za fiuta. I przede wszystkim były zamki.

Ludwik chciał zapełnić Bawarię baśniowymi zamkami. Projektowanie zlecał nie architektom, ale scenografom teatralnym, i wydawał fortunę na budowę coraz bardziej fantastycznych, ekstrawaganckich budowli – pałaców Linderhof i Herrenchiemsee oraz wyjątkowo dramatycznego zamku Neuschwanstein, wzniesionego na alpejskiej skale w pobliżu domu dzieciństwa Ludwika.

Jego poczynania mocno trapiły wielkich i możnych w Bawarii. Niezupełnie chodziło o to, że Ludwik zaniedbuje swoje obowiązki – piorunem odwalał papierkową robotę, żeby jak najszybciej wrócić do swych prawdziwych pasji. Sęk w tym, że wciąż się zadłużał, żeby realizować swoje artystyczne przedsięwzięcia, nie cierpiał uczestniczenia w publicznych uroczystościach, a wojsko interesowało go głównie dlatego, że w kawalerii służyło mnóstwo przystojniaków.

Do tego dochodziła kwestia sukcesji. Jak to zwykle królowie, Ludwik też był pod ciągłą presją, żeby się ożenić i spłodzić potomka. Zaręczył się z księżną, która podzielała jego miłość do Wagnera, jednak wciąż przekładał datę ślubu, aż w końcu go odwołał. Nigdy więcej nawet nie pomyślał o żeniaczce.

W końcu, gdy wpadał w coraz większe długi, a plany przyszłych zamków stawały się coraz wymyślniejsze, jego wrogowie na dworze postanowili działać i wszczęli uświęcony tradycją proces uznania go za niepoczytalnego. Nie jest wykluczone, że kwestie niepewnego zdrowia psychicznego w rodzinie Ludwika miały pewną historię (jego ciotka Aleksandra święcie wierzyła, że ma w sobie szklany fortepian, chociaż nie przeszkodziło jej to zrobić kariery literackiej). Ale pozostaje faktem, że z czterech wybitnych lekarzy, których spiskowcy namówili do podpisania diagnozy Ludwika, żaden go nie zbadał i tylko jeden w ogóle się z nim widział (dwanaście lat wcześniej). Jednym z obciążających dowodów świadczących o jego niezdolności do sprawowania władzy było to, że zakazał służącemu dolewać mleka do kawy.

Podstęp się udał i mimo największych wysiłków zaprzyjaźnionej baronowej, która parasolką przepędziła rządowych członków komisji, Ludwik został zdetronizowany i uwięziony (przepraszam, „wysłany na kurację dla podreperowania zdrowia”) w zamku na południe od Monachium. Podejrzenia, że nie wszystko zrobiono całkowicie uczciwie, wzmaga to, że trzy dni później Ludwika i jego lekarza

znaleziono martwych w płytkim jeziorze – ponieśli śmierć w okolicznościach, które można opisać tylko jako „tajemnicze”.

Ale pod pewnymi względami to Ludwik śmiał się ostatni. Co ze wszystkimi zamkami, na które tak szczodrze łożył? Obecnie są znane na całym świecie – Neuschwanstein jest ikonicznym symbolem Bawarii – i rocznie przyciągają miliony turystów, co oczywiście jest dobrodziejstwem dla gospodarki Bawarii. Gdyby spiskowcy nie pokrzyżowali planów Ludwika, pozbawiając go władzy, kto wie, o ile więcej mogliby zarabiać Bawarczycy. W tym wypadku zawalił nie biedny Ludwik marzyciel. To oni spieprzyli sprawę.

Nawet jeśli ktoś nigdy nie słyszał o zamku Neuschwanstein, widział go setki razy. Jego romantyczne wieżyczki i iglice były bezpośrednią inspiracją dla zamków w *Kopciuszku* i *Śpiącej Królewnie* Disneya, a te zamki z kolei stały się symbolami największego przedsiębiorstwa w branży rozrywkowej. Za każdym razem, gdy widzisz spadającą gwiazdę, która rozsiewa baśniowy pył nad zamkiem w logo Disneya, patrzysz na wciąż żywe marzenie Ludwika.

Ludwikowi daleko do miana jedynego przywódcy, którego marzenia i talenty szły w kierunku przeciwnym niż sprawowanie władzy. Jego miłość do budowania zamków była przynajmniej powołaniem, które można, chociaż z niejakim trudem, zmieścić w granicach dopuszczalnych dla monarchy. Mniej godnym zajęciem byłoby, powiedzmy, entuzjastyczne i niestrudzone popełnianie kradzieży.

Gdyby jedyną wyjątkową rzeczą, jaką zrobił Faruk I, król Egiptu, było świśnięcie zegarka Winstonowi Churchillowi na ważnym spotkaniu podczas drugiej wojny światowej, może zostałby zapamiętany nieco inaczej. W najgorszym wypadku przeszedłby do historii jako ekscentryk, w najlepszym – jako absolutna legenda, król kawalarzy.

Ale Faruk nie poprzestał na zegarku.

Mimo że opływał w bogactwa, Faruk – drugi i ostatni dorosły król Egiptu – cholernie uwielbiał kraść. Okradał zarówno wielkich i możnych, jak też prostych ludzi. Kazał uwolnić z więzienia notorycznego kieszonkowca, żeby od niego uczyć się złodziejskiego rzemiosła. Kiedy w Egipcie spoczęło ciało niedawno zmarłego szacha Iranu, które przewożono do Teheranu, Faruk bezczelnie ukradł z trumny wysadzany klejnotami miecz

i inne drogocenności (nie powinno dziwić, że spowodowało to coś w rodzaju incydentu dyplomatycznego).

Nie tylko kradzieże wskazywały, że Faruk raczej nie ma zadatków na wielkiego króla. Słynął z apetytu, imprezowania i wystawnego stylu życia. Nazwany „żołądkiem z głową", wstąpił na tron jako przystojny nastolatek, ale szybko utył, osiągając wagę prawie stu trzydziestu kilogramów. Tak lubił swój samochód, czerwonego bentleya, że wydał dekret zakazujący posiadania czerwonych samochodów. Stworzył ogromną kolekcję pornografii najniższych lotów. Był nałogowym i rozrzutnym hazardzistą, otaczał się kliką cwaniaków, kanciarzy i skorumpowanych urzędników. Raz, zbudziwszy się z koszmaru, w którym zaatakowały go lwy, kazał się zawieźć do kairskiego zoo, gdzie szybko powystrzelał te wielkie koty.

Może wszystko to uszłoby mu na sucho, gdyby nie namiętne zrażanie do siebie ludzi. Gdy w roku 1922 Brytyjczycy z wielką niechęcią uznali niepodległość Egiptu, zostawiając jednak w kraju liczne, niepopularne wojsko, wielu poddanych Faruka zaczęło go postrzegać jako marionetkę Zachodu. Brytyjczycy natomiast

coraz bardziej psioczyli na niego, uważając, że jest nie dość dobrą marionetką (więcej o tego typu sprawach znajdziesz w rozdziale o kolonializmie).

Podczas drugiej wojny światowej wcale nie podwędzenie zegarka Churchillowi zwróciło wszystkich przeciwko Farukowi. Chodziło o inny drobiazg, mianowicie o to, że odmówił gaszenia świateł w swoim pałacu, gdy w całej Aleksandrii obowiązywało zaciemnienie na wypadek niemieckich nalotów bombowych. Równie dobrym pomysłem było wysłanie do Adolfa Hitlera listu z zapewnieniem, że inwazja nazistów na Egipt będzie mile widziana, bo pozwoli pozbyć się Brytyjczyków.

Farukowi udało się uniknąć działań wojennych – wypowiedział wojnę państwom Osi niemal w ostatniej chwili przed zakończeniem wojny – ale długo już nie porządził. W roku 1952 został obalony w wojskowym zamachu stanu (jego sześciomiesięczny syn formalnie był królem przez cały rok, po czym nastąpił koniec monarchii) i swoje ostanie lata spędził w Monako i we Włoszech, gdzie, jak napisał magazyn „Time”, „jeszcze bardziej się spasł i z jeszcze większą wytrwałością ganiał za spódniczkami”. Zmarł w uświęcony tradycją, właściwy

przywódcom na wygnaniu sposób – na atak serca, w wieku czterdziestu pięciu lat, paląc cygaro po obfitym posiłku w rzymskiej restauracji.

(Na marginesie, Churchill nie był rozbawiony kradzieżą zegarka i ze złością zażądał jego zwrotu).

Można by mieć nadzieję, że z czasem poprawi się jakość przywódców, ale również obecnie nie brakuje takich, którzy mogliby rywalizować ze swoimi historycznymi odpowiednikami pod względem zaskakujących dziwactw. Niejaki Saparmurat Nijazow, który władał Turkmenistanem przez ponad dwadzieścia lat, od czasów, gdy dzisiejsze państwo należało jeszcze do Związku Radzieckiego, przez okres niezależności, do swojej śmierci w 2006 roku, wyróżnia się jako wybitny przykład tego, że zawsze można stworzyć kult jednostki, nawet jeśli owa jednostka jest ekstremalnie głupia.

Przez dwadzieścia lat dożywotnich rządów prezydent Nijazow kierował się kaprysami, z których prawie wszystkie były nadzwyczaj dziwaczne. Upierał się, żeby nazywać go „Turkmenbaszą”, czyli „przywódcą wszystkich Turkmenów”. Zakazał trzymania psów w stolicy, Aszchabadzie, ponieważ nie lubił ich zapachu.

Zabronił mężczyznom noszenia bród i długich włosów, a wszystkim – posiadania złotych zębów. Zagorzale krytykował ludzi telewizji i zakazał prezenterom wiadomości występowania w makijażu, bo, jak powiedział, trudno jest odróżnić mężczyznę od kobiety. Zabronił przedstawień teatralnych, operowych i cyrkowych, śpiewania z playbacku na występach, odtwarzania nagranej muzyki na takich uroczystościach jak wesela, a nawet słuchania radia w samochodzie.

W Aszchabadzie postawił swój gigantyczny złoty posąg, który obraca się wraz z ruchem słońca. Uwielbiał nadawać swoje imię czemu tylko się dało. W 2002 roku przemianował miesiąc styczeń na „turkmenbasza", a kwiecień zyskał nazwę „gurbansoltan" na cześć jego matki, podobnie jak chleb. Główne miasto zostało przechrzczone na „Turkmenbasza". Lotnisko w Aszchabadzie stało się Międzynarodowym Portem Lotniczym Saparmurata Turkmenbaszy. Wprowadził publiczne święto na cześć melonów, szczególnie nowej odmiany melona siatkowatego, która – niespodzianka! – została nazwana „turkmenbasza".

Napisał książkę zatytułowaną *Ruhnama*, będącą jednocześnie zbiorkiem poezji,

autobiografią, szemraną lekcją historii i traktatem o samopomocy. Za krytyczne wypowiedzi o tym dziele groziły tortury. Jego znajomość była obowiązkowym elementem egzaminu na prawo jazdy. Nijazow zamknął wszystkie biblioteki, poza stołecznymi, ponieważ stwierdził, że powinno się czytać jedynie Koran i *Ruhnamę*. W stolicy powstał wielki posąg jego książki, która się otwiera i w regularnych odstępach czasu słychać jej fragmenty. Czytanie jej zostało uznane za podstawowy warunek wstąpienia do nieba. (Prawdopodobnie została napisana przez „murzyna").

Nijazow wydawał ogromne sumy na niedorzeczne budowle, takie jak lodowy pałac na pustyni, wielka piramida i wart sześćdziesiąt milionów funtów meczet, który nazwał „Duchem Turkmenbaszy". Zbudował gigantyczne betonowe schody prowadzące na odludną górę i zmuszał wszystkich urzędników państwowych do corocznej pięćdziesięciokilometrowej pielgrzymki. W roku 2004 wyrzucił na bruk piętnaście tysięcy pracowników wiejskiej służby zdrowia i zastąpił ich żołnierzami; zamknął wszystkie szpitale, poza stołecznymi, argumentując, że jeśli ktoś zachoruje, zawsze może przyjechać do Aszchabadu; zamienił

przysięgę Hipokratesa na przysięgę Turkmenbaszy. Podobno przechwytywał partie przemycanych narkotyków i zatrzymywał je dla siebie, a później strzelał z pistoletu do wyimaginowanych wrogów w swojej zaciemnionej rezydencji. W kraju nie istniała wolna prasa, dysydenci byli represjonowani, a wszystkie ugrupowania społeczne, partie polityczne i związki wyznaniowe musiały się zarejestrować w Ministerstwie Uczciwości. Przed ministerstwem stanął gigantyczny posąg Temidy – która, czego nie da się nie zauważyć, zaskakująco przypomina matkę Turkmenbaszy.

Nie jest zupełnie jasne, jakie szersze nauki można wyciągnąć z długiego, wyjątkowo strasznego panowania Nijazowa, poza jedną: jeśli kiedykolwiek przyłapiesz się na tym, że postępujesz choćby trochę tak jak on, to proszę, przestań.

Ale choć Turkmenbasza był zły, a Turkmenistan cierpiał przez dwa dziesięciolecia jego panowania, to Nijazow wcale nie zajmuje czołowego miejsca na liście wyjątkowo godnych ubolewania autokratów. Byli znacznie gorsi przywódcy i prawdopodobnie nawet bardziej niekompetentni. A jeśli chcesz wiedzieć, jak popieprzona może być autokracja,

to trudno o lepszy przykład niż rządy w pewnym okresie Imperium Osmańskiego, dowodzące, że czasem nieszczęścia chodzą trójkami.

Złota klatka

Bardzo niewiele państw miało kilku z rzędu równie strasznych przywódców jak ci, których w pierwszej połowie siedemnastego stulecia musiało znosić Imperium Osmańskie. Dwóm z nich w późniejszym czasie nadano przydomek Szalony, co nigdy nie jest dobrym znakiem. Co gorsza, ten, którego nie nazwano szalonym, być może najbardziej na to zasłużył.

Zważywszy, że dwóch z nich było braćmi, a trzeci był ich wujem, trudno nie podejrzewać, że w grę mogły wchodzić kwestie dziedziczne. Ale pozostaje również przytłaczające poczucie „A czego innego by się spodziewać?”. Gdyby ktoś chciał wymyślić system przeznaczony do produkowania niezrównoważonych władców, trudno byłoby mu przebić niżej przedstawione rozwiązanie.

W tym okresie pałac Topkapı w Stambule nie był szczególnie bezpiecznym miejscem, zwłaszcza dla syna aktualnego sułtana. Problem

stanowili bracia – a przynajmniej stawali się problemem, gdy tylko sułtan zmarł i wszyscy jednocześnie próbowali zagarnąć tron dla siebie.

Przez wiele stuleci krwawe walki o sukcesję faktycznie stały się tradycją, która miała nieprzyjemną tendencję do przeradzania się w długą wojnę domową. Dla nikogo nie było to zbyt dogodne, zwłaszcza gdy imperium zamierzano rozszerzać, i dlatego synowie sułtana zwykle dochodzili do wniosku, że lepiej jest ubiec konkurencję przez… cóż, przez wymordowanie braci.

Minusem tego zinstytucjonalizowanego bratobójstwa było to, że dynastii osmańskiej groziłoby wygaśnięcie, gdyby sułtan umarł, nie zostawiając synów do przejęcia dziedzictwa, a wcześniej wymordowałby braci. Do tego dochodziła drobna kwestia sułtana Mehmeda III, który w roku 1595, gdy zasiadł na tronie, kazał zabić nie mniej niż dziewiętnastu młodszych braci, co wszyscy chyba uznali za lekką przesadę. W czasach panowania jego następcy, Ahmeda I, wszedł w życie kompromis: kafes, czyli klatka, miejsce do przechowywania „zapasowych” braci.

W rzeczywistości nie była to klatka, tylko względnie luksusowa, gustownie urządzona wieża tuż obok haremu, ale pewne cechy łączyły

ją z klatką. Na przykład niemożność jej opuszczania.

Kiedy w roku 1603 Ahmed I został sułtanem, niespodziewanie zerwał z tradycją mordowania braci i zachował przy życiu swojego młodszego brata, dwunastoletniego Mustafę. Taka decyzja mogła wynikać z tego, że w owym czasie Ahmed miał ledwie trzynaście lat, więc przystąpiłby do płodzenia synów dopiero za rok. Poza tym w grę mogło wchodzić współczucie dla Mustafy, który chyba już w dzieciństwie był wątły. A może Ahmed po prostu był… prawie miły?

Tak czy inaczej, zamiast na śmierć, Mustafa został skazany na życie w klatce, podczas gdy Ahmed I zajął się sułtanowaniem. Szło mu koncertowo do roku 1617, kiedy to zmarł na tyfus.

Zdążył dorobić się gromady synów, formalnie pretendentów do tronu. Ale wskutek połączenia faktu, że byli bardzo młodzi, i różnych pałacowych intryg (knutych przede wszystkim przez ulubioną konkubinę Ahmeda, Kösem, która nie chciała, żeby jej synowie zostali zamordowani, kiedy ich starszy brat przyrodni dojdzie do władzy), szare eminencje postanowiły zmienić linię dziedziczenia. Władza, zamiast trafić w ręce Osmana, najstarszego syna Ahmeda,

przeszła z brata na brata. Tak oto Mustafa został Mustafą I.

Trzeba uczciwie powiedzieć, że nikomu nie wyszło to na dobre.

Mustafa naprawdę nie nadawał się na sułtana i zresztą wcale nie garnął się do władzy. Sytuacji nie poprawiało to, że przez pierwsze dwanaście lat żył w przekonaniu, iż brat go zamorduje, a następnych czternaście spędził w areszcie domowym, nie mając do roboty nic innego poza zażywaniem opium i spędzaniem czasu z konkubinami. Potężni dworscy eunuchowie mieli nadzieję, że przywrócenie go na łono społeczeństwa pomoże mu się trochę skupić. Nie pomogło.

Sprawowanie władzy przez Mustafę polegało przede wszystkim na chichotach, targaniu wezyrów za brody i strącaniu im turbanów, gdy próbowali mówić o ważnych rządowych sprawach. Miał skłonność do obsadzania wysokich stanowisk przypadkowymi ludźmi – jak rolnik, którego spotkał na polowaniu. Słynął z tego, że w pałacu zawsze towarzyszyły mu dwie zupełnie nagie niewolnice, a także z nawyku karmienia rybek złotymi i srebrnymi monetami.

Po mniej więcej trzech miesiącach wszyscy mieli tego powyżej uszu i Mustafa I został

obalony przez czternastoletniego Osmana. Jakimś cudem po raz drugi udało mu się uniknąć śmierci i znów trafił do klatki.

I tak by się to skończyło, gdyby nad wiek rozgarnięty Osman II nie był ambitnym, niekonwencjonalnym sułtanem, pełnym entuzjazmu dla reform, chcącym zerwać z okowami tradycji… No, przeważnie taki był, bo udało mu się znaleźć też czas na zamordowanie co najmniej jednego z braci, w imię starych czasów. Osman popełnił zasadniczy błąd, gdy poważnie wkurzył elitarne jednostki armii osmańskiej, janczarów – mianowicie obwinił ich o porażkę w bitwie, którą dowodził, i ukarał, zamykając ich kawiarnie, zakazując im palenia tytoniu i picia alkoholu, a ostatecznie planując rozwiązanie ich formacji i stworzenie alternatywnej w Syrii.

Chociaż Osman rzeczywiście mógł mieć rację co do ich bojowej nieskuteczności, janczarowie nie byli, czemu trudno się dziwić, szczególnie zachwyceni jego pomysłem. I tak oto Osman II został pierwszą w historii Imperium Osmańskiego ofiarą królobójstwa, zabity przez swoich żołnierzy twórczą metodą uduszenia połączonego ze ściskaniem jąder.

A potem, wobec braku innego kandydata do przejęcia władzy, Mustafę ponownie wypuszczono z klatki. I sprawił się… niepięknie.

Nie wiadomo, czy wszyscy sądzili, że cztery kolejne lata uwięzienia mogły poprawić jego kondycję umysłową, ale jeśli tak, to szybko spotkał ich zawód, bo Mustafa od razu wrócił do swoich wariactw. Na samym początku, gdy przyszli wypuścić go z klatki i powiedzieli, że znowu jest sułtanem, zabarykadował się od środka i odmówił wyjścia, tłumacząc (całkiem rozsądnie): „Nie chcę być sułtanem”. Gdy w końcu wyciągnęli go przez dziurę w dachu, zaczął spędzać czas na bieganiu po pałacu i desperackim szukaniu Osmana II, wierząc, że ten wciąż żyje i być może ukrywa się w szafie. Mustafa wykombinował sobie, że jeśli go znajdzie, to Osman znów będzie sułtanem, a on na zawsze uwolni się od tego zaszczytu.

Trwało to siedemnaście miesięcy (w tym czasie Mustafa zdołał co najmniej mianować oślarza zarządcą głównego meczetu), zanim wszyscy zadecydowali, że mają już dość. Nawet matka Mustafy podpisała się pod pomysłem obalenia go po raz drugi, z zastrzeżeniem, że wolałaby, iżby go nie mordować. Zdumiewające, ale wszyscy się zgodzili i Mustafa trafił

z powrotem do klatki, gdzie dokonał swoich dni, będąc dwukrotnym sułtanem zamordowanym zero razy.

Nowy sułtan, Murad IV, w oczach elit osmańskiego dworu posiadał dwie niezaprzeczalne zalety: (a) najwyraźniej nie był obłąkany i (b) miał jedenaście lat. Jego matka Kösem, sama będąca niezwykle utalentowaną uczestniczką gry o władzę, przez ładnych kilka lat rządziła w imieniu marionetkowego sułtana. W końcu Murad IV podrósł na tyle, że przestał być marionetką i przy okazji pokazał, że jeśli nawet nie jest kompletnie niezdrów na umyśle, to na pewno jest z niego skończone bydlę.

Odziedziczywszy imperium, w którym panował niezły bałagan, postanowił zamanifestować swoją władzę. Dobitnie. Uznał, że jego przyrodni brat Osman nie wykazał dostatecznej inicjatywy w zakazywaniu różnych rzeczy, ograniczając się tylko do wojska, wydał więc zakaz palenia tytoniu, a także picia alkoholu i kawy w całym Imperium Osmańskim.

Na liście „posunięć mających wkurzyć mnóstwo ludzi” zakaz spożywania kawy w Turcji prawdopodobnie plasuje się gdzieś pomiędzy zakazem spożywania sera we Francji, posiadania broni w Ameryce a… cóż, powielania

narodowych stereotypów w Wielkiej Brytanii. Ale Murad był zdeterminowany. Nienawidził kawiarzy tak bardzo, że w cywilnym ubraniu osobiście patrolował ulice, szukając ludzi pijących kawę, i gdy kogoś przyłapał, dokonywał egzekucji na miejscu.

Kiedy nie egzekwował swoich surowych praw antykawowych, lubił się relaksować, skazując ludzi na śmierć z takiego powodu, jaki akurat wpadł mu do głowy: za granie niewłaściwego rodzaju muzyki, za zbyt głośne rozmowy, za chodzenie albo żeglowanie zbyt blisko jego pałacu albo po prostu za bycie kobietą. Szczególnie za to. Naprawdę nienawidził kobiet.

Pod koniec panowania Murad w zasadzie już nie skazywał ludzi na śmierć, bo skazywanie sugeruje, że miałby do tego jakiś pretekst, chociażby wątły. Po prostu ganiał z mieczem, pijany jak bela, i zabijał każdego nieszczęśnika, który mu się nawinął. Niektóre szacunki mówią, że w ciągu ostatnich pięciu lat z siedemnastoletniego okresu swych rządów osobiście ściął może nawet dwadzieścia pięć tysięcy ludzi – czyli średnio zabijał co najmniej trzynaście osób każdego dnia. Dla przypomnienia naprawdę warto podkreślić, że to

ten facet, do którego imienia nie dołączono przydomka Szalony.

Aha, i oczywiście wymordował większość tych braci, których nie zamordował Osman.

Kiedy w roku 1640 Murad IV zmarł (na marskość wątroby, co musiało być niemałą niespodzianką dla jego poddanych, którym zakazał spożywania alkoholu), pozostał tylko jeden niezamordowany brat: Ibrahim. Miał wówczas dwadzieścia pięć lat i praktycznie tyle samo lat spędził w klatce, żyjąc w bezustannym strachu przed pozornie nieuchronną śmiercią z rąk siepaczy brata. Niezupełnie się mylił: na łożu śmierci Murad wydał rozkaz egzekucji, woląc wygaśnięcie dynastii osmańskiej niż Ibrahima na tronie. Nie doszło do morderstwa wyłącznie dlatego, że, jak często bywa przy sprzeczkach braci, interweniowała matka, Kösem.

Ale jeśli wszyscy mieli ochotę odetchnąć z ulgą, że Murad zniknął ze sceny, Ibrahim szybko ich odwiódł od tego zamiaru. Ponieważ jeśli nie był obłąkany, gdy wszedł do klatki, to z pewnością był, kiedy z niej wyszedł.

Podobnie jak przed nim Mustafa, z początku nie wykazywał chęci do wyjścia, przekonany, że Murad uknuł podstęp, by go zamordować.

Uspokoił się dopiero wtedy, gdy przyniesiono i pokazano mu zwłoki Murada.

Kiedy wywabiono go z klatki, Kösem – może rozumiejąc, że Ibrahim naprawdę nie nadaje się do sprawowania władzy – zasugerowała, żeby zamiast rządzeniem imperium zajął się baraszkowaniem z konkubinami. Ibrahim wziął sobie jej sugestię głęboko do serca.

W dodatku do innych skłonności (jak obsesja na punkcie futer – uwielbiał futrzane ubrania i kazał wybić futrami swoje komnaty), Ibrahim był dosłownie nienasyconym erotomanem. Było to na rękę Kösem, która rządziła w pałacu – podsyłając mu niezliczone niewolnice i faszerując go afrodyzjakami, żeby przypadkiem nie stał się seksualnie niesprawny, bo wtedy mógłby ochłonąć i pomyśleć o samodzielnych rządach.

O wyuzdaniu Ibrahima mogą świadczyć słowa hospodara Mołdawii, Dymitra Kantemira, który lata później napisał: „W ogrodach pałacowych często gromadził nagie dziewice, biegał wśród nich, rżąc i wierzgając jak ogier w stadzie klaczy, i gwałcił wybranki”.

Było nawet gorzej. Według Kantemira, pewnego dnia, kiedy Ibrahim był na haju, wpadła mu w oko pewna jałówka i dostał bzika

na punkcie jej narządów płciowych: kazał zrobić ich odlew, a następnie złote kopie, które rozesłał po całym imperium, żeby słudzy szukali kobiety z waginą podobną do krowiej.

No tak.

(Jedno zastrzeżenie: warto zauważyć, że Kantemir nie musi być całkowicie obiektywny jako źródło informacji. Z jednej strony, mieszkał i studiował w Stambule, znał język turecki i pisał ledwie kilkadziesiąt lat po tych wydarzeniach. Z drugiej strony, jego książka, zatytułowana *Historia świetności i upadku Imperium Osmańskiego*, powstała niedługo po tym, jak Mołdawia odwróciła się od Osmanów i oddała pod skrzydła Rosji. Kantemir brał udział w rosyjskiej wojnie z Turkami i po katastrofalnej klęsce został zmuszony do ucieczki ze swego kraju, więc mógł żywić lekką urazę. Rzekomy upadek Imperium Osmańskiego trwał w takiej czy innej formie przez następne dwa stulecia).

Poszukiwania kobiety idealnej, sprowokowane czy też nie przez spotkanie z krową, zakończyły się w Armenii. Wybranka, zwana Kostką Cukru, szybko została faworytą Ibrahima. W tym momencie sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli: Kostka Cukru powiedziała Ibrahimowi, że inne konkubiny nie

są mu wierne, co wprawiło go w taką wściekłość, że ciął swojego syna nożem po twarzy za żartowanie na ten temat. Nie mogąc rozstrzygnąć, która nałożnica go zdradza, kazał zapakować do worków i utopić w Bosforze cały harem – dwieście osiemdziesiąt kobiet. Tylko jedna przeżyła. Jakiś czas później Kösem, obawiając się rosnących wpływów Kostki Cukru, zaprosiła ją do siebie na kolację i dziewczyńskie pogaduszki. Zamordowała ją, a Ibrahimowi wmówiła, że Kostka Cukru zmarła na jakąś nagłą chorobę.

W tym czasie chyba wszyscy mieli dość ekscesów Ibrahima, a jego wystawne życie wśród seksu i futer drenowało skarbiec. Miał kilku synów, więc ciągłość dynastii już nie była zagrożona. Nawet Kösem się zgodziła, że sprawy zaszły za daleko, i podpisała się pod planem obalenia Ibrahima. I tak oto po raz drugi w ciągu dwudziestu lat doszło do buntu janczarów: tłum poćwiartował wielkiego wezyra, a Ibrahim wrócił do budzącej przerażenie klatki. Tam, gdzie spędził większą część dzieciństwa i młodości, żył jeszcze przez dziesięć żałosnych dni, zanim spiskowcy postanowili szybko zamknąć temat i go zamordowali.

Historia tego okresu Imperium Osmańskiego jawi się często jako niewiarygodny, krwawy, mizoginiczny koszmar – coś, w porównaniu z czym *Gra o tron* wygląda jak epizod z sielankowego serialu *Countrylife*. I oczywiście jest kolejnym przykładem, że czasami trudno odróżnić prawdę od propagandy, która miała usprawiedliwiać wszystkie te wstrząsy polityczne i morderstwa.

Opowieść o siedemnastym wieku jest nie tylko opowieścią o szaleńcach i kilku potężnych kobietach, którym zależało na stabilizacji; w wielu częściach świata była to epoka rozwoju techniki, radykalnych zmian ekonomicznych, chwiejnych przymierzy, wykreślanych na nowo granic i wszechobecnych wojen. Imperium Osmańskie nie stanowiło wyjątku. W drugiej połowie siedemnastego wieku, kiedy ostatecznie skończył się okres niestabilności, Osmanowie pomachali na pożegnanie epoce zinstytucjonalizowanego bratobójstwa i wojny domowej, wprowadzili nową gospodarkę pieniężną i skutecznie zmienili system rządów, przechodząc od feudalnej monarchii absolutnej do nowoczesnej biurokracji. Dalecy od punktu, który oznaczał początek upadku Imperium Osmańskiego, w zasadzie wyszli obronną ręką.

Co jednak jest niewielką pociechą dla wszystkich tych, którzy zostali zamordowani.

JESZCZE 5 PRZYWÓDCÓW, KTÓRZY NAPRAWDĘ NIE POWINNI NIKOMU PRZEWODZIĆ

Kajzer Wilhelm II

Wilhelm II uważał się za mistrzowskiego negocjatora z wielkim talentem dyplomatycznym. W rzeczywistości jego jedynym darem była umiejętność obrażania mniej więcej każdego kraju, z jakim miał kontakt, co być może pomaga wyjaśnić, dlaczego wybuchła pierwsza wojna światowa.

Jakub VI i I

Niezgorszy król – zjednoczył korony Szkocji, Anglii i Irlandii, a także zamówił solidne tłumaczenie Biblii – ale miał obsesję na punkcie polowań na czarownice, osobistego nadzorowania tortur i pisania książki o swoich wielkich osiągnięciach w walce z czarownicami.

Chrystian VII

Duński król Chrystian VII był biedny pod wieloma względami, ale z nich wszystkich jego obsesyjna, niekontrolowana masturbacja była zapewne najmniej królewskim aspektem.

Car Piotr III

Był wielkim fanem ołowianych żołnierzyków. Zbyt zajęty zabawą, dopiero po kilku latach od ślubu skonsumował małżeństwo z Katarzyną (późniejszą Wielką, gdy już przejęła władzę), a kiedyś oddał pod sąd wojenny szczura, który uszkodził jedną z jego zabawek.

Karol VI

Smutne panowanie francuskiego króla Karola VI, najlepiej znanego z urojeń, że jest zrobiony ze szkła i w każdej chwili może się stłuc, zakończyło się krótko po tym, jak Anglicy podstępem skłonili go do podpisania traktatu, który stanowił, że następcą tronu Francji ma zostać dziedzic korony angielskiej – co zagwarantowało kilka stuleci wojny.

5

Ludzie władzy

Talent autokratycznych władców do popełniania kardynalnych, dramatycznych błędów, i to na przerażającą skalę, sprawił, że z biegiem lat różne państwa próbowały zminimalizować szkody, zmieniając ustrój – i wprowadzając drobiazg zwany demokracją. Trzeba zaznaczyć, że z różnym powodzeniem.

Trudno określić, gdzie po raz pierwszy wypróbowano demokrację – formy wspólnego podejmowania decyzji prawie na pewno były cechą wczesnych małych społeczeństw. Są również dowody na to, że coś zbliżonego do demokracji istniało w Indiach mniej więcej dwa i pół tysiąca lat temu. Ale generalnie to greckiemu miastu-państwu Atenom przypada palma pierwszeństwa za przyjęcie i skodyfikowanie rządu demokratycznego, co nastąpiło mniej więcej w tym samym czasie, w roku 508 p.n.e.

Oczywiście wiele najważniejszych cech demokracji (rząd otwarty dla wszystkich obywateli i wybory, w wyniku których obywatele mogą wymienić rząd, jeśli go nie lubią) zależy od

tego, kto jest uważany za obywatela. I przez większą część dziejów wiele krajów wykluczało z udziału w głosowaniu pewne mało znaczące grupy społeczne – takie jak kobiety, biedacy albo mniejszości etniczne. Przecież nie można dawać władzy byle komu, prawda?

Kolejny problem z demokracją polega na tym, że ludzie generalnie są jej wielkimi fanami, gdy myślą, że może dać im władzę, ale nagle tracą nią zainteresowanie, gdy zanosi się na to, że mogą ją stracić. W rezultacie demokracja często wymaga naprawdę wyczerpującej pracy, by zapewnić jej dalsze istnienie.

Na przykład taki Rzym eksperymentował z różnymi przebiegłymi metodami, żeby powstrzymać demokrację od przeobrażenia się w autokrację. Jedna z tych metod polegała na powierzaniu najwyższej władzy cywilnej i wojskowej dwóm osobom. Konsulowie pełnili urząd przez jeden rok, co miesiąc wymieniali się zakresem najważniejszych uprawnień i każdy dowodził dwoma z czterech legionów armii rzymskiej. To całkiem mądry sposób, by zyskać pewność, że władza absolutna nie wpadnie w ręce jednego człowieka.

Niestety. Układ okazał się mniej idealny, kiedy cztery legiony armii stanęły do jednej bitwy – do

czego doszło w 216 roku p.n.e. pod Kannami, gdzie Rzymianie starli się z siłami kartagińskimi pod wodzą słynnego fana słoni, Hannibala. Akurat w dniu bitwy dowodzenie armii przeszło z jednego konsula, Lucjusza Emiliusza Paulusa, na drugiego, Gajusza Terencjusza Warrona. Problem został spotęgowany przez fakt, że konsulowie nie zgadzali się w kwestii taktyki: jednego dnia dowodził ostrożny Paulus, a następnego bardziej lekkomyślny Warron. Hannibal, któremu zależało na wciągnięciu Rzymian do bitwy, po prostu zaczekał jeden dzień, aż Warron obejmie dowodzenie, i jego życzenie się spełniło. Wynik był taki, że rzymska armia została dosłownie zmieciona z powierzchni ziemi.

W zasadzie Rzymianie znaleźli sposób, żeby zapobiec tego rodzaju podziałom – w sytuacjach kryzysowych powoływali dyktatora, który miał nieograniczoną władzę, ale był zobowiązany do rezygnacji z urzędu natychmiast po wykonaniu zadania, do jakiego został wyznaczony (jak na ironię, tuż przed bitwą pod Kannami senatorzy pozbyli się dyktatora, bo nie podobała im się jego strategia). Powtarzam, teoretycznie był to doskonały pomysł, ale pod warunkiem, że osoba, której powierzy się władzę absolutną

i dowództwo nad wielką armią, później dobrowolnie ustąpi. W większości przypadków tak się działo, dopóki pewien ambitny gość, niejaki Juliusz Cezar, nie uznał, że tak naprawdę lubi władzę i chciałby ją zatrzymać, jeśli nikomu nie sprawi to różnicy. Pomysł skończył się dla niego mało przyjemnie, ale jego następcy również dochodzili do wniosku, że fajnie mieć władzę absolutną, i tak oto republika rzymska szybko przekształciła się w cesarstwo.

Niektóre rozwiązania podejmowane w systemach demokratycznych, żeby uniemożliwić tym łaknącym władzy manipulowanie wyborami, były dość niezwykłe. Jeśli uważasz, że system Kolegium Elektorów w Stanach Zjednoczonych jest skomplikowany, to ciesz się, że nie mieszkasz w Republice Weneckiej. Kilka stuleci przed tym, zanim *doge*[4] stał się popularnym internetowym psim memem ze speszonym, łagodnym shiba inu w roli głównej, Wenecją władał doża, przywódca wybierany w najbardziej chyba zawiłym głosowaniu na świecie.

Ponieważ dożę wybierała dożywotnio Wielka Rada złożona z około stu oligarchów – układ z oczywistym potencjałem korupcyjnym – w roku 1268 wprowadzono system mający uniemożliwić

jakiekolwiek manipulacje. Oto jak wyglądała elekcja doży Wenecji: najpierw przez ciągnienie losów wybierano trzydziestu członków rady. Następnie znowu ciągnięto losy, redukując liczbę elektorów do dziewięciu. Ta dziewiątka wybierała czterdziestu członków rady, których liczba, w efekcie losowania, malała do dwunastu. Ta dwunastka wybierała dwudziestu pięciu, z których losowano dziewięciu, którzy wybierali czterdziestu pięciu, których liczba, po losowaniu, spadała do jedenastu, którzy wybierali czterdziestu jeden członków rady… i na koniec, w dziesiątej rundzie całego procesu, tych czterdziestu jeden wybierało dożę.

Spróbuj przeczytać to głośno jednym tchem.

To oczywiście kompletnie niedorzeczne i próba przewidzenia wyniku musiała być piekielnym koszmarem dla weneckich speców od polityki. Ale trzeba oddać sprawiedliwość weneckim oligarchom: ich system musiał być udany (to znaczy gdy się było weneckim oligarchą), skoro funkcjonował przez ponad pięćset, głównie pomyślnych lat, dopóki Republika Wenecka w roku 1797 nie została podbita przez Napoleona Bonaparte.

Szczerze mówiąc, to czyni Wenecję wzorem stabilności: gdy piszę te słowa, od zakończenia

wojny (czyli w ciągu siedemdziesięciu dwóch lat) Włochy miały sześćdziesiąt pięć rządów i czterdzieści trzy osoby piastujące urząd premiera, podczas gdy w Wielkiej Brytanii urząd premiera przechodził z rąk do rąk tylko piętnaście razy (w obu wypadkach niektóre osoby pełniły tę funkcję więcej niż raz, stąd „urząd premiera”, a nie „premier”). I to „gdy piszę” też jest ważne, ponieważ we Włoszech właśnie pogłębia się kolejny z regularnie występujących tam kryzysów politycznych. Zanim książka ukaże się w druku, Włosi mogą mieć rząd numer 66 i premiera numer co najmniej 44. W imię dokładności, żeby trzymać się faktów, można w puste miejsce wpisać aktualny numer kolejnego rządu włoskiego:

> Włochy miały [ ] rządów od 1946 roku. Aby poznać aktualną liczbę, proszę zajrzeć na stronę ilerzadowmialywlochy.com. I może wpisać liczbę ołówkiem?

Jednym z problemów demokratycznej formy rządów jest to, że polityka, która wydaje się rozsądna w czasach miłej i przyjaznej liberalnej demokracji, często odbija się straszną czkawką,

gdy do głosu dojdzie bardziej autorytarny reżim. Dla przykładu spójrzmy na Meksyk w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, kiedy władze tego świeżo uniezależnionego od Hiszpanii kraju postanowiły zrobić dobry użytek ze słabo rozwiniętego północnego Teksasu. Meksykanie chcieli stworzyć strefę buforową, która ochroniłaby państwo przed napaściami Komanczów i rozrastającymi się na zachód Stanami Zjednoczonymi, zaczęli więc zachęcać amerykańskich ranczerów i farmerów do osiedlania się na tym obszarze – nadawali ziemię tak zwanym *empresarios*, którzy mieli werbować amerykańskich osadników (fakt, że między oboma krajami nie było umowy o ekstradycję, mógł być dla wielu dodatkową zachętą).

Rząd Meksyku zaczął sobie uświadamiać, że pomysł nie był najlepszy, kiedy stało się jasne, że niektórzy *empresarios* zyskują znaczną władzę polityczną – i że wielu osadników nie ma zamiaru się integrować ani przestrzegać meksykańskiego prawa. W 1830 roku wkurzeni Meksykanie spróbowali położyć kres dalszej migracji Amerykanów, ale stwierdzili, że są bezradni – zatrzymanie napływającego przez granicę potoku amerykańskich imigrantów okazało się niemożliwe.

Sprawy osiągnęły punkt krytyczny, gdy (względnie) liberalny rząd Meksyku został zastąpiony przez autokratycznego, autorytarnego władcę w osobie prezydenta Antonia Lópeza de Santa Anny, który w 1835 roku rozwiązał kongres i przeforsował zmiany w konstytucji, centralizując władzę i ogłaszając się dyktatorem. Wyruszył do Teksasu, by podjąć zdecydowane działania przeciwko społeczności amerykańskich imigrantów, co jeszcze bardziej zaogniło sytuację – i nie minęło wiele czasu, a doszło do wybuchu rewolucji teksańskiej. W 1836 roku, po wojnie, która obejmowała niechlubną bitwę o Alamo, Teksas ogłosił niepodległość. W roku 1845 stał się częścią wciąż powiększających swoje terytorium Stanów Zjednoczonych, a Meksyk, zamiast zyskać pożyteczny bufor przed amerykańską ekspansją, stracił cenną prowincję.

Można wysnuć z tego rozbieżne wnioski. Z jednej strony, nie zachęcaj do imigracji tylko po to, żeby później zwrócić się przeciwko społecznościom imigranckim. Z drugiej, nie zakładaj, że zawsze będzie panować demokracja, ponieważ WŁAŚNIE WTEDY COŚ ZACZNIE IŚĆ ŹLE.

Demokracja oczywiście w pewnym stopniu opiera się na wyborcach i podejmowanych przez

nich decyzjach. Na przykład w 1981 roku małe kalifornijskie miasto Sunol wybrało na burmistrza psa. Bosco Ramos, niekoniecznie rasowy czarny labrador, przytłaczającą większością głosów pokonał dwóch dwunożnych kandydatów, gdy jego właściciel, Brad Leber, wpisał go na listę wyborczą po wieczorze, gdy pieprzono o głupotach w miejscowym barze. Trzeba przyznać, że wyszło nieźle – Bosco, powszechnie chwalony jako bardzo dobry burmistrz, pełnił urząd przez ponad dziesięć lat i przestał dopiero w 1994 roku tylko dlatego, że zdechł. W wywiadzie dla wydawanej w San Jose gazety „Mercury News" jeden z mieszkańców wspominał w 2013 roku, że Bosco „szwendał się po barach i warczał na każdego, kto go niczym nie poczęstował", i że „w całym mieście spłodził liczne szczeniaki z różnymi sukami", co zdaje się nie odbiegać od standardowego wizerunku wielu polityków. Bosco jest czule wspominany w Sunol, gdzie do dziś stoi jego odlany z brązu posąg, a jego kadencję zakłócił tylko jeden poważny międzynarodowy incydent – po masakrze na placu Tiananmen chiński „Dziennik Ludowy" wykorzystał burmistrza, żeby zaatakować zachodnią demokrację z powodu tego, że „nie widzi różnicy pomiędzy ludźmi a psami".

Skończyło się tym, że Bosco dołączył do grupy chińskich studentów na prodemokratycznym proteście przed chińskim konsulatem w San Francisco.

Burmistrz Bosco może wzbudził sensację, ale daleko mu do najdziwniejszego niedwunożnego zwycięzcy wyborów. Ten zaszczyt prawdopodobnie przypada Pulvapies, marce pudru do stóp, która została burmistrzem w ekwadorskim mieście Picoazà w 1967 roku. Puder Pulvapies właściwie nie został oficjalnie zgłoszony jako kandydat, ale jego producent akurat przeprowadzał w kraju żartobliwą kampanię reklamową ze sloganem: „Głosuj, na kogo chcesz, ale jeśli pragniesz wygody i higieny, głosuj na Pulvapies”. W dniu wyborów puder do stóp, startując jako kandydat dopisany do listy przez głosujących, zdobył tysiące głosów w kilku okręgach – a w Picoazie zdołał wyjść na prowadzenie, ku wielkiemu niezadowoleniu licznych dwunożnych kandydatów.

Wybieranie niedwunożnych polityków może jest niekonwencjonalne, ale jeśli chcesz spowodować naprawdę imponującą demokratyczną katastrofę, głosuj na człowieka – niedawna historia Ekwadoru pokazuje, że nawet

oddawanie głosu na puder do stóp nie jest najgorszą decyzją wyborczą.

Tutaj zaszczyt przypada zapewne wyborcom, dzięki którym w roku 1996 prezydentem kraju został Abdalá Bucaram Ortiz. Bucaram, były komisarz policji, burmistrz i od czasu do czasu piosenkarz rockowy, prowadził kampanię pod przydomkiem El Loco (Szaleniec) i odniósł szokujące zwycięstwo, gdy populiści zaatakowali elity kraju. Jako komisarz policji słynął z tego, że „prześladował kobiety w mini; zeskakiwał ze skutera i szarpał za spódniczki, żeby je wydłużyć", o czym po wyborach donosił „New York Times". Jako burmistrz też miał nie byle jakie osiągnięcia, wymuszając pieniądze od miejscowych przedsiębiorców. W 1990 roku uciekł do Panamy, żeby uniknąć oskarżenia o korupcję. Podczas kampanii prezydenckiej jego niekonwencjonalne plakaty i wiece – często śpiewał przy akompaniamencie kapeli, którą zabierał ze sobą w trasę – zelektryzowały klasę robotniczą. Ludzie kupili tę kiełbasę wyborczą i uwierzyli w jego obietnice, że położy kres neoliberalnej polityce prywatyzacji i trudnościom gospodarczym, do których doprowadziła klasa rządząca. To, co dla innych oznaczałoby śmierć polityczną – Bucaram nosił

hitlerowski wąsik i kiedyś powiedział, że *Mein Kampf* jest jego ulubioną książką – w jego wypadku nie stanowiło zbytniej przeszkody na drodze do sukcesu.

Kiedy doszedł do władzy, biedota, która na niego głosowała, była nieco zaskoczona planem gospodarczym, jaki ogłosił po kilku miesiącach kadencji: program neoliberalny zwiększał prywatyzację i wdrażał oszczędności kosztem społeczeństwa, czyli Bucaram wprowadzał dokładnie to, co obiecywał zakończyć. Aha, i próbował znieść ograniczenia kadencji prezydentury. I kiedy wygłaszał swoje przemówienie o nowej polityce gospodarczej, odszedł od scenariusza, żeby przypuścić długotrwały atak na krytykującą go gazetę.

Pełniąc urząd, nie zrezygnował z ekscesów: między innymi nagrał piosenkę *Szaleniec, który kocha*, spotkał się z Loreną Bobbitt (Amerykanką, która wsławiła się tym, że obcięła mężowi penisa) i sprzedał swój hitlerowski wąsik na cele dobroczynne. Ponadto, jeśli ówczesne doniesienia prasowe były zgodne z prawdą (powtarzam, czasami trudno oddzielić fakty od złośliwych plotek), mianował swego nastoletniego syna nieoficjalnym szefem służby celnej i urządził mu przyjęcie, gdy ten zarobił

pierwszy milion dolarów. Minimalna płaca w Ekwadorze w owym czasie wynosiła trzydzieści dolarów na miesiąc, więc można zrozumieć, że niektórych mocno to zirytowało.

Nic dziwnego, że społeczeństwo dość szybko zwróciło się przeciwko Bucaramowi, organizując masowe protesty uliczne, i ledwie sześć miesięcy po objęciu urzędu został z niego usunięty z powodu niezdolności psychicznej do sprawowania władzy (prawie na pewno był to tylko pretekst, ale jeśli ktoś bierze udział w kampanii jako El Loco, to prawdopodobnie nie zostawia sobie zbyt szeroko otwartej furtki). Został również oskarżony o sprzeniewierzenie milionów dolarów i bezzwłocznie uciekł – ponownie – do Panamy. Z tego wszystkiego płyną różne nauki, ale chyba najważniejsza jest ta: Jeśli ktoś nosi hitlerowski wąsik, uch, czy nie jest to przypadkiem sygnał ostrzegawczy?

Skoro o wąsiku mowa, nie można tak naprawdę rozmawiać o zdolności demokracji do szybkiego obierania koszmarnie złego kursu, nie wspominając, no cóż, o Hitlerze.

Hitler

Posłuchaj, wiem, co myślisz. Umieszczanie Hitlera w książce o strasznych błędach, które popełniliśmy jako gatunek, właściwie nie jest

najzuchwalszym posunięciem. Mało prawdopodobne, że ktoś zapieje z zachwytu: „O rany, nigdy o nim nie słyszałem, cóż za fascynująca perełka historyczna!”.

Ale poza tym, że Hitler był (oczywiście) maniakalnym ludobójcą, w naszym standardowym postrzeganiu jego władzy brakuje pewnego aspektu. Jeśli nawet w popkulturze od dawna stał się obiektem drwin, wciąż jesteśmy skłonni wierzyć w bezlitosną skuteczność nazistowskiej machiny i w to, że wielki dyktator większość czasu spędzał… cóż, na dyktatorowaniu.

Dlatego warto pamiętać, że tak naprawdę Hitler był niekompetentnym, leniwym, patologicznym egocentrykiem, a jego rząd – błazenadą.

Ale być może właśnie to pomogło mu dojść do władzy w czasach, gdy niemieckie elity konsekwentnie go lekceważyły. Zanim został kanclerzem, wielu przeciwników bagatelizowało jego prostackie przemówienia i jarmarczne wiece. Jedno z czasopism nazwało go „żałosnym pajacem”, gdzie indziej napisano, że jego partia jest „stowarzyszeniem nieudaczników” i że ludzie nie powinni przywiązywać wagi do tej „błazeńskiej partii”.

Nawet po wyborach, gdy partia nazistowska stała się największą siłą w Reichstagu, wciąż uważano, że Hitler jest łatwym celem, wrzeszczącym idiotą, nad którym z łatwością zapanują rozsądni ludzie. Franz von Papen, kanclerz Niemiec, w wyniku wyborów odsunięty od władzy i z determinacją pragnący ją odzyskać, wpadł na pomysł, żeby wykorzystać Hitlera jako pionka, i wdał się z nim w dyskusję o sformowaniu rządu koalicyjnego. Kiedy w styczniu 1933 roku ubili interes i Hitler został kanclerzem z gabinetem pełnym konserwatywnych sprzymierzeńców wicekanclerza von Papena, ten drugi był pewien swojego triumfu. „Wynajęliśmy go”, zapewnił znajomego, który próbował mu uświadomić, że popełnił błąd. „Za dwa miesiące – oznajmił komuś innemu – wepchniemy Hitlera tak głęboko w kąt, że będzie piszczał”.

Poszło zupełnie inaczej. W ciągu dwóch miesięcy Hitler przejął całkowitą kontrolę nad niemieckim państwem, przekonując Reichstag do przyjęcia ustawy dającej mu prawo obchodzenia konstytucji, urzędu prezydenta i samego Reichstagu. To, co było demokracją, nagle przestało nią być.

Dlaczego elity Niemiec z takim uporem lekceważyły Hitlera? Być może dlatego, że w zasadzie nie mylono się w ocenie jego niekompetencji – tyle że nikt nie zdawał sobie sprawy, że to nie wystarczy, żeby zdusić jego ambicje. Jak się okazało, Hitler naprawdę był kiepski w kierowaniu rządem; we wspomnieniach *12 Jahre mit Hitler* jego rzecznik prasowy, Otto Dietrich, napisał: „W ciągu dwunastu lat sprawowania władzy w Niemczech Hitler wprowadził w rządzie zamęt, jakiego dotychczas nie znało żadne cywilizowane państwo”.

Hitler nienawidził papierkowej roboty i regularnie podejmował ważne decyzje, nie czytając dokumentów, które przygotowywali mu jego asystenci. Zamiast prowadzić dyskusje polityczne z podwładnymi, kazał im wysłuchiwać swoich wymyślanych na poczekaniu chaotycznych tyrad o tym, co akurat chodziło mu po głowie – a napawało ich to lękiem, bo znaczyło, że nie posuną swej pracy do przodu, dopóki on nie skończy.

W jego rządzie panował bezustanny chaos, urzędnicy nie mieli pojęcia, czego się od nich wymaga, i dla nikogo nie było całkowicie jasne, kto jest za co odpowiedzialny. Hitler zwlekał

z podejmowaniem trudnych decyzji, często polegał na przeczuciach i nie wyjawiał swoich planów nawet najbliższym współpracownikom. Jego „niesolidność sprawiała, że ci, którzy z nim pracowali, rwali włosy z głowy”, jak później we wspomnieniach *Zwischen Weißem und Braunem Haus* napisał jego powiernik Ernst Hanfstaengl. To oznaczało, że zamiast wypełniać swe obowiązki, podwładni Hitlera większość czasu spędzali na wewnętrznych utarczkach i wzajemnym podgryzaniu się, aby zdobyć jego aprobatę albo nie zwrócić na siebie jego uwagi, zależnie od nastroju, w jakim był danego dnia.

Historycy nie są zgodni, czy robienie wszystkiego po swojemu było ze strony Hitlera rozmyślnym zabiegiem, czy też po prostu naprawdę bardzo kiepsko szło mu sprawowanie władzy. Sam Dietrich uważał to za przebiegłą taktykę tworzenia podziałów i chaosu – i niezaprzeczalnie pod tym względem Hitler był nadzwyczaj skuteczny. Ale kiedy się spojrzy na jego osobiste nawyki, trudno oprzeć się wrażeniu, że zamęt był po prostu naturalnym rezultatem uczynienia gnuśnego narcyza głową państwa.

Hitler był niesłychanie leniwy. Według jego adiutanta, Fritza Wiedemanna, nawet wtedy, gdy

przebywał w Berlinie, nie wstawał z łóżka przed jedenastą i niewiele robił przed obiadem, poza czytaniem o sobie w gazetach; Dietrich posłusznie dostarczał mu wycinki prasowe. Przebywanie w stolicy, gdzie ludzie wciąż próbowali go nakłonić, by wypełniał jakieś obowiązki, nie sprawiało mu przyjemności; korzystał z każdej okazji, żeby się wyrwać do prywatnego ustronia w Obersalzbergu, gdzie robił jeszcze mniej. Tam nie wychodził ze swojego pokoju do drugiej po południu i przez większość czasu spacerował albo oglądał filmy do wczesnych godzin rannych.

Miał obsesję na punkcie mediów i rozgłosu i często widział siebie przez ich pryzmat. Kiedyś nazwał siebie „największym aktorem w Europie", a do przyjaciela napisał: „Wierzę, że moje życie jest najwspanialszą powieścią w historii świata". Wiele jego nawyków sprawiało, że wydawał się dziwny albo nawet dziecinny – ucinał sobie regularne drzemki w ciągu dnia, wbijał paznokcie w stół podczas posiłków i uwielbiał słodycze: zjadał „ogromne ilości ciasta" i „wrzucał do filiżanki tyle kostek cukru, że ledwie wystarczało miejsca na herbatę".

Miał kompleksy z powodu swojego braku wiedzy i dlatego ignorował informacje, które

przeczyły jego z góry przyjętym opiniom, albo ostro atakował tych mądrzejszych – podobno „szalał jak tygrys”, kiedy ktoś go poprawił. „Jak można powiedzieć prawdę komuś, kto natychmiast wpada w złość, jeśli nie odpowiadają mu fakty?”, lamentował Wiedemann. Hitler nienawidził, gdy się z niego śmiano, ale sprawiało mu przyjemność, gdy inni padali ofiarą żartów (sam złośliwie przedrzeźniał nielubiane osoby). Łaknął aprobaty tych, którymi pogardzał, i nastrój szybko mu się polepszał, jeśli w gazecie napisano o nim coś pochlebnego.

W latach trzydziestych wszystko to było tajemnicą poliszynela. Właśnie dlatego tak wielu ludzi nie brało Hitlera na poważnie, uważając go za „wpół obłąkanego huncwota” albo człowieka o „piwnym aparacie głosowym” – dopóki nie zrobiło się za późno. W pewnym sensie właściwie się nie mylili. W innym, znacznie ważniejszym, nie mogliby się mylić bardziej. Różne jego wady nie przeszkadzały temu, że posiadał nadzwyczajny dar retoryki politycznej, która zjednała mu masy, i w końcu się okazało, że naprawdę nie trzeba mieć szczególnie kompetentnego czy sprawnego rządu, żeby robić potworne rzeczy.

Mamy tendencję zakładać, że kiedy dzieje się coś strasznego, musi za tym stać jakaś ogromna inteligencja. To zrozumiałe: czy wszystko mogłoby pójść tak źle, gdyby jakiś geniusz zła nie pociągał za sznurki? Minus jest taki, że z reguły uznajemy, że skoro od razu nie namierzyliśmy geniusza zła, to możemy się trochę wyluzować, bo wszystko będzie dobrze.

Ale historia wskazuje, że to błąd, i to taki, który powtarzamy bez końca. Wiele najgorszych spowodowanych przez człowieka katastrof wcale nie było dziełem geniusza zła. Były wytworem korowodu idiotów i obłąkańców, prących do przodu niczym czołgi, wspomaganych po drodze przez zbyt pewnych siebie ludzi, którzy myśleli, że mogą ich kontrolować.

6 PORONIONYCH POMYSŁÓW RZĄDOWYCH

Podatek wyborczy

Najtęższe głowy w rządzie Margaret Thatcher wystąpiły z pomysłem podatku, który uznały za sprawiedliwszy: każdy, bogaty czy biedny, ma płacić tyle samo. Doprowadziło to do zakrojonych na szeroką skalę zamieszek i w końcu Thatcher była zmuszona ustąpić z urzędu.

Prohibicja w USA

Zakaz spożywania alkoholu w latach 1920–1933 doprowadził do tego, że faktycznie mniej ludzi piło – ale również pozwolił na to, by przemysł alkoholowy zmonopolizowała przestępczość zorganizowana, co w wielu miejscach doprowadziło do rozkwitu tego procederu.

Efekt kobry

W ramach zwalczania szkodników w Delhi brytyjski rząd wyznaczył nagrodę pieniężną za martwe kobry. Ludzie zaczęli więc hodować kobry, żeby odebrać nagrodę. Wtedy Brytyjczycy zrezygnowali z wypłacania nagród. Na co ludzie wypuścili bezwartościowe kobry na wolność. Skutek: więcej kobr.

Ustawa Smoota-Hawleya

Gdy w 1930 roku zaczął dawać się we znaki wielki kryzys, Stany Zjednoczone wprowadziły wysokie cła na towary importowane, aby wesprzeć przemysł krajowy. Skończyło się wojną handlową, która tylko pogłębiła panujący kryzys.

Sieroty Duplessisa

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych dwudziestego wieku w Quebecu rząd zaproponował grupom kościelnym subsydia na opiekę nad sierotami i osobami umysłowo chorymi. Dotacje psychiatryczne były dwa razy wyższe niż te dla sierot – więc tysiące sierot fałszywie zdiagnozowano jako umysłowo chore.

Hoy No Circula

W roku 1989 miasto Meksyk spróbowało zredukować zanieczyszczenie powietrza, wydając zakaz jazdy konkretnym samochodom w określone dni. Niestety, zamiast jeździć autobusami, ludzie po prostu kupili więcej aut, żeby móc korzystać z tego, którego w danym dniu nie obejmował zakaz.

6

Wojna. Ha. Co w niej dobrego?

Ludzie mają bzika na punkcie wojny. Pod wieloma względami to „nasza bajka”. Najstarszy dowód archeologiczny świadczący o zorganizowanej masowej przemocy pochodzi sprzed około czternastu tysięcy lat, z Jebel Sahaba w Dolinie Nilu, chociaż, nie oszukujmy się, prawdopodobnie toczyliśmy walki znacznie wcześniej. Tymczasem (jak wspomniano dwa rozdziały temu), dowody z Oaxaca w Meksyku sugerują, że gdy tylko ludzie zaczęli mieszkać w wioskach, jedna próbowała napadać na drugą – i od tamtej pory nastąpiła szybka eskalacja masowej przemocy.

Ocenia się, że 90 do 95 procent znanych społeczeństw regularnie prowadziło wojny; te nieliczne, którym udawało się ich unikać, z reguły żyły we względnej izolacji, prowadząc koczowniczy, łowiecko-zbieracki styl życia.

Był jednak godny uwagi historyczny wyjątek – kultura harappańska istniejąca pięć tysięcy lat temu w dolinie Indusu, na terenach dzisiejszego Afganistanu, Pakistanu i Indii. Powstała mniej więcej w tym samym czasie co cywilizacja

w Mezopotamii i Egipcie, ale była znacznie lepiej rozwinięta, z liczbą ludności idącą w miliony. Duże miasta o zaawansowanej urbanistyce mogły się poszczycić takimi udogodnieniami, jak instalacje wodno-kanalizacyjne, toalety i łaźnie publiczne. Harappańczycy mieli nowatorską technikę i sztukę i handlowali w całym znanym świecie. I jak się wydaje, nie prowadzili wojen. Wcale. Archeolodzy, którzy już od stu lat odkopują resztki harappańskich miast, znaleźli co prawda potężne fortyfikacje czy systemy obronne, ale niewiele dowodów na to, że ktoś na nie napadał. W sztuce brak przedstawień batalistycznych i nic nie wskazuje na istnienie armii czy dużych ilości broni (i co ciekawe, inaczej niż na terenach zamieszkanych przez inne porównywalne cywilizacje z tego okresu, nie znaleziono czegoś takiego jak posągi wielkich wodzów).

Z tego względu Harappańczycy są czasami portretowani jako wyidealizowani protoplaści hipisów, co jest miłą koncepcją, ale prawdopodobnie bliższą myśleniu życzeniowemu niż rzeczywistości. Może się wydawać, że mieli całkiem luzackie społeczeństwo, które żyło w zgodzie z sąsiadami, ale też warunki geograficzne zapewniały im

dobrą ochronę przed ewentualnymi agresorami, co bez wątpienia znacznie sprzyja unikaniu konfliktów zbrojnych. I jest oczywiście możliwe, że po prostu jeszcze nie znaleźliśmy dowodów na prowadzenie przez nich wojen; jeśli je znajdziemy, nie po raz pierwszy cywilizacja uważana za pacyfistyczną straci tę reputację. Pismo harappańskie dotąd nie zostało odczytane, więc może któregoś dnia je rozszyfrujemy i przeczytamy: „Hej, ukryjmy cały nasz oręż, żeby namieszać w głowie archeologom".

Jednak na razie wydaje się, że kiedy inne wczesne cywilizacje skłaniały się ku wojnie i podbojom, społeczeństwo harappańskie pokojowo kwitło przez siedemset lat, osiągając szczytową fazę rozwoju nietargane w żaden znaczący sposób konfliktami zewnętrznymi. A później, z niewyjaśnionych powodów, cywilizacja harappańska po prostu… znika z kart historii. Ludzie zaczęli wyprowadzać się z miast i wracać na wieś. Około 2200 roku p.n.e. nastąpiły zmiany klimatyczne, które spowodowały upadek kilku innych wczesnych cywilizacji. Dolina Indusu stawała się coraz bardziej wysuszona i mniej żyzna; przeludnienie i nadmierna eksploatacja terenów rolnych mogły doprowadzić do niedostatku żywności; jak się to

dzieje na wszystkich gęsto zaludnionych obszarach, Harappańczycy byli bardziej narażeni na choroby zakaźne. Niezależnie od przyczyny, trzy i pół tysiąca lat temu miasta się wyludniły i ten krótki pokojowy okres w dziejach ludzkości dobiegł końca. Tymczasem pozostałe cywilizacje świata rosły w siłę i prowadziły wojny.

(Niepokojąca możliwość jest taka, że Harappańczycy popełnili kardynalny błąd, nie prowadząc wojen, i że cywilizacja naprawdę potrzebuje wojny, żeby przetrwać. To radosna złota myśl dnia).

Mamy sporo szczęścia, bo żyjemy we względnie pokojowym okresie historii, choć raczej niekoniecznie można narzekać na brak wojen. Roczne żniwo śmierci w konfliktach zbrojnych na świecie się zmniejsza, co według kilku autorów może wskazywać, że rzeczywiście wkroczyliśmy w nową erę pokoju, racjonalności i przyjaźni międzynarodowej. Chociaż prawdopodobnie trochę za wcześnie na takie twierdzenia, bo krzywa faktycznie spada, ale od szczytu osiągniętego podczas drugiej wojny światowej. Może ludzkość po prostu potrzebuje odrobiny wytchnienia przed rozpoczęciem wszystkiego na nowo.

Mam nadzieję, że w książce o porażkach nie trzeba mówić, że wszystkie wojny są do pewnego stopnia ogromnymi porażkami którejś strony. Ale na domiar tego, że są złe same w sobie, związany z nimi chaos, klapki na oczach i kult macho podwyższają naszą wrodzoną zdolność do zawalania na wielu innych frontach. Wojna jest zbiorowym uderzeniem krwi do głowy; ujmując to inaczej: jest totalną rozpierduchą.

Trudno chyba o lepszy przykład niż owiana zasłużoną złą sławą bitwa o Kadyks, która powinna nosić znacznie trafniejszą nazwę: pijatyka o Kadyks. W roku 1625 Anglicy zadecydowali, że chcą spuścić Hiszpanom porządny łomot. Właśnie zmarł król Jakub VI i zarazem I (wsławił się tym, że zjednoczył królestwo, zlecił tłumaczenie Biblii i aktywnie polował na czarownice), zostawiając na tronie swojego mocno dorosłego syna Karola I. Karol żywił głęboką urazę do Hiszpanii, odkąd odmówiono mu ręki jednej z tamtejszych księżniczek, i pałał żądzą zemsty. Dlatego – wykazując się całym taktem i zdrowym rozsądkiem, dzięki któremu miał w końcu stać się krótszy o głowę – wraz ze swoimi kumplami postanowił załatwić sprawy po staremu i zorganizować kilka pirackich wypraw, żeby

ukraść całe złoto i srebro, które Hiszpanie przywozili z Ameryki.

W listopadzie tamtego roku sto statków z piętnastoma tysiącami żołnierzy połączonych angielsko-holenderskich sił ekspedycyjnych wpłynęło do Zatoki Kadyksu w południowo-zachodniej Hiszpanii. Przybyli grabić, nie przyjmując do wiadomości sprzeciwu. No dobrze, znaleźli się w Kadyksie tylko dlatego, że z powodu dezorganizacji i spóźnienia rozminęli się na morzu z hiszpańską flotą, która wracała z Ameryki ze skarbami, ale jednak. Nadszedł czas zapłaty.

Niestety, już w drodze do Kadyksu stało się jasne, że wzięli za mało żywności i wody. Kiedy więc wylądowali, dowódca ekspedycji sir Edward Cecil uznał, że ważniejsze od staczania bitew jest nakarmienie wygłodniałych żołnierzy, więc pozwolił im szukać jedzenia. Naturalnie w Kadyksie żołnierze natychmiast zrobili to, co zawsze robią Anglicy za granicą: ruszyli prosto do składów win. I się ubzdryngolili.

Gdy Cecil zrozumiał, że jego całe wojsko jest zalane w pestkę, rozsądnie zrezygnował z pierwotnego planu i rozkazał ludziom wracać na okręty, żeby następnie w sromocie uciec do Anglii. Większość żołnierzy się stawiła, ale około

tysiąca było tak pijanych, że zostali w Kadyksie, a gdy zjawiły się oddziały hiszpańskie, po prostu wycięły maruderów co do nogi.

Oto jak Anglii nie udała się inwazja na Kadyks.

Angielskie wyczyny w Kadyksie często pojawiają się na listach największych porażek militarnych w historii – ale szczerze mówiąc, jeśli pominąć ten kawałek o rzezi, opowieść brzmi naprawdę całkiem fajnie. Wpadasz gdzieś, oszczędzasz na jedzeniu, chlasz na umór i po drodze gubisz paru ziomków: toż to klasyczne wakacje. Gdybyśmy zamiast prowadzić wojny, po prostu regularnie wysyłali duże grupy ludzi do różnych krajów, żeby opróżniali beczki wina i bezcelowo szwendali się po miastach, świat byłby prawdopodobnie lepszym miejscem. Chociaż właśnie w tej chwili przyszło mi na myśl, że wypisz, wymaluj, tak działa Unia Europejska.

Alkohol, co niewątpliwie cię zdziwi, odegrał główną rolę w wielu najgłupszych momentach historii, uświetniając pola bitewne – jak w przypadku bitwy pod Karánsebes w roku 1788, czyli „bitwy, której nie było”. To godne podziwu, jak armii austriackiej udało się ponieść ciężkie straty, mimo że przeciwnik wcale się nie zjawił. Co więcej, nieprzyjaciel (w owym czasie Austria

walczyła z Imperium Osmańskim) w ogóle nie wiedział, że doszło do walki, dopóki jakiś czas później nie natknął się na jej pokłosie.

Właściwie nie wiadomo, co dokładnie się stało. Jasne jest tylko, że armia austriacka wycofywała się nocą przez miasteczko Karánsebes (w dzisiejszej Rumunii), pilnie wypatrując pościgu Turków. W tym momencie relacje o zdarzeniu się rozchodzą. Jedna mówi, że miejscowa jednostka z regionu Wołoszczyzny, chcąc wzniecić zamęt i splądrować tabor, zaczęła rozpuszczać pogłoski o przybyciu Turków. Według drugiej, kawalerzyści spotkali wołoskiego chłopa z furmanką pełną gorzałki i uznali, że po długiej, forsownej jeździe zasługują na trochę odpoczynku. Po jakimś czasie zjawili się piechurzy, którzy uszczypliwie zapytali, czy kawalerzyści mają zamiar podzielić się gorzałą ze swoimi braćmi piechurami, i w tym momencie zaczęła się burda.

Niezależnie od przyczyny (rozbieżne opowieści łączy to, że każda jednostka armii próbowała zrzucić winę na inną jednostkę armii), większość źródeł jest zgodna, że sytuacja osiągnęła punkt krytyczny, kiedy ktoś strzelił w powietrze, a ktoś inny zaczął krzyczeć: „Turcy! Turcy!”. Kawalerzyści (najprawdopodobniej

pijani) uznali, że to na poważnie, więc naturalnie siedli na koń i podchwycili okrzyk: „Turcy! Turcy!”. W tym momencie wszyscy obecni wpadli w popłoch i rzucili się do ucieczki przed wyimaginowanymi siłami tureckimi. W ciemności i zamieszaniu, i zapewne w stanie upojenia alkoholowego, dwie kolumny żołnierzy wpadły na siebie, obie mylnie wzięły tych drugich za budzącego lęk wroga i zaczęły się dziko ostrzeliwać.

Zanim ktoś w końcu się zorientował, że żadni Turcy ich nie atakują, znaczna część armii austriackiej już uciekała, przewracając wozy i armaty i gubiąc albo niszcząc większą część zapasów. Kiedy Turcy zjawili się nazajutrz, zobaczyli wielu martwych Austriaków i stratowane resztki obozu.

Szacunki strat też się zasadniczo różnią. Jedno ze źródeł mówi tylko o „wielu” martwych i rannych, inne o tysiącu dwustu rannych, a austriacki cesarz Józef II skromnie napisał w liście, że stracili „nie tylko wszystkie garnki i namioty (…), ale też trzy armaty”. Według najsłynniejszej relacji z tej bitwy liczba ofiar śmiertelnych wynosiła dziesięć tysięcy, ale prawie na pewno autor wziął tę liczbę z sufitu, żeby ubarwić całą historię. Podsumowanie: coś

się stało, jacyś ludzie zginęli albo nie zginęli, ale wszyscy się zgadzają, że sytuacja była wyjątkowo głupia.

Sądzę, że właśnie coś takiego jest nazywane „mgłą wojny”.

Kolejnym doskonałym przykładem skutecznego doprowadzania się do klęski jest oblężenie Petersburga podczas amerykańskiej wojny secesyjnej, kiedy oddziały Unii w szczególnie pomysłowy sposób przemieniły taktyczne zwycięstwo w upokarzające niepowodzenie. Unioniści otoczyli fort i przez miesiąc przygotowywali się do zadania *coup de grâce*, tak by jednym radykalnym posunięciem uczynić wyłom w umocnieniach. Mianowicie wykopali długi na sto pięćdziesiąt metrów tunel, prowadzący prosto pod fort konfederatów, i umieścili w nim ogromną ilość prochu.

Kiedy trzydziestego lipca 1864 roku we wczesnych godzinach rannych odpalili ładunek, siła eksplozji przeszła ich najśmielsze oczekiwania. Wybuch zabił setki konfederackich żołnierzy i spowodował powstanie ogromnego krateru, długiego na pięćdziesiąt i miejscami głębokiego na dziesięć metrów. Po jakichś dziesięciu minutach bezmyślnego wytrzeszczania oczu żołnierze Unii ruszyli do

ataku – chociaż niestety nie byli to ci sami, którzy od dziesięciu dni ćwiczyli taktykę przedarcia się przez wyłom. Wprowadzono zmianę, ponieważ wyszkoleni żołnierze byli czarni, więc w ostatniej chwili dowódca wojsk Unii, w trosce o wizerunek, rozkazał zastąpić ich białymi. I tak oto biali żołnierze ruszyli w kierunku pozycji konfederatów – prosto przez krater.

Być może myśleli, że dół w ziemi zapewni im dobrą osłonę. Nie zapewnił. Kiedy konfederaci otrząsnęli się z szoku wywołanego potężną eksplozją, zobaczyli przed sobą bardzo wielką dziurę pełną przeciwników, którzy nie mogli się z niej wygrzebać. Unioniści wciąż wysyłali kolejnych żołnierzy i ci bezmyślnie dołączali do swoich towarzyszy w kraterze. Konfederacki dowódca później opisał rzeź, która nastąpiła, jako „strzelanie do indyków”.

To ważna lekcja taktyki wojskowej: nie właź do wielkich dziur w ziemi.

Inną ważną lekcją dla wszystkich obiecujących strategii wojskowych jest to, że w czasie konfliktu zbrojnego podstawowe znaczenie ma łączność. Tego nauczyła się leżąca na Pacyfiku wyspa Guam podczas wojny amerykańsko-hiszpańskiej w 1898 roku, gdy kolonialni panowie w Hiszpanii zapomnieli

powiadomić wyspiarzy, że w ogóle trwa jakaś wojna.

W rezultacie tego niedopatrzenia, kiedy mała amerykańska flota wojenna podpłynęła do podejrzanie niechronionej wyspy Guam i wystrzeliła trzynaście pocisków w stary hiszpański fort Santa Cruz, tamtejsi notable powiosłowali do okrętów, żeby podziękować Amerykanom za wspaniałomyślny salut powitalny i przeprosić, że odwzajemnienie uprzejmości zajmie im trochę czasu, bo muszą ściągać armaty z innej części wyspy.

Po chwili konsternacji Amerykanie wyjaśnili, że nie strzelali na powitanie, tylko próbowali stoczyć bitwę, ponieważ trwa wojna. Notable – lekko dotknięci, że oto są jeńcami wojennymi – odparli, że od ponad dwóch miesięcy nie mieli żadnych wiadomości z Hiszpanii i nie słyszeli nic o wybuchu wojny. Odeszli, żeby się naradzić, a jeden z miejscowych kupców został na pogawędkę, bo się okazało, że jest starym znajomkiem kapitana.

Wyspa Guam oficjalnie poddała się kilka dni później i od tej pory jest terytorium amerykańskim.

Jako gatunek nie za dobrze potrafimy unikać powtarzania błędów historii. Ale niewiele

przykładów jest równie oczywistych jak ten: w 1941 roku Hitler wiernie skopiował fatalny błąd, który sto dwadzieścia dziewięć lat wcześniej popełnił Napoleon, i tym sposobem obaj kompletnie spaprali swoje dotąd całkiem udane plany podboju Europy. Tym błędem była, oczywiście, próba podboju Rosji.

Jedyne w historii pomyślne, zakrojone na szeroką skalę podbicie Rosji – a raczej Rusi Kijowskiej, jako że Rosja wówczas nie istniała – udało się Mongołom, którzy byli pod względem skuteczności podbojów całkiem wyjątkowi (jak zobaczymy w dalszych rozdziałach). Później dokonali tej sztuki Polacy (nawet na dwa lata zajęli Moskwę), ale w końcu zostali wyparci. Podobną próbę podjęli Szwedzi, lecz zakończyło się to dla nich klęską i skutecznie unicestwiło ich mocarstwowe ambicje. Płynie stąd nauka, że lepiej nie brać się do podbijania Rosji.

Co do cesarza Francuzów i Führera, Napoleon mógł nieco bardziej racjonalnie niż Hitler uzasadniać swój plan podboju Rosji. Przede wszystkim nie znał pouczającego przykładu wcześniejszej klęski Napoleona. Poza tym, zważywszy na dotychczasową dobrą passę swojej Wielkiej Armii, która rozstawiała przeciwników po kątach jak koszykarze Harlem Globetrotters,

miał wszelkie powody, by wierzyć w zwycięstwo. Co więcej, żywił pewne pretensje do cara Aleksandra, który, jak sądził, podkopywał jego blokadę ekonomiczną Wielkiej Brytanii, kolejnego państwa stojącego mu na przeszkodzie w totalnym podboju Europy. Przyznajmy, że drobne zastrzeżenia do embarga handlowego naprawdę nie są wielkim powodem, by wszczynać działania wojenne przeciwko ogromnemu krajowi. Jeśli Napoleon popełnił jeden zasadniczy błąd, to taki, że jego metody stawiania na swoim zaczynały się i kończyły praktycznie na stwierdzeniu „Mamy wojnę". Dyplomacja i negocjacje niezupełnie były jego mocną stroną.

Podjąwszy decyzję, że trzeba na kogoś napaść, Napoleon musiał uznać, że z Rosją będzie miał większe szanse niż z Wielką Brytanią, ponieważ tutaj przynajmniej będzie walczyć na lądzie. I wiedząc, że z powodu klimatu ma tylko trzy miesiące na inwazję, wymyślił strategię: ruszy prosto na Moskwę i zmusi Rosjan do decydującego starcia, które wygra, bo ma naprawdę zmotywowaną i dobrą w swoim rzemiośle armię, a nie bandę najemników pod rozkazami arystokratów.

Niestety, był to jeden z tych planów, które wydają się wspaniałe, gdy się o nich mówi, ale których powodzenie całkowicie zależy od tego, czy przeciwnicy zrobią dokładnie to, czego od nich chcemy. Rosjanie pozwolili Francuzom wmaszerować do swojego kraju. Cofali się i cofali, w miarę możliwości unikając dużych bitew i zostawiając za sobą spaloną ziemię, żeby pozbawić nieprzyjaciela źródeł zaopatrzenia, i po prostu czekali na zimę, by odwaliła za nich robotę. Gdy Napoleon zrozumiał, co się dzieje, było już za późno na opuszczenie Rosji przed nastaniem mrozów i Francuzi zostali zmuszeni do długiego, ponurego marszu śmierci. Reszta Europy nagle dostrzegła słabość tam, gdzie wcześniej widziała tylko siłę, i taki był początek końca dla Napoleona.

W 1941 roku Hitler był w podobnej sytuacji: odkrywszy, że podbój Wielkiej Brytanii będzie trudny z powodu jej wyspiarskiego położenia, też uznał, że alternatywą jest napaść na Związek Radziecki w wąskich letnich ramach czasowych. Jasne, miał wówczas podpisany z Rosjanami pakt o nieagresji, ale przecież był nazistą, a oni komunistami, więc ich nienawidził.

Hitler rzeczywiście studiował strategię Napoleona i doszedł do wniosku, że opracował

mądrzejszy plan, by uniknąć tych samych błędów. Zamiast rzucać całe swoje siły na Moskwę, podzielił je, atakując Leningrad, Kijów i stolicę. I w przeciwieństwie do Napoleona, nie wycofał się z nadejściem zimy, tylko został i walczył. Obydwie decyzje okazały się katastrofalne w skutkach. Nie dostrzegł, że chociaż strategia mogła się różnić, podstawowy plan (uderzaj błyskawicznie i zdecydowanie, wygrywając walne bitwy z założeniem, że to doprowadzi do szybkiej klęski przeciwnika) pozostał taki sam. Podobnie jak jego wady (liczenie na to, że przeciwnik będzie postępować zgodnie z naszym scenariuszem, brak planu B, gdyby z tajemniczych przyczyn przeciwnik odmówił współpracy, i uparte ignorowanie rosyjskiej zimy).

W niemieckim naczelnym dowództwie nie brakowało ludzi, którzy mogliby wskazać wady tego planu, ale gdy tylko Hitler zwietrzył sprzeciw czy sceptycyzm, ukrywał swoje zamiary albo kłamał w żywe oczy. Był to proces podejmowania decyzji oparty w równym stopniu na nieposkromionej pysze, myśleniu życzeniowym i chowaniu głowy w piasek.

Błędy w strategii były takie same jak te Napoleona i wynik w przybliżeniu też był taki

sam, chociaż tym razem przybyło ofiar. Niemcy wdarli się daleko w głąb terytorium Rosji i wygrali kilka bitew, ale Rosjanie nie pękli, czego wymagał scenariusz. Stosowali taktykę spalonej ziemi i spowalniali wroga, aż do nadejścia zimy – i wtedy się okazało, że Niemcy nie mają odpowiednich ubrań, dostatecznych zapasów prowiantu czy też płynu przeciw zamarzaniu paliwa. Rozkazy Hitlera, żeby walczyć w przenikliwym zimnie, zamiast się wycofać, tylko powiększyły liczbę zabitych. Po raz drugi armia, która podbiła prawie całą kontynentalną Europę, została katastrofalnie osłabiona przez niepotrzebną inwazję na Rosję i losy wojny się odwróciły.

Dodatkową niespodzianką dla Niemców było to, że ich sojusznicy w Japonii przeprowadzili swój nieprzemyślany atak na Pearl Harbor, wciągając do udziału w wojnie supermocarstwo, które do tej pory próbowało się nie mieszać. Gdyby nie te dwie fatalne decyzje, państwa Osi mogłyby wygrać. Co dowodzi, że czasami wyjątkowo kiepskie postanowienia przynoszą na dłuższą metę to, co najlepsze (w każdym razie przy założeniu, że nie jest się fanem Hitlera).

Wojna Amerykanów i Japończyków na Pacyfiku dała okazję, by udowodnić, że mgła

wojny może mieć znaczenie nie tylko metaforyczne, ale również dosłowne. Tak było w przypadku Kiski, jałowej, ale strategicznie ważnej wyspy na północnym Pacyfiku, leżącej w połowie drogi między Japonią a Alaską (i będącej bardzo odległą częścią tego stanu). W 1942 roku Japończycy zajęli Kiskę i drugą wysepkę, Attu, co niepomiernie wkurzyło Amerykanów, ponieważ należące do nich terytoria znalazły się – po raz pierwszy od wojny z Brytyjczykami w 1812 roku – pod okupacją. Nie miało znaczenia, że terytoria te są wyjątkowo małe i dalekie.

Latem 1943 roku trzydzieści cztery tysiące amerykańskich i kanadyjskich żołnierzy przygotowało się do inwazji na Kiskę. Wszyscy wciąż mieli w pamięci brutalną, zaciekłą bitwę podczas odbijania pobliskiej wyspy Attu, gdzie japońscy żołnierze walczyli do ostatniej kropli krwi. Amerykańscy dowódcy byli pewni, że bitwa o Kiskę będzie równie zażarta. Piętnastego sierpnia, w dniu desantu, wyspę spowijała gęsta lodowata mgła. W piekielnym zimnie, wietrze, deszczu i zerowej widoczności żołnierze na ślepo brnęli przez skalisty teren, próbując unikać min i pułapek, a mgłę wokół nich rozpalał ogień karabinowy niewidzialnych wrogów. Przez

dwadzieścia cztery godziny, narażeni na ostrzał snajperów, żmudnie, krok po kroku, pięli się pod górę, w kierunku środka wyspy, słysząc stłumione wybuchy pocisków artyleryjskich, grzechot niedalekich strzałów i niewyraźne rozkazy albo głosy o nacierających Japończykach.

Dopiero na drugi dzień, gdy policzyli straty – dwudziestu ośmiu zabitych, pięćdziesięciu rannych – zrozumieli, jaka jest prawda: poza nimi na wyspie nie było nikogo.

Japończycy zostali stamtąd ewakuowani prawie trzy tygodnie wcześniej. Amerykanie i Kanadyjczycy prowadzili bratobójczą wymianę ognia.

Tę bitwę można by zaliczyć do kategorii niefortunnych, ale zrozumiałych pomyłek, z jednym zastrzeżeniem. Jakiś czas przed desantem rozpoznanie powietrzne powiadomiło dowódców operacji, że nie widać śladów aktywności Japończyków na wyspie i że przypuszczalnie zostali oni ewakuowani. Ale po krwawej walce na Attu dowódcy przekonali samych siebie, że Japończycy nigdy się nie wycofują, i dlatego zlekceważyli raporty lotnicze. Byli tacy pewni swego, że nawet odrzucili propozycję wykonania jeszcze kilku misji

zwiadowczych, po prostu żeby sprawdzić wcześniejsze doniesienia. To prawdopodobnie lekcja o tym, że nie należy niczego przyjmować za pewnik.

Dwa lata później, w kwietniu 1945 roku – kilka tygodni przed zakończeniem wojny – niemiecki okręt podwodny U-1206 wyruszył w dziewiczy rejs bojowy na północny wschód od wybrzeża Szkocji. Był to supernowoczesny U-Boot, szybki i smukły oraz, co najistotniejsze, wyposażony w nowatorską toaletę, która wystrzeliwała ekskrementy do morza bez konieczności przechowywania ich w szambie.

Jedyny minus toalety polegał na tym, że korzystanie z niej było nadzwyczaj skomplikowane. Tak bardzo, że czternastego kwietnia kapitan musiał wezwać mechanika, ponieważ nie mógł rozgryźć, jak po sobie spłukać, co pewnie nie służyło podbudowaniu jego autorytetu. Niestety, mechanik okazał się wcale nie lepszy. Próbując uruchomić mechanizm, przekręcił niewłaściwy zawór – i kabinę zaczęła zalewać mocno nieprzyjemna mieszanina wody morskiej i fekaliów.

Nie, nie wiem, kto postanowił umieścić w toalecie zawór, który wygląda dokładnie tak jak ten od spłuczki, ale zamiast spłukiwać,

wpuszcza wodę morską do wielkiego nazistowskiego okrętu podwodnego, ale przypuszczalnie wywodził się z tej samej szkoły myślenia co facet, który nie zabezpieczył szybu wentylacyjnego w Gwieździe Śmierci.

Samo zalanie kabiny cuchnącym koktajlem fekaliów i wody morskiej byłoby wystarczająco paskudne, ale sytuacja mocno się pogorszyła, gdy ścieki spłynęły do przedziału akumulatorów, które projektanci okrętu pomocnie zainstalowali bezpośrednio pod toaletą. Słona woda sprawiła, że z akumulatorów zaczęły buchać ogromne ilości zabójczego chloru, i kapitan Schlitt nie miał innego wyjścia, jak wynurzyć się na powierzchnię – gdzie natychmiast został zaatakowany przez samoloty RAF-u, co z kolei zmusiło go do opuszczenia i zatopienia okrętu. W ten oto sposób U-1206 spotkał wątpliwy zaszczyt bycia jedynym okrętem w drugiej wojnie światowej, który zatonął wskutek awarii toalety.

To cenna lekcja o interakcji człowiek–urządzenie w warunkach wysokiego stresu i o konieczności fizycznego oddzielania kluczowych dla misji elementów maszynerii, ale szczerze mówiąc, zamieściłem tę historię, bo jest naprawdę zabawna.

Opracowanie strategii ma oczywiście decydujące znaczenie dla sukcesu militarnego. Ale czasami się zdarza, że plan jest zbyt przebiegły i sam sobie szkodzi. Jeśli kiedyś zdarzyło ci się grać w szachy z kimś o niebo lepszym, prawdopodobnie wiesz, jak to idzie: spędzasz wieki, próbując wciągnąć przeciwnika w wyjątkowo sprytną pułapkę, po czym stwierdzasz, że przewidział każdy twój ruch i że w rzeczywistości pokonałeś sam siebie. Zasadniczo właśnie tak zrobił francuski generał Henri Navarre w Wietnamie, z tą różnicą, że miał do dyspozycji ludzi, a nie figury szachowe. Jak jego rodak Napoleon, opracował plan, który był idealny – pod warunkiem że przeciwnicy zrobią dokładnie to, co on sobie założył.

Był rok 1953 i Navarre chciał zadać miażdżącą, upokarzającą klęskę komunistycznym siłom Viet Minhu (które radziły sobie irytująco dobrze, buntując się przeciwko kolonializmowi we francuskich Indochinach), żeby osłabić ich pozycję w zbliżających się negocjacjach pokojowych. Tak więc postanowił zastawić wyjątkowo sprytną pułapkę. Zbudował w Điện Biên Phủ nową bazę, która zagrażała liniom zaopatrzeniowym Viet Minhu, była otoczona przez góry porośnięte gęstą dżunglą, co

zapewniało Wietnamczykom przewagę osłony i wysokości, i leżała daleko od głównej bazy francuskiej w Hanoi, skąd mogłoby nadejść wsparcie. Cel był po prostu zbyt kuszący, żeby Viet Minh zdołał się oprzeć. Navarre zakładał, że odniesie łatwe zwycięstwo ze względu na wyższość techniczną: dzięki dominacji w powietrzu będzie mógł przerzucać zaopatrzenie i oczywiście będzie górował siłą ognia, bo przecież Viet Minh nie przetransportuje ciężkiej artylerii przez dżunglę. Doskonały plan. Navarre obsadził bazę i czekał.

I czekał. Miesiącami nic się nie działo. Nikt nie atakował. Co robił Viet Minh?

Jak się okazało, w tym czasie Wietnamczycy przenosili ciężką artylerię przez dżunglę. Żołnierze i cywile rozkładali działa na części, mozolnie taszczyli je przez porośnięte gęstym lasem góry do Điện Biên Phủ i tam z powrotem składali. Później po prostu czekali na początek pory deszczowej; gdy siły francuskie ugrzęzły w błocie, a piloci nie widzieli, gdzie zrzucać zaopatrzenie, Viet Minh zaatakował. Ludzie Navarre’a, spodziewający się samobójczych szarż wieśniaków uzbrojonych w przestarzałe karabiny, raptem znaleźli się pod długotrwałym

ostrzałem nowoczesnej artylerii, której nie powinno tam być.

Francuskie oddziały złożyły broń po dwóch miesiącach oblężenia. Skala i charakter klęski były tak miażdżące i żenujące, że francuski rząd upadł, a Viet Minh pomógł zapewnić niepodległość temu, co stało się znane jako Wietnam Północny. Ciąg dalszy historii jest bardziej znany: Viet Minh w Wietnamie Południowym przeobraził się w Wietkong, który szybko rozpoczął ostrą walkę przeciwko rządowi. Z powodu antykomunistycznego nastawienia w okresie zimnej wojny Stany Zjednoczone postanowiły udzielić wsparcia swoim sojusznikom na południu, przy czym w prowadzeniu zasadniczo tej samej wojny Wuj Sam okazał się niewiele lepszy niż Francuzi. Wojna wietnamska trwała prawie dwadzieścia lat i pochłonęła od półtora do trzech milionów istnień ludzkich. I pomyśleć, że doszło do tego między innymi dlatego, że Henri Navarre wymyślił wyjątkowo sprytną pułapkę.

Poczesne miejsce w annałach porażek militarnych zajmuje niezapomniana próba podgrzania zimnej wojny na innym froncie – to przykład, jak błędy poznawcze małej grupy ludzi

doprowadziły do upokorzenia supermocarstwa przez zwykłą płotkę.

Inwa… iluzja w Zatoce Świń

Amerykański blamaż, próba inwazji na Kubę przez Zatokę Świń, jest nie tylko klasycznym przykładem gromadomyślenia – jest również źródłem tego terminu. Został on ukuty przez psychologa Irvinga Janisa, który badał, jak to się stało, że administracja Kennedy'ego popełniła taki spektakularny błąd.

Operacja w Zatoce Świń prawie na pewno była najbardziej upokarzającym incydentem w długim paśmie komicznych porażek, jakie ponosili Amerykanie, próbując obalić rząd leżącej u ich progu małej wyspy – chociaż może nie najdziwaczniejszym (pierwsze miejsce w tej kategorii prawdopodobnie przypada CIA za skupowanie ogromnych ilości skorupiaków, żeby podłożyć skorupiakową minę lubiącemu nurkować Fidelowi Castro).

Podstawowy plan był następujący: Stany Zjednoczone wyszkolą grupę antycastrowskich uchodźców, którzy dokonają inwazji z amerykańskim wsparciem lotniczym. Po

pierwszym łatwym zwycięstwie nad źle zorganizowanym kubańskim wojskiem mieszkańcy wyspy powitają ich jako wyzwolicieli i powstaną przeciwko komunistom. Proste. Przecież już coś takiego zrobiono w Gwatemali.

Wszystko zaczęło się sypać, gdy John F. Kennedy pokonał Richarda Nixona w wyścigu o prezydenturę. Plan opracowano z założeniem, że w Gabinecie Owalnym zainstaluje się jego zwolennik, Nixon, wcześniej wiceprezydent. Kennedy był znacznie mniej bojowy i niepokoiła go, nie bez racji, ewentualna wojna z Rosjanami, dlatego uparł się, by do planu wprowadzić pewne zmiany: amerykański udział w operacji pozostanie ściśle tajny (więc nie będzie wsparcia z powietrza) i miejsce lądowania ma być oddalone od dużych skupisk ludzkich, co oczywiście minimalizowało szanse na wybuch powstania powszechnego.

W tym momencie powinno stać się jasne, że należy zrezygnować z tej zbyt optymistycznie postrzeganej operacji, ponieważ nie miała już ani odrobiny sensu. A jednak wszyscy jakby nigdy nic po prostu brnęli dalej. Nikt nie zadawał pytań, nikt nie kwestionował założeń. Historyk Arthur Schlesinger, doradca Kennedy’ego, powiedział później, że spotkania przebiegały

w „osobliwej atmosferze przyjętego konsensusu” i że on sam, choć był przeciwny temu planowi i uważał go za głupi, powstrzymał się od krytyki. „Ograniczyłem się do zadania kilku nieśmiałych pytań, a moją bierność mogę usprawiedliwić tylko tym, że okoliczności dyskusji tłumiły impuls, by zakończyć tę bzdurę”, napisał. Szczerze mówiąc, pewnie każdy z nas był na takim zebraniu.

Kiedy w kwietniu 1961 roku rozpoczął się atak, poszło źle wszystko, co mogło pójść źle. Bez amerykańskiego lotnictwa walkę z siłami powietrznymi Castra mieli stoczyć kubańscy uchodźcy, lecący z Nikaragui w bombowcach oznakowanych jak samoloty kubańskie. Zgodnie z planem, jeden z tych samolotów ostentacyjnie wylądował w Miami. Pilot obwieścił całemu światu, że zdezerterował z kubańskiej armii, żeby zbombardować kubańskie bazy lotnicze. Sprawa się rypła, gdy ludzie stwierdzili, że samolot jest innego typu niż te używane przez Kubańczyków.

Przebiegający w tajemnicy i pod osłoną ciemności desant szybko został wykryty przez miejscowych rybaków, którzy zamiast powitać intruzów jak wyzwolicieli, podnieśli alarm i zaczęli strzelać do nich z karabinów

(„Pomyśleliśmy: to inwazja, chłopaki, uważajcie! Chcą nas najechać”, powiedział w wywiadzie dla BBC jeden z rybaków, Gregorio Moreira, w pięćdziesiątą rocznicę inwazji). Najeźdźcy szybko stwierdzili, że mają kłopot z wydostaniem się z plaży, a później było już tylko gorzej: przybyły duże oddziały kubańskiej armii (która okazała się całkiem sprawna, ani trochę nie zdezorganizowana) i zaczęły ich ostrzeliwać. Podobnie jak samoloty kubańskich sił powietrznych, wyraźnie wcale niezniszczone przez przemalowane bombowce.

Desant mógłby się udać, gdyby wysłano wsparcie powietrzne, ale Kennedy, wytrącony z równowagi fiaskiem sztuczki ze zbiegłymi kubańskimi pilotami, nie wyraził na to zgody. Tak więc intruzi dalej tkwili na plaży, broniąc się coraz bardziej desperacko, z kończącą się amunicją.

Trzy dni po rozpoczęciu operacji, gdy stało się jasne, że bez radykalnej interwencji siły inwazyjne nigdy nie wydostaną się z plaży, Kennedy wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zgodził się na wysłanie wsparcia lotniczego. Ale w tym czasie kubańscy piloci czuli się już tak bardzo zawiedzeni przebiegiem misji, że nie chcieli wziąć w niej udziału. Stany

Zjednoczone porzuciły wszelkie pozory braku zaangażowania i ściągnęły z Alabamy członków Straży Narodowej, żeby obsadzić przemalowane w barwy kubańskie bombowce, które miały lecieć z eskortą nieprzemalowanych amerykańskich myśliwców. To mogłoby dać szansę desantowi na plaży, tyle że w ostatnim akcie wybitnej niekompetencji zapomniano, że pomiędzy Nikaraguą, gdzie stacjonowały bombowce, a Miami, gdzie czekały myśliwce, istnieje różnica czasu. W konsekwencji dwie grupy samolotów nawet się nie spotkały. Kilka z nich zostało zestrzelonych.

Koniec inwazji w Zatoce Świń był taki, że Stany Zjednoczone stały się pośmiewiskiem całego świata, Fidel Castro umocnił się we władzy jak nigdy wcześniej, a ponad tysiąc żołnierzy z sił inwazyjnych trafiło do niewoli; kilka lat później amerykański rząd zapłacił za ich uwolnienie okup w wysokości ponad pięćdziesięciu milionów dolarów.

Po stronie plusów: Kennedy wyciągnął wnioski z błędnego podejmowania decyzji – co być może ocaliło wszystkich na świecie, bo w następnym roku, podczas kubańskiego kryzysu rakietowego, przeważyły głosy rozsądku. I na szczęście Stany Zjednoczone nigdy więcej nie

pozwoliły sobie wpakować się w sytuację, w której gromadomyślenie doprowadziłoby do starannie przemyślanej inwazji opartej na kiepskim wywiadzie, bez jasnego planu czy strategii wyjścia.

No tak.

6 NAJBARDZIEJ BEZSENSOWNYCH WOJEN W DZIEJACH

Wojna o wiadro

W roku 1325 około dwóch tysięcy ludzi zginęło w wojnie między włoskimi państwami-miastami, Modeną i Bolonią: przyczyną wybuchu wojny była kradzież studziennego wiadra dokonana przez kilku modeńskich żołnierzy w Bolonii. Modena zwyciężyła i natychmiast ukradła inne wiadro.

Wojna angielsko-zanzibarska

Najkrótsza wojna w historii, trwająca mniej niż trzy kwadranse. Tron Zanzibaru objął sułtan, którego nie chcieli Brytyjczycy. Rozpoczęli ostrzał pałacu, w którym zabarykadował się sułtan. Uciekł on po 38 minutach, a Brytyjczycy przerwali ogień.

Wojna futbolowa

W 1969 roku długo tłumione napięcia między Salwadorem a Hondurasem przerodziły się w rzeczywistą wojnę – w znacznej mierze wywołaną używaniem przemocy podczas serii nerwowych eliminacji do mistrzostw świata (mecz wygrał Salwador; wojna skończyła się remisem).

Wojna o ucho Jenkinsa

Wojna między Wielką Brytanią a Hiszpanią trwała ponad dziesięć lat i pochłonęła dziesiątki tysięcy ofiar. Wybuchła, bo w 1731 roku hiszpańscy korsarze obcięli ucho kapitanowi marynarki wojennej. Stała się wstępem do wojny o sukcesję austriacką, w której to wojnie brały udział prawie wszystkie kraje Europy.

Rebelia nocnikowa

Robert II Krótkoudy, najstarszy syn Wilhelma Zdobywcy, wszczął bunt przeciwko ojcu, kiedy ten niedostatecznie ukarał jego dwóch

młodszych braci za to, że wylali mu na głowę zawartość nocnika.

Wojna o Złoty Stolec

Wojna między imperium brytyjskim a ludem Aszanti z Afryki Zachodniej wybuchła dlatego, że brytyjski gubernator rozzłościł się, gdy dano mu zwykłe krzesło, i zażądał przyniesienia Złotego Stolca – świętego tronu, na którym nikomu nie wolno było siadać. Brytyjczycy wygrali wojnę, ale gubernator nigdy nie usiadł na tym krześle.

7

Superzabawna impreza kolonialna

Przymus eksplorowania, ciągłego szukania nowych horyzontów, jest jedną z charakterystycznych cech rodzaju ludzkiego. To dlatego nasz gatunek i jego bliscy kuzyni wiele razy rozprzestrzeniali się po świecie w ciągu ewolucyjnego okamgnienia. I jest siłą napędową, która nadała kształt współczesnemu światu – będącemu głupim, chaotycznym i często szalenie niesprawiedliwym produktem tysiącleci migracji i handlu, kolonializmu i wojny.

Właśnie to pragnienie odkrywania sprawiło, że w roku 1492 Krzysztof Kolumb postanowił pożeglować na rozległe, puste, błękitne wody Atlantyku, żeby kilka miesięcy później jak ostatni idiota rozbić się na skałach.

Stało się to na rok przed początkiem tego, co jest powszechnie znane jako „epoka wielkich odkryć geograficznych”, chociaż o prawdziwym odkryciu można mówić tylko wtedy, gdy nie jest się jednym z ludzi zamieszkujących odkrywane miejsca. Trasy lądowe łączące Europę i Azję, przyjemne i łatwe, gdy imperium mongolskie

panowało nad większą częścią Eurazji (bez mierzenia sił na zamiary), zostały zablokowane wskutek epidemii czarnej śmierci, pokrywającej się z powstaniem Imperium Osmańskiego. Tak oto Europa, z nowymi wynalazkami, wiedzą i głodem bogactw, skierowała oczy na morze. I to, co zaczęło się jako szukanie nowych dróg handlowych z Azją, Afryką i nowo odkrytą Ameryką, szybko przemieniło się w misje okupacji i podboju.

Chyba każdy wie, że Kolumb odkrył (no, „odkrył”) Amerykę przypadkowo, wpadając na Karaiby niejako przez pomyłkę, gdy szukał skrótu do Indii, żeby nie opływać południowego przylądka Afryki. Ale jest również mnóstwo błędnych wyobrażeń odnośnie do tego, na czym właściwie polegała ta jego pomyłka.

Wedle jednego powszechnie przyjętego przekonania, zasadniczo miał rację, ponieważ wierzył w heretycką teorię, że Ziemia jest okrągła, podczas gdy naiwni głupcy myśleli, że czeka go upadek z krawędzi świata. Z przykrością powiem, że to kompletna bzdura. W owym czasie prawie każda wykształcona osoba w Europie (i większość niewykształconych) doskonale zdawała sobie sprawę, że Ziemia jest kulą, i wiedziano o tym od bardzo dawna. Było to

wiedzą powszechną ponad dwieście lat przed podróżą Kolumba; teolog Tomasz z Akwinu uważał kulisty kształt Ziemi za oczywistość. Zważywszy, że do dziś uparta mniejszość wciąż wątpi w oficjalną wersję ilustrowaną przez globus, teoria płaskiej Ziemi może być dzisiaj równie popularna jak w piętnastym stuleciu. Grupa płaskoziemców planuje zorganizowanie w 2019 roku wycieczki dla społeczności płaskoziemców, co powinno być dla nich ekscytującą okazją, by sprawdzić swoją teorię. Brawo dla wszystkich!

A zatem nie, nie było różnicy zdań co do kulistości Ziemi. Sceptycyzm wobec przedsięwzięcia Kolumba wyrasta z zupełnie innego źródła. Problem polega na tym, że Krzysztof Kolumb kompletnie namieszał w jednostkach miary, więc jego obliczenia były z gruntu błędne.

Cały plan misji oparł na dwóch osobiście przeprowadzonych obliczeniach: wielkości Ziemi i wielkości Azji. W obu wypadkach sporo się pomylił. Przede wszystkim uznał, że Azja jest o wiele dłuższa niż w rzeczywistości (a jest całkiem długa) i że płynąc z korzystnym wiatrem, w końcu znajdzie Japonię kilka tysięcy mil dalej na wschód, niż ta faktycznie leży. Co

gorsza, oparł swoje rachuby obwodu Ziemi na pracy żyjącego w dziewiątym wieku perskiego astronoma Ahmada ibn Muhammada ibn Kathira al-Farghaniego. Nie był to dobry start, bo przecież istniały dokładniejsze obliczenia, poczynając od tych, które wykonał grecki matematyk Eratostenes z Cyreny całe tysiąc siedemset lat wcześniej. Ale nawet nie to było największym błędem Kolumba.

Największym błędem było założenie, że kiedy al-Farghani mówił o „mili", chodziło mu oczywiście o milę rzymską, która miała około 1478 metrów. W istocie Al-Farghaniemu chodziło o milę arabską, która ma około dwóch tysięcy metrów. Kiedy więc al-Farghani mówił, że coś leży ileś mil dalej, była to odległość znacznie większa niż ta, jaką przyjmował Kolumb.

Fani filmu *Oto Spinal Tap* będą dobrze wiedzieć, co zrobił Krzysztof. Pomieszał jedną jednostkę miary z zupełnie inną i wyszedł mu niedorzecznie mały model. Kolumb uważał, że świat jest o jedną czwartą mniejszy, niż jest w rzeczywistości. Łącząc to przekonanie z przeniesieniem Japonii o kilka tysięcy mil, stwierdził, że czeka go względnie krótka podróż, i na taką się przygotował. Wielu współczesnych usiłowało przemówić mu do rozumu: „Krzychu,

z wielkością Ziemi coś jest nie w porządku”, on jednak wierzył w swoje obliczenia. Można uznać, że miał sporo szczęścia, wpadając na Karaiby (nikt przecież nie brał pod uwagę możliwości, że cały dodatkowy kontynent może być dokładnie tam, gdzie nie ma Azji).

Warto chyba dodać, że błędne założenie dotyczące długości mili al-Farghaniego świadczy o europocentryzmie Kolumba. Ale bądźmy szczerzy: to drobiazg w porównaniu z tym, co zrobił później, ponieważ myślał zbyt europocentrycznie.

Kusi się zastanowić, jak inaczej mogłaby wyglądać historia świata, gdyby Kolumb był lepszy z rachunków i nigdy nie wyruszył w podróż. Odpowiedź: prawdopodobnie uczyniłoby to niewielką różnicę, z tym wyjątkiem, że może trochę więcej ludzi mówiłoby teraz po portugalsku. Portugalczycy w owym czasie byli najlepszymi żeglarzami i nawigatorami w Europie (ekspedycja Kolumba była finansowana przez Hiszpanię tylko dlatego, że Portugalczycy odmówili wsparcia, bo doskonale wiedzieli, że Kolumb schrzanił obliczenia) i w kolejnych latach wylądowali w różnych częściach obu Ameryk. Pedro Álvares Cabral dotarł do Brazylii w 1500 roku. Rok

później bracia Corte-Real dotarli albo do Labradoru albo do Nowej Fundlandii, gdzie na znak tego, co nastąpi, porwali pięćdziesięciu siedmiu krajowców i sprzedali ich jako niewolników.

Prawdziwą różnicę w historii relacji Stary Świat–Nowy Świat uczyniłoby to, gdyby każdy biały człowiek powściągnął naturalny impuls mordowania albo porywania pierwszych ludzi, jakich napotka. Całe pięć wieków przed Kolumbem wikingowie jako pierwsi Europejczycy założyli osadę w Ameryce, gdy Leif Eriksson wyruszył z wikińskiej kolonii na Grenlandii i natknął się na coś, co nazwał Winlandią, czyli „krajem winorośli” (przypuszczalnie była to dzisiejsza Nowa Fundlandia). W porównaniu z jałową i generalnie mało zabawną Grenlandią, lesista, zielona Winlandia musiała wydawać się rajem i wikingowie założyli tam kolonię handlową. Niestety, widoki na handel z rdzennymi mieszkańcami Winlandii (zapewne ludem Thule, inaczej Skrælingami, jak zwali ich wikingowie) zostały nieco osłabione przez to, co zaszło podczas spotkania jednych z drugimi.

Pierwsze w dziejach odnotowane spotkanie Europejczyków i Amerykanów wyglądało mniej

więcej tak: wikingowie znaleźli grupę dziesięciu krajowców śpiących pod odwróconymi do góry dnem kanu i ich wymordowali.

Litości, panowie.

Nic dziwnego, że później tubylcy nie rwali się do handlowania z wikingami i że dochodziło między nimi do starć – łącznie z bitwą, w której budzący lęk, uzbrojeni w miecze intruzi niemal zostali pokonani przez „kij z gałą na końcu” (prawdopodobnie nadmuchanym zwierzęcym pęcherzem), „który przeleciał nad głowami ludzi i upadł z piekielnym hałasem”. Wikingowie byli tak przerażeni tą nowością, że przegraliby bitwę, gdyby Freydís Eiríksdóttir, siostra Leifa, w odwecie nie pokazała Skrælingom biustu.

W rezultacie tej i innych mniej dziwnych bitew osada w Winlandii nigdy się nie rozwinęła. Grenlandzcy wikingowie porzucili ją po dziesięciu, dwudziestu latach. Co więcej, kolonia na Grenlandii – która powstała przede wszystkim dlatego, że Eryk Rudy został wypędzony z Islandii za morderstwa – stopniowo wygasała i wymarła po kilku stuleciach, gdy reszta wikingów w krajach nordyckich przestała się nią interesować.

Gdyby wypadki w Winlandii potoczyły się trochę inaczej, najlepiej bez morderstw, historia

może obrałaby inny kurs. Ustalona trasa między Ameryką a Europą, z całą wymianą wiedzy i umiejętności, mogłaby doprowadzić do bardziej łagodnych kontaktów między tymi dwiema populacjami. To z kolei mogłoby oznaczać zmniejszenie przewagi technicznej, która w szesnastym wieku pociągnęła za sobą kolonizację Ameryki przez Europejczyków (mogłoby również dać Indianom więcej czasu, by powoli wykształcili odporność na choroby Starego Świata).

Mogłoby być inaczej, gdyby Abubakari II, władca Imperium Mali z czternastego wieku, wrócił ze swojej podróży. Król jednego z największych i najbogatszych imperiów owych czasów, obejmującego dużą część Afryki Zachodniej, poświęcił tron, władzę i bogactwo dla zaspokojenia ciekawości, czy po drugiej stronie oceanu jest jakiś brzeg. W 1312 roku wypłynął z dzisiejszej Gambii, podobno z flotą złożoną z dwóch tysięcy statków – żadnego z nich więcej nie ujrzano. Niektórzy malijscy historycy twierdzą, że mógł rzeczywiście dotrzeć do brzegów Brazylii, ale jeśli tak, to nigdy stamtąd nie wrócił, co, bądźmy szczerzy, jest kluczowym elementem eksploracji nowych terenów.

A może nawet gdyby wrócił, nie byłoby inaczej, bo już tacy jesteśmy. Kiedy spojrzeć z odpowiednio szerokiej perspektywy, historia ludzkości w znacznej mierze sprowadza się do powstawania i upadania imperiów oraz wzajemnego zabijania się bez żadnych skrupułów. Tak jak w przypadku rolnictwa, przywódców i wojny – wszystkiego, co przyczyniło się do zainicjowania epoki kolonialnej – kolonizacja zwyciężyła niekoniecznie dlatego, że była najlepszym długofalowym planem dla ludzkości, ale dlatego, że kiedy ktoś postanawia coś zrobić, wielu innych musi wejść do gry, bo jak nie, to zostaną zmiażdżeni. To jak bójka w knajpie na starym Dzikim Zachodzie, z tą różnicą, że ludzie nie wstają, gdy pianino znowu zaczyna grać.

Kiedy w 1492 roku Kolumbowi przypadkiem udało się zatopić *Santa Marię* u brzegów Hispanioli, na wyspie mieszkały setki tysięcy Tainów. Nieco ponad dwadzieścia lat później, gdy kopalnie złota, niewolnictwo i choroby były już codziennością, zostało ich tylko trzydzieści dwa tysiące. Kolumb był kiepski z matematyki, jasne, ale pomyłka w obliczeniach zdecydowanie nie była jego największym błędem.

Nie potrzeba pracy historyków, żeby dokonać moralnego osądu przeszłości. Historycy próbują odkrywać, opisywać i umieszczać w kontekście; zrozumieć i wyjaśnić, jak wyglądało życie w dalekiej przeszłości, a także prześledzić splatające się wątki władzy i konfliktów, które położyły podwaliny pod dzisiejszy świat. Można to robić bez komentowania, czy coś było dobre, czy złe. Co więcej, biorąc pod uwagę przyprawiającą o ból głowy złożoność tego wszystkiego, osądzanie przeszłości rzadko bywa proste.

Na szczęście osądzanie przeszłości jest ścisłym celem tej książki, więc szybko coś wyjaśnijmy: kolonializm był zły. Naprawdę, ale to naprawdę zły.

Jak bardzo zły? Cóż, liczba ofiar europejskiego kolonializmu w samym dwudziestym wieku wynosi około pięćdziesięciu milionów, co stawia go na równi ze zbrodniami Hitlera, Stalina i Mao – i trzeba zaznaczyć, że w tym stuleciu imperia kolonialne chyliły się ku upadkowi. Szacuje się, że w ciągu pierwszych stu lat kolonizacji w obu Amerykach zmarło wskutek chorób, przemocy i pracy przymusowej dziewięćdziesiąt procent rdzennych mieszkańców – czyli znów liczba idzie w dziesiątki milionów. Nie można określić jej

dokładnie, ponieważ trudno ustalić, ilu ludzi żyło tam wcześniej; dosłownie nie wiemy, co straciliśmy.

Oczywiście samo żniwo śmierci, już straszne w swojej ogólnikowości, nie opowiada całej historii. Afrykański handel niewolnikami, wynalezienie obozów koncentracyjnych, niewolnictwo seksualne w cesarstwie japońskim, hiszpański system *encomienda* w obu Amerykach (konkwistadorzy dostawali ziemię wraz z mieszkającymi na niej Indianami, którzy musieli dla nich pracować) – lista koszmarów jest długa i niemal nie do zniesienia ponura. I można do niej dodać mnóstwo ludów zmiecionych z powierzchni ziemi, zniszczone dziedzictwo kulturowe i ogromny bezprawny transfer bogactwa z jednej części świata do drugiej, co wciąż jest widoczne w perspektywach rozwoju i komforcie życia, zależnych od tego, gdzie kto się urodził.

Jak powiedziałem, kolonializm był zły. Przepraszam, ale ta część książki nie jest zbyt zabawna.

Pewnie nie trzeba by o tym wszystkim mówić, gdyby nie to, że obecnie jesteśmy w samym środku dyskusji, czy przypadkiem tak naprawdę KOLONIALIZM NIE BYŁ DOBRY. Argument,

krótko mówiąc, jest taki, że korzyści kolonializmu dla kolonizowanych i ich potomków – modernizacja gospodarki, budowa infrastruktury, dopływ wiedzy naukowej i medycznej, wprowadzenie rządów prawa – przeważają nad godnymi ubolewania błędami, jakie popełnił biały człowiek. Ale jakkolwiek by to upiększać, taka argumentacja wciąż sprowadza się do twierdzenia, że kolonizowane ludy były zasadniczo niecywilizowane, niezdolne do samodzielnego rządzenia, odporne na postęp i niewystarczająco rozwinięte, żeby właściwie wykorzystywać swoje zasoby naturalne. Po prostu siedzieli na złocie, biedni idioci, nie mając pojęcia, co z nim zrobić.

Na początek, takie osądy opierają się bardziej na mitach o poziomie społeczeństw przedkolonialnych niż na faktach i podnoszą wyższość techniki wojskowej kilku krajów, z historycznego punktu widzenia tymczasową i mocno względną, do rangi swego rodzaju niezmiennego prawa moralnego, stanowiącego, komu wolno rządzić. Co więcej, takie sądy polegają na przyjęciu milczącego założenia, że gdyby nie kolonizacja, w całej reszcie świata przez pięć minionych stuleci panowałby zastój, albo że poza wtargnięciem do jakiegoś kraju

i uznaniem go za własny nie istniał żaden inny sposób na wymianę wiedzy naukowej czy technicznej. Z tego wynika, że bez całej tej dobroczynnej kolonizacji mieszkańcy owych krajów wciąż tkwiliby gdzieś w siedemnastym wieku. Wydaje się to mało prawdopodobne, szczególnie biorąc pod uwagę ponadnarodową wymianę idei, która doprowadziła do postępu technicznego Europy, ale oczywiście niepodobna udowodnić prawdziwości jednej czy drugiej tezy, ponieważ na świecie jest za mało krajów, które nie były skolonizowane albo nie kolonizowały. Jednym z nielicznych państw, które uniknęły dobrodziejstw kolonializmu, jest Tajlandia. Właśnie ją wygooglowałem i okazuje się, że naprawdę mają tam elektryczność, więc przypuszczam, że argument o zastoju może być gówno warty.

Ale w końcu jest to mówienie o dwóch różnych sprawach, bo przecież retrospektywna analiza zysków i strat po kilkuset latach niezupełnie ma związek z ludzką umiejętnością odróżniania dobra od zła. Wygląda na próbę uzasadnienia tego, w co chce się wierzyć, i w konsekwencji rozmowa o kolonializmie często prowadzi do wzajemnego przekrzykiwania się – „Przecież pociągi!” i „Tak,

ale również masakra w Amritsarze!” – aż wszyscy tracą chęć do życia (i żeby było jasne: nie, pociągi nie są moralną przeciwwagą masakr, a mówię to jako ktoś, kto naprawdę lubi pociągi).

Oczywiście nie idzie za tym stwierdzenie, że kolonializm jest odpowiedzialny za całe zło na tym świecie, bo nie jest, ani że przed kolonizacją społeczeństwa były szczęśliwymi oazami pokoju i wzajemnego szanowania praw i obyczajów, gdzie wszyscy żyli w harmonii z naturą, bo nie były. Mam nadzieję, że na tym etapie lektury już jest oczywiste, że głupota i okrucieństwo występowały dość powszechnie w historii całego świata. Po prostu myśląc o przeszłości, powinniśmy brać pod uwagę rzeczywiste wydarzenia, a nie jakieś nostalgiczne opowiastki o wspaniałościach imperiów.

Weźmy tylko jeden przykład: koncepcja, że kolonializm wprowadził światłe zarządzanie i sakramentalne rządy prawa w krajach kolonialnych, niezupełnie pokrywa się z historią licznych traktatów zawieranych przez kolonialne potęgi z autochtonicznymi ludami – historią, która nie do końca mówi o „szacunku dla rządów prawa”. Coś takiego byłoby zaskoczeniem dla, powiedzmy, Indian północnoamerykańskich, którzy podpisali setki traktatów z rządami

brytyjskimi, a później amerykańskimi, jedynie po to, żeby zobaczyć, jak są zrywane i jak biali zabierają ich ziemie. Byłoby zaskoczeniem dla Maorysów, którzy podpisali traktat Waitangi, gdzie szereg błędów translatorskich w angielskiej i maoryskiej wersji doprowadził do wygodnej dwuznacznej interpretacji tego, co właściwie zostało podpisane. Byłoby zaskoczeniem dla członków ludu Xhosa w południowoafrykańskiej brytyjskiej kolonii Kaffraria (nazwa terytorium wywodzi się z rasistowskiego określenia czarnoskórych ludzi), którzy w 1847 roku mieli okazję patrzeć, jak nowo mianowany gubernator, sir Harry Smith, ze śmiechem drze traktat pokojowy, po czym zmusza ich przywódców, żeby kolejno podchodzili i całowali jego buty.

Nawiasem mówiąc, to nie jest metafora. Rzeczywiście tak było. Warto zauważyć, że brytyjska historia generalnie pamięta sir Harry'ego Smitha jako szarmanckiego i heroicznego oficera, który został unieśmiertelniony w popularnej powieści romantycznej opisującej jego małżeństwo z czternastolatką [sic!].

To wszystko znów prowadzi nas do jednego z tematów tej książki: naszej głęboko zakorzenionej, uporczywej zdolności do

karmienia się opowieściami i iluzjami dotyczącymi tego, co naprawdę robimy. Utrzymanie imperium wymaga aktywnych i długotrwałych wysiłków, by mitologizować teraźniejszość i wybiórczo pamiętać przeszłość. Taki dysonans istniał od samego początku: Kolumb wierzył, że realizuje dzieło boże, szerząc wiarę chrześcijańską, i jednocześnie rozważał możliwość ujarzmienia i zniewolenia Tainów. Również dlatego Brytyjczycy, gdy pod koniec epoki imperiów kolonialnych opuszczali Afrykę, zniszczyli dziesiątki tysięcy dokumentów, paląc je i masowo wyrzucając do morza, żeby wymazać historię i zinstytucjonalizować zbiorową amnestię (w Ugandzie miało to trafną nazwę: operacja Spuścizna).

I nigdzie mitologizowanie rzeczywistości nie jest wyraźniejsze niż w głębokiej, ponurej ironii chyba najbardziej przerażającego aktu epoki kolonialnej – kiedy belgijski król Leopold II został właścicielem liczącego ponad dwa i pół miliona kilometrów kwadratowych terytorium w dorzeczu rzeki Kongo i obrócił je w jeden gigantyczny obóz koncentracyjny, w którym w ciągu dwudziestu trzech lat zginęło ponad dziesięć milionów ludzi. Ironia polega na tym, że oficjalnie dokonało się to w imię dobroczynności.

W 1885 roku to terytorium zostało przyznane założonej przez Leopolda organizacji charytatywnej o nazwie Międzynarodowe Towarzystwo Afrykańskie. Nastąpiło to podczas konferencji berlińskiej, gdzie kraje europejskie podzieliły między siebie Afrykę, zapoczątkowując „wyścig o Afrykę", który posunął kolonizację kontynentu do nowych skrajności. Rzekoma filantropijna misja Międzynarodowego Towarzystwa Afrykańskiego miała nieść cywilizację ludom Konga. W rzeczywistości cały kraj został przeobrażony w ogromną plantację kauczuku, gdzie niedostarczenie wyznaczonej ilości surowca było karane śmiercią albo obcinaniem dłoni, stóp czy nosów. Ponieważ Belgowie chcieli mieć pewność, że drogie kule nie są marnowane, żołnierze musieli przynosić odcięte ręce na dowód, ilu ludzi zabili. Jedna kula, jedna ręka. Tak oto kosze rąk odcinanych martwym czy żywym, bez różnicy, stały się swego rodzaju walutą.

Naturalnie Leopold nazwał swój kraj Wolnym Państwem Kongo.

No tak. Kolonializm był zły.

To książka o porażkach i trzeba zaznaczyć, że kolonializm, chociaż zdecydowanie zły, w zasadzie nie był porażką. Jeśli jakimś cudem zignoruje się etykę i spojrzy tylko na wynik końcowy, widać, że w dużej mierze odniósł oszałamiający sukces i zapewnił królewskie życie wielu stojącym za nim ludziom (szczególnie tym, którzy już byli królami).

Szeroka perspektywa ukazuje, że owszem, mocarstwa kolonialne wzbogacały się przez brutalne okradanie reszty świata, ale pomija to, ile prób podejmowanych w wyścigu o kolonie było katastrofalnie nieudolnych. Całe to mitologizowanie heroicznych przygód, wraz z pokusą rzekomo łatwych pieniędzy, sprawiło, że na projekt „kolonizacja” rzuciło się mnóstwo ludzi, którzy, mówiąc wprost, byli totalnie popieprzonymi idiotami.

Epoka wielkich odkryć była do potęgi n-tej przesiąknięta efektem Dunninga-Krugera. Kierowanie ekspedycjami albo koloniami powierzano niekompetentnym, niedoświadczonym i często niezrównoważonym ludziom, tylko dlatego, że byli ogromnie pewni siebie i wydawali się odpowiednimi facetami.

Weźmy na przykład Johna Ledyarda, któremu Brytyjczycy zlecili poprowadzenie ekspedycji

mającej na celu znalezienie wielce poszukiwanego źródła rzeki Niger, chociaż jego jedyne doświadczenie z Afryką polegało na tym, że kiedyś miał krótki przystanek żeglarski na jej południowym przylądku. Urodzony w brytyjskiej kolonii Connecticut, cieszył się reputacją wielkiego podróżnika dzięki temu, że uczestniczył w wyprawie kapitana Cooka i napisał popularną książkę o swojej podróży. Jego samodzielne wyprawy pozostawiały wiele do życzenia.

Jednym z niewątpliwych talentów Ledyarda było zawieranie znajomości z ważnymi ludźmi i nakłanianie ich, by dawali mu pieniądze. Jego pierwszy pomysł polegał na stworzeniu kompanii handlującej futrami, która jakoś nie chciała się zmaterializować. Podczas pobytu w Paryżu, gdzie szukał sponsorów, poznał wielu luminarzy – łącznie z Thomasem Jeffersonem i markizem de La Fayette, a także kilkoma innymi, których nie ma w musicalu *Hamilton* – i zyskał ich poparcie dla zupełnie innego przedsięwzięcia. Był to śmiały plan podróży przez Rosję i Cieśninę Beringa na Alaskę, a stamtąd na południe, wzdłuż całego zachodniego wybrzeża Ameryki. Jefferson, pomysłodawca, opisał Ledyarda jako „człowieka

geniuszu (…), nieustraszonej odwagi i przedsiębiorczości”.

W drodze do Sankt Petersburga Ledyard zgubił buty i na miejscu musiał pożyczyć trochę pieniędzy, ale jakoś zdołał dotrzeć do Irkucka. Tam ekspedycja się zakończyła, bo został aresztowany jako szpieg.

Kiedy w 1788 roku bez grosza przy duszy wrócił do Londynu, nadarzyła się okazja pokierowania wyprawą na tereny Czarnej Afryki. Mimo że nie znał arabskiego i w najlepszym wypadku mógł się wykazać miernymi osiągnięciami, zrobił wielkie wrażenie na sekretarzu Towarzystwa Afrykańskiego, które organizowało ekspedycję. Sekretarz, niejaki pan Beaufoy, z zapartym tchem relacjonuje, że na pierwszym spotkaniu z Ledyardem „uderzyła mnie męskość jego osoby, szerokość torsu, szczerość oblicza i niepokój oczu. (…) Zapytałem go, kiedy wyrusza. «Jutro rano», brzmiała jego odpowiedź”. Jeden wieczór może wydać ci się podejrzanie krótki na przygotowanie do wyprawy w niezbadane rejony kontynentu, który widziało się tylko z pokładu statku, ale przecież twój tors jest prawdopodobnie mniej męski niż tors Johna Ledyarda.

W końcu Ledyard dotarł nie dalej niż do Kairu, gdzie zapadł na jakąś chorobę i próbował sam się leczyć, zażywając kwas siarkowy. Jak było do przewidzenia, kuracja mu nie pomogła i zmarł w styczniu 1789 roku. Jedynymi godnymi uwagi owocami jego afrykańskiej przygody było kilka faktycznie przydatnych opisów tras karawan i listy do Thomasa Jeffersona, w których nazywał Egipcjan głupimi i obsmarował Nil, bo uznał, że daleko mu do rzeki Connecticut.

Albo weźmy Roberta O'Harę Burke'a, obdarzonego wybuchowym temperamentem i imponującą brodą irlandzkiego policjanta, który w roku 1860 objął dowodzenie nad śmiałym przedsięwzięciem, jakim było przebycie Australii od południowego do północnego wybrzeża. Uczestnicy wyprawy wyruszyli z Melbourne, żegnani przez wiwatujące tłumy, i posuwali się niesłychanie powoli, głównie dlatego, że mieli ze sobą dwadzieścia ton ekwipunku, który zawierał takie niezbędne rzeczy, jak komplet dębowych krzeseł i stół z cedrowym blatem, chiński gong i dwanaście szczotek przeciwłupieżowych.

Z uwagi na temperament i kompletny brak umiejętności organizacyjnych Burke'a, skład ekspedycji się zmieniał, wielu uczestników zostało wyrzuconych albo odeszło z własnej woli.

Kiedy żenująco wolne tempo w końcu przekonało go, by porzucić część ekwipunku, jego wybór padł na większość amunicji i broni, a także zapas limonek, które chroniły przed szkorbutem. Wreszcie, po przebyciu około trzech tysięcy kilometrów, Burke zabrał ze sobą tylko trzech ludzi i kilka wielbłądów, zostawiając całą resztę, i ledwie żywy dotarł do miejsca odległego o dwadzieścia kilometrów od północnego wybrzeża, gdzie zatrzymały go porośnięte namorzynami nieprzebyte bagna. Zmarł w drodze powrotnej, krótko po tym, jak strzelając z karabinu, odwdzięczył się za życzliwość kilku Aborygenom, którzy zaoferowali wycieńczonym podróżnikom żywność i pomoc.

Nawet wśród tych odkrywców, którzy formalnie rzecz biorąc, odnieśli sukces, nie brakowało nieudaczników. Jak René-Robert Cavelier, Francuz, który w imieniu ojczyzny objął w posiadanie znaczną część amerykańskiego terytorium nad Zatoką Meksykańską – to, co później zmieniło się w stan Luizjana. Opisany przez jednego z francuskich dygnitarzy jako „zdolniejszy niż ktokolwiek inny, kogo znam”, wyruszał na pierwsze wyprawy w przekonaniu, że znajdzie drogę do Chin przez Ohio. Był również aroganckim skurczybykiem –

niefortunna cecha charakteru u odkrywcy – z talentem do irytowania większości ludzi, z którymi podróżował. Jego ostatnia ekspedycja, w roku 1687, była próbą najechania na Meksyk i odebrania go Hiszpanom, z armią złożoną tylko z dwustu Francuzów. Po trwających przez całą drogę niesnaskach, stracie kilku statków i wylądowaniu w odległości ośmiuset kilometrów od zamierzonego celu, Cavelier został zamordowany gdzieś w Teksasie przez swoich ludzi.

Ale chyba nic lepiej nie ilustruje pychy i podatności na iluzje epoki kolonialnej niż historia kolonii, której nigdy nie było – historia nieudanej próby pewnego narodu, który chciał dołączyć do mocarstw kolonialnych, a zamiast tego zbiedniał i został upokorzony.

Oto nieszczęśliwa historia imperium szkockiego.

Człowiek, który pogrążył Szkocję

William Paterson, jak wielu ludzi, których życie trafiło do kolumny „straty” w bilansie historii, miał wizję.

Nie dość, że miał wizję, miał również talent i upór, które umożliwiły mu przekonanie do niej innych. Paterson był z zawodu bankierem i finansistą, ale z serca akwizytorem: człowiekiem, który w jednym pakiecie łączył dyscyplinę aktuariusza, duszę poety i zagorzałą wiarę kaznodziei. Szkoda, że jego wizja pociągnęła za sobą tysiące ofiar i finansową ruinę jego ojczyzny – i, co gorsza, sprawiła, że Szkocja zdała się na łaskę i niełaskę południowego sąsiada. Wielka Brytania, jaką dzisiaj znamy, mogłaby nie istnieć bez katastrofalnych pomysłów Patersona.

To opowieść o narodzie, który podporządkował wszystko wielkim, ale niejasnym ambicjom, opierając się na ideologicznych deklaracjach zwolenników tej wizji, nie słuchając ostrzeżeń znawców, uparcie nie przyjmując do wiadomości faktów i odmawiając zmiany kursu nawet wtedy, gdy świat wysyłał jasne sygnały, że może to być błąd. (Jest to również historia o tym, że Anglicy są kutasami, choć chyba nie trzeba tego przypominać).

Wizja Patersona dotyczyła ni mniej, ni więcej, tylko utworzenia imperium szkockiego, które miało się stać bijącym sercem światowego

handlu. I Paterson wiedział, gdzie dokładnie ma być zlokalizowany zalążek tej przyszłej potęgi: w zielonym raju po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego, na Przesmyku Panamskim łączącym obie Ameryki. Miejsce nosiło nazwę Darien.

W latach 1698–1699 ze Szkocji wyruszyło około trzech tysięcy kolonistów – wspartych przez falę nacjonalistycznego sentymentu i jakąś połowę dostępnych w kraju pieniędzy – których oszołomiła nadzieja na znalezienie raju Patersona i stworzenie imperium. Jeszcze stulecie nie dobiegło końca, gdy osadnicy stwierdzili, że Darien daleko do raju, większość z nich nie żyła, a pieniądze przeznaczone dla kolonii równie dobrze mogłyby zostać wrzucone do Atlantyku.

Oddając sprawiedliwość Patersonowi, nie wszystkie jego wizje były katastrofalne. Jedna z nich istnieje do dziś – w roku 1691 zaproponował stworzenie Banku Anglii, a w 1694 został jego współzałożycielem. (I dla jasności: rok po założeniu Banku Anglii przez Szkota Anglik założył Bank Szkocji). Paterson wcześniej niż inni zrozumiał, że podwaliny handlu globalnego ukształtują świat, w którym dzisiaj żyjemy. Patrzył optymistycznie („Handel będzie napędzać

handel – napisał – i pieniądz będzie rodzić pieniądz do końca świata”), ale też był wyjątkowo uparty. Udało mu się wkurzyć kolegów dyrektorów Banku Anglii do tego stopnia, że zmusili go do ustąpienia z zarządu niespełna rok po powstaniu tej instytucji.

I tak oto Paterson wrócił do pomysłu, który przez wiele lat był dla niego czymś w rodzaju obsesji – do założenia faktorii w Darien, na wschodnim wybrzeżu Przesmyku Panamskiego, w najwęższym miejscu wąskiej wstążki lądu tworzącego pomost między obiema Amerykami. Już ponad dwieście lat przed budową słynnego kanału było jasne, że właśnie w Panamie najłatwiej jest odbyć podróż od Atlantyku nad Pacyfik i na odwrót. Nie był to łatwy szlak, bo ukształtowanie terenu zdecydowanie nie sprzyjało podróży, ale wciąż szybszy i bezpieczniejszy niż opływanie Ameryki Południowej wokół przylądka Horn albo przez Cieśninę Magellana. Dzięki połączeniu dwóch oceanów, jak z melodramatyczną emfazą napisał Paterson, Darien stanie się „drzwiami mórz, kluczem do całego świata”.

Rozpoczynała się dzika europejska ekspansja kolonialna i Szkocja chciała do niej dołączyć. W latach dziewięćdziesiątych siedemnastego

wieku Hiszpanie i Portugalczycy mieli za sobą dwieście lat robienia grubej forsy na swoich amerykańskich koloniach; nieco później do gry z wielkim powodzeniem weszli Holendrzy i Anglicy. Ówczesny wyścig o kolonie obejmował Azję, Afrykę i obie Ameryki, a generalna strategia „pojawiania się z działami i zabierania im wszystkiego" wciąż obiecywała niewyobrażalne bogactwa i nic nie wskazywało na to, że przestanie się sprawdzać.

Epoka imperiów kolonialnych była również epoką rewolucji finansowej: w rezultacie projekty kolonialne realizowały nie tylko państwa, ale również wspierane przez nie spółki akcyjne, co zacierało granice pomiędzy handlem a geopolityką. Mowa o takich niesławnych molochach jak Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska i Holenderska Kompania Wschodnioindyjska – i właśnie ten model Paterson pragnął skopiować w swoim projekcie Darien. Te kompanie o globalnym zasięgu dysponowały niewyobrażalnym majątkiem i własnymi armiami, dystansując wiele niepodległych krajów. Co więcej, często funkcjonowały jak udzielne państwa i miały niesłychany wpływ na politykę w swoich krajach (zupełnie inaczej niż dzisiaj, ha!).

W dodatku lata dziewięćdziesiąte siedemnastego wieku były dla Szkocji okresem niepewności i wątpliwości. Odkąd polujący na czarownice zleceniodawca tłumaczenia Biblii, Jakub VI, ruszył na południe i w 1603 roku zjednoczył korony Szkocji, Anglii i Irlandii, Szkoci odczuwali niepokój. Weszli w skład unii, tak, ale wciąż byli narodem politycznie niezawisłym: mieli swój parlament, stanowili swoje prawa, zachowali własną walutę. Jednak w części szkockiego społeczeństwa narastało podejrzenie, że fatalnie wychodzą na tym interesie. Wielu było przekonanych (nie bezzasadnie), że szyta grubymi nićmi unia z koroną działa tylko w interesie Anglików, że Szkocja zawsze będzie biedniejszą kuzynką i dyktaty Londynu zawsze będą faworyzować kapitał angielski ze szkodą dla Edynburga.

Uczucie niezadowolenia pogłębiało to, że z wielu stron aktywnie nawoływano do zacieśnienia unii z Anglią. Już i tak gorącą atmosferę jeszcze bardziej podgrzał finansowy zamęt w latach dziewięćdziesiątych – kryzys monetarny w Anglii, król próbujący finansować zagraniczne wojny, siedem chudych lat recesji, niskie plony i niedostatek zapasów prowadzący do powszechnego głodu i zubożenia ludności.

Kryzys gospodarczy, zamiast zniechęcić Szkotów do podejmowania ryzyka, okazał się podatnym gruntem dla każdego, kto obiecywał zmianę status quo. W tych okolicznościach plan Patersona został podchwycony z patriotycznym ferworem jako sposób na umocnienie niezależności, wyrwanie się z więzów unii i przejęcie kontroli nad przyszłością własnego narodu.

Paterson zasadniczo nie traktował swego pomysłu w kategoriach dumy narodowej – tak naprawdę szukał inwestorów w innych krajach, zanim zwrócił się do swoich rodaków. Nawet kiedy w 1695 roku parlament szkocki formalnie zaaprobował projekt jako przedsięwzięcie szkockie (pod nazwą Szkocka Kompania Handlu z Afryką i Indiami, z ustawą gwarantującą niedorzecznie szeroki, prawie nieograniczony zakres uprawnień), Paterson wciąż zabiegał o fundusze z Londynu. I to tutaj wszystko zaczęło iść źle – i tutaj założyciele kompanii zaczęli ignorować znaki ostrzegawcze.

Jednak na samym początku było całkiem nieźle, a nawet bardzo dobrze. Zbyt dobrze, jak się okazało. Reputacja i umiejętności marketingowe Patersona, w połączeniu z bezgranicznym entuzjazmem dla spółek

akcyjnych o globalnych ambicjach, sprawiły, że Szkocka Kompania nie miała kłopotów ze znalezieniem sponsorów, którzy zadeklarowali wsparcie finansowe w wysokości około trzystu tysięcy funtów – co na owe czasy było olbrzymią sumą. Pechowo dla Szkotów, zainteresowanie projektem było tak wielkie, że nie mogło nie przyciągnąć uwagi Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Delikatnie rzecz ujmując, Kompania Wschodnioindyjska nie wpadła w euforię na wiadomość o narodzinach konkurencji. Podobnie jak cała reszta londyńskiego środowiska kupieckiego, udziałowcy kompanii byli wystraszeni jak wszyscy diabli finansowymi kłopotami w ostatnich dziesięciu latach, a tego roku odnotowali ogromne straty. W tym czasie Szkocka Kompania nie wskazała Panamy jako swojego celu i (w całkowicie złudnej nadziei utrzymania planu w ścisłej tajemnicy) nawet nie wspomniała publicznie o pomyśle ekspedycji do Ameryki. Zamiast tego, jak sugerowała pełna nazwa, miała się skupić na Afryce albo Indiach Wschodnich. Przewidywalna reakcja Kompanii Wschodnioindyjskiej brzmiała, brutalnie parafrazując: „Po twoim, kurwa, trupie”.

I tak oto kompania, której majątek i potęga były nierozerwalnie związane z powodzeniem angielskiego projektu kolonialnego, energicznie wkroczyła do akcji. Była to dla Szkockiej Kompanii pierwsza lekcja brutalnej polityki realnej dotyczącej handlu na skalę globalną: oznajmienie światu, że chcesz się włączyć do handlu międzynarodowego, i to na własnych warunkach, wcale nie musi oznaczać, że reszta świata po prostu się na to zgodzi.

Angielski parlament był oburzony decyzją szkockiego, który strzelił sobie w stopę, oficjalnie aprobując mrzonkę Szkockiej Kompanii o wolnym handlu, z całkowitym zwolnieniem z opłat celnych, taryf importowych i podatków na dwadzieścia jeden lat. Członkowie angielskiego parlamentu chcieli wiedzieć, jak to wpłynie na relacje celne i handlowe pomiędzy Anglią a Szkocją, i dziwili się, jak szkocki parlament mógł w ogóle dopuścić do takich ustępstw. Ostrzegli króla Wilhelma, że wobec braku szczelnej granicy pomiędzy oboma krajami „rzeczone towary będą ukradkiem sprowadzane przez Szkotów do Anglii, z wielkim uszczerbkiem dla cła Waszej Wysokości”.

Angielski parlament przeprowadził dochodzenie, polecił sporządzić raporty

i zagroził postawieniem w stan oskarżenia każdego, kto się zaangażuje w interesy Szkockiej Kompanii. Król Wilhelm stanął po stronie Anglików (co nie jest dla nikogo wielką niespodzianką) i dał do zrozumienia, że jest po królewsku wkurzony. W tym momencie wszystkie obietnice inwestorów z Londynu w tajemniczy sposób rozwiały się jak dym.

To samo stało się, gdy Szkocka Kompania próbowała zebrać fundusze za granicą, w stolicach handlowych: Amsterdamie i Hamburgu. Holenderska Kompania Wschodnioindyjska okazała zainteresowanie nie większe niż jej angielska odpowiedniczka, a starania Patersona i jego kolegów – dodatkowo podkopywane przez pewnego przebiegłego angielskiego dyplomatę, inicjatora szeptanej kampanii przeciwko przedsięwzięciu – sprowadzały się do spotkań przy kawie, podczas których podpytywano ich o plany, ale nie potrząsano kiesą.

Ale jeśli angielskie wysiłki, by zdruzgotać szkockie marzenia, zdziałały cuda w kwestii finansowania z zewnątrz, w Szkocji odniosły całkowicie przeciwny skutek. Napędzani zasadnym poczuciem niesprawiedliwego traktowania, Szkoci powitali swoją kompanię nie

tylko jako przedsięwzięcie, na którym można zarobić, ale też jako wyraz tożsamości narodowej. Obmyślając projekt Darien, Paterson nie kierował się patriotyzmem – interesowało go wyłącznie zastosowanie własnych teorii o handlu w praktyce – ale jako urodzony akwizytor wiedział, że należy wykorzystać tę falę patriotycznego ferworu i nacjonalistycznej urazy.

Kiedy dwudziestego szóstego lutego 1696 roku w Edynburgu otworzono księgę subskrypcyjną Szkockiej Kompanii, ściągnęły tłumy. Szkoci dosłownie pompowali pieniądze w projekt. Szkocja w owym czasie nie była zamożnym krajem, ale nawet w ciągu tych siedmiu chudych lat też nie do końca zbiedniała. Jak większa część Europy, miała rozwijającą się w szybkim tempie klasę średnią i to właśnie z niej wywodzili się najwięksi entuzjaści planu – podczas gdy w innych kompaniach, takich jak Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska, inwestorami była przede wszystkim szlachta i zamożni kupcy. Według historyka i pisarza Douglasa Watta, który przeanalizował dokumenty Szkockiej Kompanii w swojej książce *The Price of Scotland*, najliczniejszą grupę sponsorów tworzyli drobni właściciele ziemscy nienależący do stanu

szlacheckiego. Ale na tym nie koniec. Kompanię wspierali przedstawiciele całego społeczeństwa – od tych utytułowanych, przez prawników, lekarzy, krawców, nauczycieli, marynarzy, żołnierzy, zegarmistrzów, do co najmniej jednego mydlarza, a nawet kilku bogatszych służących. Entuzjazm był zaraźliwy. Wszyscy mówili o bajecznych bogactwach, jakie czekają w koloniach; pisano piosenki i wiersze sławiące kompanię i zmawiano modlitwy za jej pomyślność.

Trudno o precyzję, zważywszy na kaprysy historii i fakt, że w kraju były w obiegu dwie waluty, ale Watt ocenia, że do szkatuły kompanii wpłacono od jednej szóstej do jednej drugiej wszystkich pieniędzy w Szkocji. Gdyby wziąć pod uwagę pełną deklarowaną sumę (jako że trzeba było wpłacić tylko zaliczkę), możliwe, że obiecane fundusze tak naprawdę przekroczyłyby całkowitą wartość monet w kraju.

To, dla jasności, nie jest niczym dobrym.

Paterson wiedział, jak można nakręcać manie spekulacyjne, i oczywiście wykorzystał tę wiedzę. Używał terminów, które brzmią dziwnie, podobnie do naszego współczesnego określenia, że coś „rozchodzi się jak wirus”. W liście z roku 1695 napisał, że „jeśli coś nie pójdzie na

pierwszej fali gorączki, zbieranie funduszy udaje się rzadko albo wcale, bo rzesze powszechnie kierują się bardziej przykładem niż rozumem". Jednym z kluczowych czynników powodzenia akcji mogło być to, że księga subskrybentów była ogólnie dostępna i z rozmysłem została opublikowana przez kompanię, żeby wszyscy mogli zobaczyć, kim są inwestorzy. Paterson celowo zwrócił się do znaczących postaci publicznych („influencerów", jeśli wolisz), w nadziei że staną się dla innych przykładem, który pokieruje nimi znacznie skuteczniej niż rozum. Jak swego rodzaju siedemnastowieczna strona Kickstarter czy GoFundMe, ten zabieg przemienił wspieranie kompanii z osobistego wyboru w publiczną deklarację lojalności – i sprawiał, że ci niewspierający rzucali się w oczy przez swoją nieobecność.

Naturalnie to wszystko doprowadziło do samonapędzającej się spirali presji społecznej i stworzyło atmosferę, w której głosy sprzeciwu albo sceptycyzmu były agresywnie zagłuszane. W roku 1696 John Holland (Anglik, który założył Bank Szkocji) ze smutkiem napisał, że kiedy spróbował skrytykować projekt, został oskarżony o szpiegowanie na rzecz Kompanii Wschodnioindyjskiej. „W narodzie panuje taki

entuzjazm dla Kompanii Handlu z Indiami i Afryką – napisał – że wielu jest do mnie uprzedzonych, a ponieważ nie znajdują odpowiedzi na to, co mam przeciwko ich planowi, powtarzają jeden drugiemu, że nie wolno wierzyć w to, co mówi pan Holland, bo jest Anglikiem (…). Swobodne wyrażanie myśli w tej sprawie staje się dla człowieka niebezpieczne, ludzie boją się wygłaszać swoje opinie".

Oburzenie angielskimi działaniami, wzrost patriotycznej wiary w siebie, wzniosłe obietnice i frapująca wizja, przemiana chęci poparcia w obowiązek i dobra staroświecka pokusa zgarnięcia szybkiej forsy – wszystko to stworzyło najbardziej podatny grunt dla niekontrolowanej manii. I tak oto czternastego lipca 1698 roku z Leigh wyruszyło, żegnane przez wiwatujące tłumy, pięć statków z Williamem Patersonem i tysiącem dwustoma pełnymi nadziei osobami, zmierzając do leżącej w Ameryce Środkowej zatoki Darien, gdzie Paterson nigdy nie był.

Aha, tak, czy o tym nie wspomnieliśmy? WILLIAM PATERSON NIGDY NIE BYŁ W DARIEN.

Do dnia dzisiejszego nie wiadomo, dlaczego dostał takiej obsesji właśnie na punkcie Darien jako miejsca swojego wielkiego eksperymentu handlowego. Ponieważ był kupcem, niewątpliwie

spędził dużo czasu na Karaibach, ale w jego biografii i w jego publicznych pismach nie ma żadnych dowodów, żeby choć zbliżył się do Przesmyku Panamskiego. Jak się zdaje, znał go tylko z opowieści, najprawdopodobniej zasłyszanych od piratów. (Wszystko działo się w okresie tak zwanego złotego wieku piractwa, kiedy prawdziwi piraci z Karaibów, bez komputerowych efektów specjalnych, robili swoje albo na własną rękę, albo często z cichym poparciem rządów, którym zależało na nękaniu kolonialnych rywali).

Nie jest również całkiem jasne, jak Paterson zdołał przekonać kolegów dyrektorów Szkockiej Kompanii do wizji Darien jako ośrodka szkockiego imperium kolonialnego, skoro w zasadzie opierał się tylko na pogłoskach. Z pewnością mieli mnóstwo okazji, żeby zmienić kurs – w roku 1697, rok przed wyruszeniem floty w drogę, rzeczywiście byli bliscy rezygnacji z projektu Darien i skupienia się na skromniejszych celach.

Zaczęli pojmować, że po zbiórce w Edynburgu kompania wydała zbyt dużo pieniędzy i nie mogła zagwarantować funduszy na pełne wsparcie ambitnego planu (podjęli głupią decyzję, kupując zupełnie nowe statki na

kontynencie, podczas gdy konkurencja większość swojej floty wynajmowała. Prawdopodobnie chcieli się popisać przed potencjalnymi holenderskimi i niemieckimi inwestorami – jak firma bez dochodów, ale za to z bajeranckimi biurami w najdroższej części miasta). Mieli wielu dobrych ekspertów, którzy nie kryli zastrzeżeń co do opłacalności przedsięwzięcia i zalecali wydanie zebranego kapitału na mniej imperialne misje handlowe w Azji. Byli w pełni świadomi niebezpieczeństw związanych z wyborem Darien i nawet brali pod uwagę kilka innych, znacznie bardziej odpowiednich miejsc w Ameryce… a jednak mimo to ci stateczni, dobrze wykształceni i poważani ludzie zdołali sobie wmówić, że od początku mieli rację, i postanowili zrealizować swój plan.

Koloniści dotarli do celu na początku listopada 1698 roku i szybko się dowiedzieli, jakie niebezpieczeństwa im grożą. Wielu z nich nawet nie zdawało sobie sprawy, że zmierzają właśnie do Darien, bo rozkazy odpieczętowano dopiero po wypłynięciu statków, w ramach z góry skazanych na niepowodzenie wysiłków, by utrzymać plany kompanii w tajemnicy przed konkurencją.

Na początku sytuacja wyglądała całkiem dobrze. Osadnicy byli urzeczeni naturalnym pięknem Darien i obcymi (dla nich) gatunkami zwierząt, jak żółwie lądowe, leniwce i wielkie mrówkojady. Miejscowy lud Guba wydawał się przyjazny i mówił o leżących w odległości zaledwie kilku kilometrów kopalniach złota. Osadników ucieszyło odkrycie „wspaniałej przystani", naturalnie osłoniętej, długiej na trzy kilometry zatoki, która, jak przekonywał jeden z nich, Hugh Rose, „może pomieścić tysiąc najlepszych statków świata". Inny anonimowy pamiętnikarz napisał, że „gleba jest żyzna, powietrze i temperatura dobre i wszystko wskazuje, że będzie tu zdrowo i wygodnie".

Z tym „zdrowo" lekko przesadził. Nie minęło wiele czasu, a koloniści zaczęli chorować i umierać. Żona Williama Patersona odeszła jako jedna z pierwszych, niespełna dwa tygodnie po wylądowaniu. Kilka dni później zmarł również ostatni duchowny kolonii.

Ale pomimo tych tragedii osadnicy nie tracili ducha. Nazwali zatokę Kaledonią, od dawnej nazwy Szkocji, i natychmiast przystąpili do budowy pierwszego miasta, Nowego Edynburga. Byli tak zachwyceni, że zapakowali głównego buchaltera ekspedycji, Alexandra Hamiltona (nie

tego z musicalu), na przepływający francuski statek piracki, żeby wrócił do Szkocji i przekazał radosne wieści.

Statek zatonął zaraz po wyjściu z zatoki, co dość jasno pokazywało, że nie jest wesoło.

W tym momencie stało się oczywiste, dlaczego żadne mocarstwo kolonialne nie korzysta z tak dużego naturalnego portu. Zatoka przypominała hotel California z piosenki: łatwo tam wejść, ale wyjście to zupełnie inna sprawa. Przeważające wiatry wiały tak, że po wypłynięciu z osłoniętej zatoki statki były natychmiast spychane do tyłu i atakowane przez ogromne fale. Statek z Hamiltonem na pokładzie został rozbity na kawałki pół godziny po wyjściu z portu i stracił prawie połowę załogi (Hamilton przeżył i w końcu wrócił do Szkocji, żeby opowiedzieć o przebiegu ekspedycji). Doświadczeni żeglarze ostrzegali Szkocką Kompanię, że wielkie, drogie statki o krótkiej stępce są zupełnie niedostosowane do warunków karaibskich, ale całkiem to zignorowano. Można by pomyśleć, że świadomość, iż statki zakładanej kolonii handlowej będą musiały tkwić w porcie przez wiele miesięcy w roku, skłoni do zastanowienia, ale nie.

Jest również dyskusyjne, jak Szkoci wyobrażali sobie całe to handlowanie. Misja miała charakter handlowy, a badania Douglasa Watta wskazują, że bardzo mało środków z budżetu wydali na towary – były to głównie tkaniny, ale również ponad dwieście peruk, duża ilość modnego obuwia i mnóstwo grzebieni (te ostatnie zapewne w przekonaniu, że tubylcy na całym świecie powszechnie sikają z radości na widok grzebienia i natychmiast oddają za niego swoją ziemię. Guba, jak się okazało, mieli grzebienie w nosie). Z drugiej strony, gdyby celem misji było tylko założenie osady, koloniści mogliby sobie poradzić, jeśliby tak zabrali mniej peruk, a trochę więcej narzędzi.

Gdy przystąpili do budowy Nowego Edynburga, morale szybko spadło. Praca była mordercza, w całkowicie nieszkockim upale. Kiedy po dwóch miesiącach bezowocnego wyrąbywania nieustępliwej gęstej dżungli przywódcy projektu stwierdzili, że rozpoczęli budowę w niewłaściwym miejscu („grzęzawisko”, jak opisał je Paterson), wszyscy jeszcze bardziej upadli na duchu. Później zaczęły się deszcze – a deszcz w Panamie absolutnie nie przypomina deszczu w Szkocji. Pamiętnikarz Rose też dość szybko zmienił zdanie: „Na lądzie

i wokół zatoki pełno mangrowców i bagnistej ziemi, która jest bardzo niezdrowa”.

Bagna były bardziej niż niezdrowe. Choroba, która zabiła żonę Patersona, dziesiątkowała kolonistów. Nie jest jasne, na co chorowali, bo przekazy wspominają tylko o „gorączce”, ale najprawdopodobniej była to malaria albo żółta febra roznoszona przez komary z pobliskich bagien (obie choroby też oczywiście były kolonistami, usłużnie przywleczonymi ze Starego Świata przez Europejczyków). Osadnicy wymierali w zatrważającym tempie.

Ci, których oszczędziła gorączka, rujnowali sobie zdrowie na inne sposoby, głównie dzięki zapasom alkoholu, w które Szkocka Kompania szczodrze zaopatrzyła wyprawę, co można uznać za jedną z korzyści ubocznych. Ludzie z Kaledonii zaczęli topić zgryzoty w rumie i brandy, co ani trochę nie przyśpieszało budowy Nowego Edynburga. Po jakimś czasie przywódcy postanowili zarzucić budowę miasta i skupić się na budowie fortu, gdyż coraz bardziej się obawiali zakrojonego na szeroką skalę ataku ze strony Hiszpanów.

Aha, tak. Hiszpanie. Bo przecież jeszcze nie wspomnieliśmy o największym, najbardziej niepokojąco oczywistym problemie planu

Patersona: Hiszpanie byli cholernie pewni, że Darien jest ich własnością.

Ich przekonanie wynikało z kilku drobnych przesłanek, takich jak ta, że od prawie dwóch stuleci prowadzili działalność na Przesmyku Panamskim, głównie stamtąd wysyłając do Hiszpanii zrabowane w Ameryce Południowej złoto i srebro. I jak ta, że Darien leżało pomiędzy trzema ich ważnymi miastami. Co więcej, okupowali Darien w przeszłości, zanim je porzucili – z tych wszystkich powodów, które właśnie odkrywali Szkoci. Myśl, że Hiszpania pozwoli parweniuszowskiemu krajowi jak gdyby nigdy nic wparować na swoje terytorium i założyć nową kolonię w samiuteńkim środku ich własnej kolonii, była śmiechu warta.

Jak to się stało, że dyrektorzy Szkockiej Kompanii uznali, że Hiszpanie pozwolą, by kolonistom wtargnięcie do Darien uszło na sucho? To prawdziwa zagwozdka. Ale możemy przynajmniej odtworzyć ich ogólny tok rozumowania. Podniesieni na duchu romantycznymi opowieściami o udanych pirackich atakach na hiszpańskie posiadłości w tym regionie, zdawali się wierzyć, że Hiszpania jest papierowym tygrysem, gasnącą potęgą kolonialną, której najlepsze dni dawno już

przeminęły. Pomimo że hiszpańska marynarka wojenna miała zdecydowaną liczebną przewagę nad szkocką (jedna marynarka wojenna do zera), najpewniej wierzyli, że jeśli zdołają odeprzeć pierwsze ataki, to wykażą, że przeciwnicy blefują.

Niezupełnie tak to się rozegrało. Zacznijmy od tego, że Hiszpanie w ogóle nie musieli przypuszczać bezpośredniego ataku. Jeśli angielskie próby udaremnienia szkockich ambicji kolonialnych już wcześniej wyrządziły szkody, to były one niczym w porównaniu z tym, co nastąpiło później. Hiszpanie szybko i dyplomatycznie dali królowi Wilhelmowi do zrozumienia, że małe przedsięwzięcie Szkocji jest dokładnie takiego rodzaju gównem, jakie prowadzi do wybuchu wojny. Wilhelm dopiero co uwolnił się od kolejnej z regularnie prowadzonych wojen z Francją i rozpaczliwie zależało mu na utrzymaniu pokoju z Hiszpanią, dlatego natychmiast zarządził, że żadnemu angielskiemu terytorium ani żadnemu angielskiemu statkowi nie wolno zaopatrywać kolonistów, udzielać im pomocy, a nawet z nimi korespondować.

Kiedy te wieści dotarły do Kaledonii, osadnicy wpadli w rozpacz. Odkąd przybyli, nie dostali

żadnych wiadomości ani żadnych zapasów, pomimo nieustannych próśb wysyłanych do Szkocji – a teraz zostali zupełnie odcięci, bez promyka nadziei na znalezienie sprzymierzeńców w tej części świata.

Zanim angielskie embargo zdążyło wejść w życie, koloniści już odparli atak Hiszpanów, przed którym ostrzegł ich kapitan angielskiego statku wysłanego na przeszpiegi (upokarzające, bo dzięki nieudolnym próbom kompanii, by zachować tajemnicę, zjawił się na okolicznych wodach przed kolonistami). To małe zwycięstwo podniosło na jakiś czas morale, ale sytuacja szybko się zmieniła, gdy Hiszpanie zdobyli jeden ze statków szukających ludzi, z którymi można by pohandlować, aresztowali załogę i przejęli ładunek.

Teraz, gdy jedna połowa populacji Kaledonii już umarła lub umierała albo siedziała w więzieniu, a druga połowa była głodna i skacowana, wiadomość o kompletnej izolacji była ostatnią kroplą goryczy. Koloniści, widząc, że zostali porzuceni, jednomyślnie opowiedzieli się za opuszczeniem Darien i wyruszeniem w smutną podróż do domu.

I tak oto ledwie dziewięć miesięcy po przybyciu w miejsce, o którym marzył przez

większą część życia, owdowiały i chory Paterson został wniesiony na pokład statku szykującego się do odpłynięcia. Przeżył, ale już nigdy nie zobaczył Darien.

Dla kolonistów, wciąż nękanych chorobami, powrót do Szkocji przez Jamajkę i Nowy Jork był równie koszmarny jak czas spędzony w Darien. Samo wydostanie się z zatoki zabrało im niemal tydzień, a w drodze zmarły setki ludzi. Jeden statek zatonął, a drugi prawie został zniszczony. W końcu tylko jeden dowlókł się do Szkocji. Niestety, nie zdążył w porę, żeby zapobiec wysłaniu do Darien drugiej flotylli.

To prawda, Szkocka Kompania postanowiła wyprawić mocno spóźnione posiłki, kiedy już było grubo po czasie.

Uczestnicy tej drugiej wyprawy przybyli pod koniec listopada 1699 roku do Darien, gdzie zobaczyli opuszczone, spalone resztki Nowego Edynburga, zarośnięty fort i mnóstwo płytkich grobów. Na przekór zdrowemu rozsądkowi postanowili zostać i spróbować się utrzymać, posyłając po świeże zapasy. Co to dało? Chorowali i umierali, a przy okazji stworzyli Hiszpanii okazję do udowodnienia, że wcale nie jest gasnącą potęgą. Tuż po wejściu w nowe stulecie Hiszpanie rozpoczęli oblężenie, żeby

przypomnieć kolonistom, kto tu rządzi. Wycieńczeni gorączką Szkoci trzymali się jakiś czas, ale w kwietniu złożyli broń. Taki był koniec szkockiego imperium kolonialnego.

Może rozumiejąc wartość propagandową tego, że pokonany wróg ucieka z podkulonym ogonem, a może po prostu ze współczucia, Hiszpanie pozwolili odejść biednym osadnikom. Znów setki ludzi zmarły z gorączki podczas drogi do domu. Gwałtowny sztorm zniszczył dwa statki, posyłając na dno sto kolejnych dusz – łącznie z nadzwyczaj pechowym Alexandrem Hamiltonem, który mimo pierwszej katastrofy postanowił wyruszyć do Darien z drugą flotą.

Razem wziąwszy, ze Szkocji do Darien wypłynęło prawie trzy tysiące ludzi. Uważa się, że półtora do dwóch tysięcy zmarło w zatoce Kaledonii albo na morzu. Wielu z tych, którzy przeżyli, nigdy nie wróciło do Szkocji.

W Edynburgu wieści o klęsce projektu, które wyciekły w 1700 roku, spowodowały szok. W świeżo spolaryzowanym środowisku politycznym ta kwestia stała się przedmiotem rozgrywek politycznych: jedni obwiniali zarząd kompanii o sromotną porażkę, a drudzy perfidnych Anglików o ingerencję. W Edynburgu doszło do zamieszek związanych z poparciem dla

kompanii. Jednego niezadowolonego kolonistę, który w pamfletach atakował dyrektorów kompanii, oskarżono o bluźnierstwo; trzech zwolenników kompanii, autorów obraźliwej dla rządu ryciny, bez powodzenia sądzono za zdradę. Tak naprawdę fakty straciły znaczenie – liczyło się tylko to, po której jesteś stronie.

Konsekwencje miały wymiar nie tylko polityczny, ale również finansowy: w środku kryzysu gospodarczego znaczący odsetek narodowego majątku wyrzucono w błoto. Inwestorzy stracili ogromne pieniądze i nie mogli liczyć na ich odzyskanie. Szkocja została upokorzona i osłabiona.

Oczywiście, żadna ważna zmiana polityczna nie zachodzi wyłącznie z jednego powodu. Siły pchające Szkocję ku pełnej unii z Anglią były skomplikowane i nie pojawiły się z dnia na dzień, w następstwie ryzykanckiego planu Patersona. Przecież był koniec siedemnastego wieku, kiedy granice i przymierza zdawały się zmieniać co tydzień. Ale nie ma najmniejszych wątpliwości, że projekt Darien walnie się do tego przyczynił – szczególnie kiedy kilka lat później Anglia, w ramach aktu unijnego, zaoferowała Szkocji ratunek finansowy. Nie tylko państwu – każdy udziałowiec Szkockiej Kompanii miał otrzymać

zwrot zainwestowanej sumy, wraz z dużymi odsetkami.

Wielu nazywało to łapówką. „Zostaliśmy kupieni i sprzedani za angielskie złoto”, jak osiemdziesiąt lat później napisał Robert Burns. Niektórzy widzieli całą sprawę jako mroczny angielski spisek mający na celu sparaliżowanie Szkocji do tego stopnia, żeby nie miała już żadnego wyboru. Inni byli po prostu szczęśliwi, że odzyskali pieniądze.

Paterson opowiedział się za unią.

W maju 1707 roku powstało Zjednoczone Królestwo. W sierpniu do Edynburga wtoczył się tuzin silnie strzeżonych wozów z ładunkiem czterystu tysięcy funtów.

A oto w czym rzecz: Paterson się nie mylił, nie do końca. Panama naprawdę była doskonałym miejscem na założenie kolonii – co więcej, w 2007 roku archeolog Mark Horton zbadał przesmyk i doszedł do wniosku, że zaproponowane przez Patersona trasy handlowe z Darien były całkiem realistyczne. I jego przewidywania, jak rozwinie się handel światowy, też nie wydają się chybione. Co więcej, wskazywał drogę alternatywną wobec okrucieństw imperiów, pisząc, że handel może przynieść bogactwo, które nie wiązałoby się „z taką winą i krwią jak ta przelana przez

Aleksandra i Cezara”. Co faktycznie świadczy o tym, że był w owych czasach kimś w rodzaju osoby budzącej świadomość społeczną (chociaż nie dajmy się ponieść: radosne rozmowy o niewykorzystanych kopalniach złota w Darien wskazują, że wielu zwolenników projektu opowiadało się za grabieżą bogactw naturalnych).

Tym, co naprawdę zgubiło przedsięwzięcie, była zbiorowa porażka jego zwolenników w radzeniu sobie z trudnymi sprawami. Odrzucili na bok takie „szczegóły” jak rodzaj potrzebnych statków i wyposażenie wyprawy, zignorowali całokształt sytuacji, jak na przykład geopolityczne następstwa swoich poczynań. Zamiast tego, kiedy pojawiły się komplikacje i problemy, uwierzyli w swój własny bajer i umocnili się w przekonaniu, że od początku mieli rację. Był to klasyczny przypadek gromadomyślenia.

Historia Darien dzieli Szkocję do dziś. Podczas referendum niepodległościowego w 2014 roku stała się argumentem dla obu stron. Dla nacjonalistów była przypowieścią o tym, że Anglia zawsze próbuje sabotować i dławić szkockie nadzieje; dla unionistów była nauką

płynącą z niebezpieczeństw porzucania stabilności w imię nierealistycznych ambicji.

Jako opowieść, nadaje się na metaforę. To historia o kraju odwracającym się od unii politycznej z najbliższymi geograficznie partnerami handlowymi na rzecz urojonej wizji imperialistycznych fanatyków wolnego handlu, którzy owijają swoje mgliste plany w retorykę rozżalonego patriotyzmu, jednocześnie konsekwentnie ignorując przestrogi ekspertów, mówiące o realiach.

Niestety, w tej chwili nie przychodzi mi na myśl żadna metafora.

5 KOLEJNYCH ODKRYWCÓW, KTÓRYM NIE WYSZŁO ODKRYWANIE

Louis-Antoine de Bougainville

Wprawdzie jako pierwszy Francuz opłynął kulę ziemską, ale dotarł do Wielkiej Rafy Koralowej i zawrócił, tym samym nie odkrywając Australii.

John Evans

Walijski podróżnik, który w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku przez pięć lat poszukiwał zaginionego plemienia walijskiego w Ameryce i został jako szpieg uwięziony przez Hiszpanów, zanim w końcu znalazł to plemię – Mandanów – i odkrył, że nie są Walijczykami.

Vilhjalmur Stefansson

Kanadyjski badacz, który uważał, że Arktyka tak naprawdę jest przyjaznym miejscem, i w 1913

roku poprowadził tam ekspedycję. Kiedy statek utknął w lodzie, powiedział swoim ludziom, że zabiera małą grupę na poszukiwanie jedzenia, i po prostu ich porzucił.

Lewis Lasseter

W 1930 roku Lasseter poprowadził grupę poszukiwaczy na pustynię w środkowej Australii, żeby odszukać wielką „rafę” z czystego złota, którą, jak twierdził, znalazł przed laty. Nie ma czegoś takiego. Towarzysze go porzucili, a później, gdy stawiał klocka, wielbłądy uciekły – i taki był jego koniec.

S.A. Andrée

Szwedzki inżynier i poszukiwacz przygód, Salomon Andrée, wpadł na wyborny pomysł, żeby dotrzeć do bieguna północnego w balonie wypełnionym wodorem – i wystartował, mimo że balon był nieszczelny. Andrée i jego załoga zginęli gdzieś w Arktyce.

8

Samouczek dyplomacji dla marionetek i/lub obecnych prezydentów

Gdy w epoce wielkich odkryć nastąpiła eksplozja podróży po świecie, szybko nadarzyły się okazje do przypadkowego wszczynania wojen, ponieważ radykalnie wzrosła liczba krajów, które można rozwścieczyć. Zakładając, że jeśli choć raz na jakiś czas chcemy uniknąć wojny, to (bez robienia tego czegoś, co robili Harappańczycy) największą szansę na sukces zapewnia nam dyplomacja. Dyplomacja jest sztuką, która polega na tym, żeby duże grupy ludzi nie traktowały się wzajemnie po chamsku – albo żeby chociaż były skłonne przyznać, że no tak, niekiedy każdy zachowuje się jak cham, ale może spróbujemy odrobinę to zmienić.

Niestety, w tym też nie jesteśmy zbyt dobrzy.

Kluczowy problem ze stosunkami międzynarodowymi wyrasta z bardziej ogólnego i fundamentalnego problemu relacji międzyludzkich, a mianowicie ścierania się dwóch podstawowych zasad ludzkości:

1. Dobrym pomysłem jest ufać ludziom.

2. 2) Byle nie za bardzo!

To dylemat, który cechuje niemal wszystkie momenty kontaktu pomiędzy różnymi kulturami w historii. Niefortunnie dla ludzi żyjących w tych momentach, nigdy nie wiadomo, który wybór okaże się właściwy. Wciąż nie rozpracowaliśmy owego problemu, ale przynajmniej mamy ten luksus, że możemy spojrzeć na wybory dokonywane przez ludzi w przeszłości i stwierdzić: „Nie, to stanowczo była zła decyzja".

Przed takim problemem stanęli Tainowie, kiedy przybył Kolumb – podczas pierwszych spotkań byli ufni i zrobili na nim wielkie wrażenie swoją życzliwością i hojnością. Oczywiście Kolumb zareagował w sposób, w jaki zwykle reagują biali, gdy ktoś jest wobec nich życzliwy i hojny: „Będą z nich dobrzy służący", pomyślał i po kilku dniach rozważań dodał: „Z pięćdziesięcioma ludźmi możemy ich wszystkich podporządkować sobie i kazać im robić to, co chcemy". Uroczy facet.

Mniej więcej to samo rozegrało się, na większą skalę, parędziesiąt lat później, kiedy aztecki władca Montezuma podjął bardzo, ale to bardzo złą decyzję w sprawie Hernána Cortésa.

Aztekowie (albo Mexica, jak sami się nazywali) władali wielkim imperium, które

rozciągało się od wybrzeża Pacyfiku po Zatokę Meksykańską, obejmując tereny obecnego Meksyku. Montezuma rządził nim z Tenochtitlánu, będącego największym i najbardziej rozwiniętym ośrodkiem miejskim na kontynencie (obecnie na jego miejscu wyrosło Mexico City). Wszystko szło całkiem dobrze do roku 1519, kiedy to Cortés wylądował na wybrzeżu Jukatanu.

Cortés był nie tylko konkwistadorem, był brutalnym konkwistadorem. Hiszpański gubernator Kuby, który mu nie ufał, pozbawił go dowództwa nad misją rozpoznawczą, jednak Cortés po prostu zabrał statki i wyruszył w drogę. Jakiś czas po przybyciu na miejsce rozmyślnie je zatopił, żeby uniemożliwić załodze bunt i powrót na Kubę. Mówię tu wyraźnie, że Cortés nie był graczem zespołowym. I w tym momencie, uciekając przed swoimi rodakami, bez możliwości powrotu do domu, zostawił sobie tylko jeden wybór: konkwistę.

Kiedy Montezuma usłyszał o Cortésie, który wylądował jakieś trzysta kilometrów od Tenochtitlánu, naturalnie się zdenerwował i nie wiedział, co zrobić. Wahał się, czy wysłać mu szczodre dary, czy też ostrzeżenie, że ma się trzymać z daleka. Cortés tymczasem był zajęty

sondowaniem słabości Azteków. Mieli jeden główny problem: ustrój, i to często dość opresyjny. W imperium nie brakowało ludzi, którzy nie byli wielkimi fanami Montezumy, i gdy Cortés posuwał się w głąb lądu, wykorzystywał kombinację gładkiej gadki, szachrajstwa i czasami masowej rzezi, żeby ich nakłonić do sprzymierzenia się z nim przeciwko władcy.

Ta sytuacja raczej nie zapowiadała początku nowej ery przyjaźni, ale Montezuma nadal czekał. Możliwe, że jego niepewność powiększało szeroko ponoć rozpowszechnione przekonanie, że Cortés jest wcieleniem boga Quetzalcoatla – chociaż właściwie jedynym dowodem, że ktokolwiek dawał temu wiarę, są tylko listy Cortésa, i naprawdę wygląda to na wymysł w jego stylu.

Kiedy Cortés w towarzystwie kilkuset hiszpańskich żołnierzy i gromady nowych sojuszników przybył do Tenochtitlánu, Montezuma w końcu podjął decyzję, mimo że wielu doradców mówiło mu, iż popełnia błąd. Szczerze powiedziawszy, nie wiadomo, czy w tej sytuacji w ogóle była jakaś dobra decyzja, ale ta była absolutnie najgorsza: zaprosił Hiszpanów do pałacu jako gości honorowych. Obsypał ich

darami, przydzielił im najlepsze pokoje i tak dalej. Nie skończyło się to dobrze. Dwa tygodnie później Cortés przeprowadził zamach stanu, wziął Montezumę jako zakładnika i zmusił go do posłuszeństwa, ustanawiając marionetkowe rządy. Pierwszym, czego zażądał, była kolacja, a następnie po prostu kazał mu powiedzieć, gdzie trzymane jest całe złoto.

Dalej wszystko się rozpętało mniej więcej w połowie roku 520, pod nieobecność Cortésa – akurat walczył z dużym regimentem hiszpańskich żołnierzy, których przysłał gubernator Kuby, żeby położyć kres temu, cokolwiek, u licha, Cortés wyprawiał. Jeden z poruczników Cortésa, który został w Tenochtitlánie, z niewiadomego powodu postanowił dokonać masakry licznych azteckich arystokratów, zgromadzonych w Wielkiej Świątyni na uroczystościach religijnych. Rozwścieczeni rzezią Mexica wszczęli powstanie i Cortés wrócił, żeby je stłumić. Nakazał Montezumie, by powiedział swoim ludziom, że mają zaprzestać wrogich działań. Nie zaprzestali – i taki był koniec Montezumy. Hiszpańskie relacje mówią, że został ukamienowany przez rozjuszony tłum poddanych; najprawdopodobniej jednak zamordowali go

Hiszpanie, kiedy stało się jasne, że już nie jest potrzebny jako marionetka. Ledwie po roku krwawych walk Hiszpanie podbili całe imperium i Cortés – który nagle powrócił do łask swoich szefów – został mianowany gubernatorem Meksyku.

Przypuszczalnie nikt nie mógłby zapobiec inwazji, ale przyjęcie Hiszpanów jako gości uchodzi za jedną z najbardziej nierozważnych decyzji dotyczących stosunków międzynarodowych w całej historii. I szczerze mówiąc, gdyby rząd meksykański trzysta lat później, kiedy zaczął zachęcać amerykańskich imigrantów do osiedlania się w Teksasie, zastanowił się nad tym przykładem, kluczowa nauka płynąca ze smutnej opowieści o Montezumie – „Na litość boską, Mexica, przestańcie do siebie zapraszać białych ludzi” – mogłaby doprowadzić do zupełnie innego wyniku.

Na szczęście dla reputacji Montezumy, nie jest on osamotniony na historycznej liście ludzi podejmujących kiepskie decyzje w relacjach międzynarodowych.

Znaczenie mądrego dobierania sobie przyjaciół można zilustrować historią Publiusza Kwinktyliusza Warusa, rzymskiego namiestnika

Germanii w 9 roku n.e. Warus próbował realizować klasyczny scenariusz okupanta na okupowanych ziemiach: zjednywać sobie lokalnych przywódców, żeby plemiona zachowały względny spokój. Na swoje nieszczęście obdarzył zaufaniem Arminiusza, germańskiego wodza, ponieważ ten był obywatelem rzymskim i nawet dowodził oddziałem pomocniczym w rzymskiej armii. Pomimo ostrzeżeń, że jego zaufany doradca może być niezupełnie szczery, Warus postanowił mu uwierzyć, kiedy Arminiusz powiedział, że wśród germańskich plemion wybuchło powstanie. Arminiusz poprowadził Warusa i jego legiony prosto w zasadzkę, nad którą sam objął dowodzenie, stosując starą sztuczkę: „Pojadę kawałek do przodu, żeby zobaczyć, co się dzieje". Trzy rzymskie legiony zostały wycięte do nogi (była to największa klęska militarna w dziejach Rzymu) i ekspansja Cesarstwa Rzymskiego na północ stanęła w miejscu.

Przeciwieństwem nadmiernego zaufania jest autodestrukcyjna polityka zagraniczna Chin za czasów dynastii Ming – to studium przypadku dotyczące niebezpieczeństw izolacjonizmu. Przez pierwsze trzy dekady piętnastego wieku Chiny posiadały jedną z największych flot morskich

w dziejach świata, dowodzoną przez legendarnego admirała Zheng He. Tworzyło ją około trzystu statków, łącznie z ogromnymi dziewięciomasztowcami (dorównujące im wielkością jednostki gdzie indziej na świecie pojawiły się wiele stuleci później) i pływającymi farmami, na których uprawiano warzywa i hodowano zwierzęta. We flocie służyło trzydzieści tysięcy ludzi.

Co więcej, na tle świata Chiny wyróżniały się tym, że w zasadzie nie używały floty do, no wiesz, podbojów. Z pewnością okręty często służyły do walki z piratami, a także przydawały się jako zawoalowana demonstracja siły wobec każdego kraju, który rozważał niewłaściwe zachowanie – ale ze wszystkich siedmiu wypraw morskich Zheng He do różnych miejsc w Azji, Arabii i Afryce Wschodniej tylko z jedną wiązał się względnie niewielki konflikt. Chińczycy zawijali do portów tak odległych jak Malakka, Maskat i Mogadiszu, gdzie zamiast wojować, wymieniali się podarkami. Dawali cenne metale i piękne tkaniny, a w zamian dostawali najróżniejsze rzeczy, łącznie ze zwierzętami. Pewnego razu przywieźli z Kenii żyrafę.

W porównaniu z tym, w jaki sposób imperia kolonialne demonstrowały swoją przytłaczającą

przewagę, brzmi to dość sympatycznie. I dlatego szczególnie zaskakuje, że po śmierci Zheng He w roku 1433 dynastia Ming… zastopowała. Chińczycy odwrócili się od floty. W odpowiedzi na działalność japońskich piratów wskrzesili starą politykę *haijin* – czyli niemal całkowity zakaz przewożenia czegokolwiek drogą morską. Wobec prowadzonych na północy wojen z Mongołami, zagraniczne misje dyplomatyczne uznali za zbędny wydatek i postanowili inwestować w inny projekt: budowę wielkiego muru granicznego.

W następnych latach Chiny coraz bardziej zwracały się do wewnątrz, zamykając się na świat. Robiły to akurat wtedy, kiedy europejskie floty zaczynały wyruszać na badanie świata, co miało podwójny skutek: po pierwsze, gdy kilkadziesiąt lat później Europejczycy pojawili się na wodach Azji, nie było tam miejscowej potęgi, która stanęłaby im na drodze, i po drugie, Chiny ominął rozpoczynający się właśnie rozkwit nauki i techniki. Minęło bardzo dużo czasu, zanim państwo odzyskało status światowego mocarstwa.

Decyzje dyplomatyczne częściowo opierają się na próbie przewidzenia, jak w przyszłości zmieni się równowaga sił. Ponieważ nie można tego

określić nawet w przybliżeniu, nie powinno dziwić, że ludzie tak często się mylą. W Szwajcarii późną wiosną 1917 roku, w czasie pierwszej wojny światowej, pewien mężczyzna w średnim wieku, z zabawną bródką, zwrócił się z propozycją do niemieckiego rządu. Był Rosjaninem i rozpaczliwie chciał wrócić do swojego kraju, w którym trwały niepokoje polityczne, ale wojna właściwie uniemożliwiała podróżowanie po Europie. Najlepsza trasa do Rosji wiodła na północ przez Niemcy, jednak aby z niej skorzystać, ów człowiek potrzebował zgody Niemców. A niemiecki rząd nie był fanem jego polityki.

Gadka była prosta. Facet powiedział, że mimo dzielących ich różnic on i Niemcy obecnie mają wspólnego wroga: rząd rosyjski, który on z chęcią spróbuje obalić. Niemcy prowadzili wojnę na kilku frontach i uznali, że wszystko, co odciągnie od nich rosyjskie siły, może być bardzo pomocne. I dali się przekonać. Zapakowali mężczyznę, jego żonę i trzydziestu jego rodaków do pociągu, który dowiózł ich do portu na północy, skąd podróżowali dalej przez Szwecję i Finlandię. Była to niewielka forpoczta, ale lepsza niż nic. Niemieckie władze nawet zaopatrzyły ich w pieniądze i wspomagały

finansowo w ciągu następnych miesięcy. Prawdopodobnie wyobrażały sobie, że jak większość maniaków politycznych z niszową sprawą, ten człowiek też nie przysporzy wiele kłopotu, za to na jakiś czas oderwie od nich uwagę Rosjan, a później spokojnie odejdzie w niebyt.

I tak, tym facetem był Lenin.

Pod wieloma względami plan Niemców wypalił bezbłędnie. Ba, lepiej, niż się spodziewano. Bolszewicy nie tylko wkurzyli rosyjskie władze i rozproszyli ich uwagę, ale dosłownie rozłożyli je na łopatki. Nieco ponad pół roku później rosyjski Rząd Tymczasowy przestał istnieć, Lenin doszedł do władzy i powstało państwo radzieckie. Niemcy uzyskali zawieszenie broni, o czym nawet nie śmieliby marzyć w kwietniu, kiedy machali na pożegnanie odjeżdżającemu pociągiem Leninowi.

Jednakże nie można powiedzieć, że plan był oszałamiającym sukcesem na nieco dłuższą metę.

Zawieszenie broni na froncie wschodnim nie pomogło Niemcom wygrać wojny. I relacje pomiędzy ekspansjonistycznym nowym państwem radzieckim a ich usłużnymi niemieckimi kumplami szybko się popsuły. Wystarczy przeskoczyć w przód o dwa

dziesięciolecia i o kolejną wojnę, a zobaczymy połowę świeżo podzielonych Niemiec pod kontrolą Rosjan.

Niemcy wpadli w starą pułapkę przekonania, że wróg ich wroga będzie ich przyjacielem. W rzeczywistości nie zawsze to się sprawdza – chodzi o to, że zwykle taka przyjaźń ma nadzwyczaj krótki okres trwałości. I że złudne pojęcie wspólnego wroga czai się gdzieś w tle zdumiewająco dużej liczby najgorszych decyzji w historii i tłumaczy kilka stuleci wyjątkowo zagmatwanych dziejów Europy.

Innym przykładem tego fenomenu może być powojenna polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych. W ciągu długiego okresu światowej plagi kiepskich decyzji, zwanego zimną wojną, Stany Zjednoczone sprzymierzyły się mniej więcej z każdym, kto spełniał kryterium niebycia komunistą. Wielu z tych sojuszników było skończonymi łajdakami (patrz: rozmaici dyktatorzy w Ameryce Łacińskiej, seria strasznych władców w Wietnamie). Ale na ten główny problem nakłada się następny: często się okazywało, że ci sojusznicy od samego początku nie byli wielkimi fanami USA.

Biorąc pod uwagę tylko ostatnie dziesięciolecia, Stany Zjednoczone występowały

zbrojnie przeciwko Al-Kaidzie, która wyrosła z afgańskiej partyzantki mudżahedinów, wcześniej wspieranej przez USA, bo mudżahedini walczyli z Rosjanami (gorąco polecam obejrzenie filmu z 1987 roku o Jamesie Bondzie, *W obliczu śmierci*, jeśli lubisz krzyczeć do ekranu: „O RANY, STARE DZIEJE!”. Bond sprzymierza się z mudżahedinami, którym przewodzi czarujący, heroiczny bohater, najlepiej opisany jako „układny bin Laden z wytwornym angielskim akcentem”. Ale jest dobry motyw muzyczny).

W tym czasie Stany Zjednoczone były również zaangażowane w konflikt zbrojny przeciwko Irakowi, krajowi, który wcześniej wspierały, ponieważ walczył z Iranem, krajem, który sprzeciwił się Stanom, ponieważ Stany popierały wcześniejszą dyktaturę, ponieważ ona też była przeciwna Rosjanom.

I Stany Zjednoczone prowadzą działania zbrojne przeciwko ISIS, spadkobiercom Al-Kaidy w powojennym Iraku, obecnie prowadzącym w Syrii coś, co jest co najmniej wojną trójstronną, w której Stany sprzeciwiają się reżimowi, który uprzednio wspierały, a następnie próbowały wspierać jego wrogów, ale się okazało, że niektórzy z wrogów reżimu są również przyjaciółmi ISIS, którzy są wrogami tak USA, jak

i wrogów USA, chociaż niektórzy inni przyjaciele są wrogami jednych i drugich – aha, i Rosja też tam walczy, po prostu w imię starych dobrych czasów.

I tak wygląda sytuacja tylko w jednej niewielkiej części świata.

Tak, polityka międzynarodowa naprawdę jest trudna. Niewiele w niej miejsca na wzniosłe ideały, a zimna ręka pragmatyzmu oznacza, że często trzeba nawiązywać sojusze z tymi, z którymi można, a nie z tymi, z którymi rzeczywiście się chce. Jednak mnóstwa problemów, na które wciąż się natykamy, można by uniknąć, gdybyśmy pamiętali, że w większości wypadków wróg naszego wroga jest mniej więcej takim samym draniem jak nasz pierwszy wróg.

Ale w długiej historii naprawdę paskudnych błędów dyplomatycznych jeden wybija się ponad wszystkie inne.

Jak stracić imperium (przy minimalnym wysiłku)

W roku 1217 ’Ala ad-Din Muhammad II, szach wielkiego i potężnego Imperium Chorezmijskiego, otrzymał dobrosąsiedzką

wiadomość od przywódcy nowej potęgi, która rosła na wschodzie. „Jestem władcą ziem wschodzącego słońca – brzmiała wiadomość – ty zaś władasz ziemiami zachodzącego słońca. Zawrzyjmy traktat o przyjaźni i pokoju”. Dalej następowała propozycja umowy handlowej między dwoma imperiami, ku wielkim obopólnym korzyściom.

I wtedy szach Muhammad II podjął absolutnie najgorszą decyzję w długiej historii dyplomacji międzynarodowej.

W owym czasie Imperium Chorezmijskie było jedną ze światowych potęg, rozciągało się od Morza Czarnego na zachodzie po góry Hindukusz na wschodzie, od Zatoki Perskiej na południu po Step Kazachski na północy. Zajmowało ogromny obszar, który dzisiaj obejmuje większą część terytoriów Iranu, Uzbekistanu, Turkmenistanu, Tadżykistanu, Azerbejdżanu, Afganistanu i nie tylko. Gdy Europę wciąż parę wieków dzieliło od początku renesansu, Chorezm stanowił centrum rozwiniętego świata. Tędy biegł jedwabny szlak, wielka trasa łącząca wschód i zachód, z przepływającymi nią towarami i ideami. Imperium szacha było jednym z bijących serc świata islamskiego, najbogatszym i najbardziej rozwiniętym. Miasta takie jak Samarkanda,

Buchara i Merw, klejnoty Imperium Chorezmijskiego, zaliczały się do największych miast Azji Środkowej i były znane jako miejsca rozkwitu nauki, innowacji i kultury.

Jeśli myślisz: „Dziwne, nigdy nie słyszałem o Imperium Chorezmijskim”, to stało się tak nie bez powodu.

Bo widzisz, wiadomość, którą otrzymał szach, pochodziła od faceta zwanego Czyngis-chanem. I ledwie kilka lat po podjęciu tej strasznej decyzji… cóż, Imperium Chorezmijskie zniknęło z mapy świata.

Warto zauważyć, że, na ile historia może to ocenić, zapewnienie Czyngisa o przyjaźni było całkowicie szczere. W tym momencie wielki wojownik osiągnął swoje cele: podporządkował sobie i zjednoczył koczownicze ludy północnych Chin i okolicznych terytoriów, tworząc imperium mongolskie dzięki szeregowi podbojów, od względnie łatwych po krańcowo brutalne. Miał jeszcze kilka bitew do wygrania na wschodzie, ale nie zamierzał posuwać się na zachód. Zaspokoił swoje ambicje i pragnienia, a co więcej, zbliżał się do sześćdziesiątki. Robota wykonana, czas zaplanować spokojną emeryturę.

To niedawny podbój chanatu Kara Kitajów, chińskich nomadów – leżącego mniej więcej na

terenie dzisiejszego Kirgistanu, jednego z ostatnich państw, które odmówiły przyjęcia jego zwierzchności – sprowadził Czyngisa do Chorezmu i stworzył nową granicę między Mongołami a światem islamskim. Jak to z reguły bywa na granicach, szczególnie tych marnie wytyczonych, już doszło tam do jednej potyczki Mongołów z Chorezmijczykami. Później Muhammad II wyruszył na czele swojej armii, żeby stoczyć bitwę z jakimiś wrogami, a po przybyciu na miejsce stwierdził, że Mongołowie zjawili się pierwsi i już ich rozgromili.

Stało się to nie po raz pierwszy. Czyngis miał w nawyku ubieganie Muhammada i wygrywanie jego wojen – co być może pomaga wyjaśnić nierozsądną reakcję szacha na gałązkę oliwną przysłaną przez Czyngisa po tamtej wcześniejszej potyczce. Możliwe, że był lekko wkurzony i upokorzony tym, że Mongołowie z uporem kradną mu chwałę (chociaż to powinno być dla niego jasnym sygnałem, że Mongołowie są całkiem dobrymi strategami, ale cóż, najwyraźniej nie było).

Ponadto stosunki chorezmijsko-mongolskie mogły ucierpieć z powodu niuansów tłumaczenia. „Jestem władcą ziem wschodzącego słońca, ty zaś władasz ziemiami zachodzącego

słońca” – prawdopodobnie w ten sposób Czyngis wykładał podstawy geografii i dawał do zrozumienia, że obaj są (mniej więcej) sobie równi. Ale oto alternatywne tłumaczenie wiadomości: „Jestem władcą świtu, a ty zmierzchu” – w tym ujęciu zabrzmi to tak, jakby Czyngis rzucał ogromny cień. Władca, już trochę rozdrażniony, bo ktoś inny wygrywa za niego bitwy, bez trudu odczytałby to jako: „Ja jestem wschodzącą potęgą, a ty gasnącą, OK?”.

Dialog między Muhammadem a Czyngis-chanem, prowadzony za pośrednictwem jeżdżących w tę i z powrotem emisariuszy, przypominał pasywno-agresywną komedię obyczajową. Czyngis poczuł się potraktowany protekcjonalnie przez szacha, gdy dostał od niego w darze piękne jedwabie („Czy ten gość myśli, że nigdy nie widzieliśmy czegoś takiego?”). W odpowiedzi wysłał ogromny złoty samorodek, pewnie chcąc pokazać, że też mają ładne rzeczy, mimo że mieszkają w namiotach. W tym momencie powtórzenie propozycji – „Szczerze pragnę żyć z tobą w pokoju. Będę cię widział jako mojego syna” – uderzyło w niewłaściwą strunę i zostało źle przyjęte przez Muhammada, który naprawdę nie lubił, gdy ktoś nazywał go „swoim synem” (tak na marginesie, brzmi to znacznie

zabawniej, gdy mówisz „mój synu” chropawym głosem londyńskiego gangstera).

A jednak, z wciąż przestrzeganym ceremoniałem i protokołem (mimo podtekstu małostkowości), Czyngis-chan wyraźnie wierzył, że jego propozycja nawiązania pokojowych stosunków handlowych zostanie przyjęta. Bo przecież układ byłby korzystny dla obu stron. „Wiesz, że mój kraj jest mrowiskiem wojowników i kopalnią srebra, więc nie mam potrzeby patrzeć z zazdrością na inne ziemie – napisał do Muhammada. – Jesteśmy również zainteresowani rozwojem handlu pomiędzy naszymi poddanymi”.

I tak oto Czyngis na własny koszt wysłał do Chorezmu pierwszą misję handlową, dowodzoną przez jego osobistego posła: czterystu pięćdziesięciu kupców, stu żołnierzy i pięćset wielbłądów z wozami pełnymi srebra, jedwabi i nefrytów. Głównym celem było to, żeby Muhammad zniósł nałożone niedawno embargo na handel z imperium mongolskim. Wszyscy tego chcieli, zwłaszcza poza granicami Chorezmu: zjednoczenie przez Czyngisa północnych Chin teoretycznie czyniło łatwiejszym korzystanie z jedwabnego szlaku i kupcom w całym świecie islamskim zależało na tym, żeby wejść na chiński

rynek. Ale wkurzony szach zamknął trasę. Kiedy w roku 1218 karawana kupiecka weszła do północnego miasta Otrar, musiało się wydawać, że wróciły stare dobre czasy.

I w tym momencie wszystko poszło źle, bardzo źle dla sporej części świata.

Zamiast powitać misję handlową, pozwolić zaparkować wielbłądy i zaproponować kupcom poczęstunek, Inalczik Kair-chan, rządca Otraru, wybrał inne podejście. Kazał ich wymordować i ukradł wszystko, co ze sobą przywieźli. Tylko jedna osoba z pięciuset pięćdziesięciu przeżyła ten brutalny atak z zaskoczenia, ponieważ w czasie masakry brała kąpiel i zdołała się schować za wanną.

Incydent wstrząsnął światem jako pogwałcenie zasad przyzwoitości i gościnności, a także zdrowego rozsądku. Wyjaśnienie podane przez Inalczika – że podejrzewał ich wszystkich o szpiegostwo – brzmiało całkiem niedorzecznie. Kupcy nawet nie byli Mongołami – w większości byli to muzułmanie z regionu zamieszkanego przez Ujgurów. Myśl, że islamskim kupcom w islamskim mieście albo na głównym szlaku handlowym grozi masakra pod lada pretekstem, była, łagodnie mówiąc, raczej niepokojąca

i zdecydowanie nie służyła prowadzeniu interesów.

I absolutnie nikt nie wierzył, że Inalczik poważyłby się wykonać ten potencjalnie destrukcyjny ruch – bo przecież bogactwo i prestiż imperium zależały od handlu – bez pozwolenia albo bezpośredniego rozkazu samego szacha.

Jeśli były jeszcze jakieś wątpliwości, czy Muhammad za wszelką cenę dąży do zatargu z Mongołami, to szybko się rozwiały. Nie do wiary, pomimo aktu przemocy w Otrarze Czyngis-chan postanowił dać mu jeszcze jedną szansę. Zawarcie umowy handlowej wciąż było dla Mongołów sprawą priorytetową, bo kampania podboju nie służyła rolnictwu w ich imperium, więc musieli kupować żywność. I tak Czyngis wysłał trzech posłów – muzułmanina i dwóch Mongołów – żeby dogadali się z Muhammadem, żądając kary dla Inalczika, rekompensaty za utracone towary i przywrócenia pokoju.

Zamiast przeprosić, szach ściął głowę muzułmańskiemu posłowi, a Mongołom podpalił brody, po czym, okaleczonych i upokorzonych, odesłał do Czyngisa.

Dlaczego? Dlaczego to zrobił? Czy Muhammad naprawdę rozpoczął wojnę z Czyngis-chanem, bo uznał, że zwrot o zachodzącym słońcu jest obrazą?

Takie wyjaśnienie jest całkiem możliwe i wcale nie głupsze niż każde inne. Ale warto też zauważyć, że paranoja Muhammada mogła wyrastać z poważnego kompleksu niższości. Miał tureckie korzenie i był potomkiem niewolnicy, więc sąsiedni perscy i arabscy władcy w świecie muzułmańskim często patrzyli na niego z góry. Jego imperium było niewiele starsze od imperium Czyngisa, a przy tym wewnętrznie podzielone. Miał trudne relacje z matką, co nigdy tak naprawdę nie pomaga. Miał także długotrwały zatarg z al-Nasirem, arabskim kalifem Bagdadu, który, jak podejrzewał, knuł z Mongołami, żeby go obalić (szczerze powiedziawszy, nie jest to wykluczone, chociaż byłoby to raczej nieopłacalne dla wszystkich zainteresowanych). A w 1217 roku, kiedy Muhammad podjął nieudaną próbę zajęcia Bagdadu, jego wojsko zgubiło się w górskich śniegach, przez co prawdopodobnie stał się jeszcze bardziej przewrażliwiony na punkcie swojej biegłości militarnej.

Co więcej, może po prostu nie doceniał zagrożenia ze strony Czyngis-chana. To dobry przykład, dlaczego powinno się zaczekać, dopóki nie zdobędzie się więcej informacji, żeby nie zrobić czegoś pochopnie: gdy pozbawieni bród mongolscy posłowie wracali do Czyngisa z wieściami o prowokacji Muhammada, jeden z emisariuszy szacha kierował się w drugą stronę, niosąc wiadomości dotyczące siły Mongołów. Usłyszawszy, komu się naraził, szach być może zareagował, z grubsza parafrazując: „Och!”.

I tak oto Czyngis-chan wspiął się na szczyt góry Burchan Chaldun w pobliżu miejsca swoich narodzin, gdzie zawsze lubił dumać przed rozpoczęciem wojny, i modlił się przez trzy dni i noce. Później wysłał ostatnią wiadomość do Muhammada – i tym razem na tyle prostą, że naprawdę nie mogła zostać błędnie zinterpretowana: „Szykuj się do wojny. Ruszam na ciebie z hordą, jakiej nie sprostasz”.

Czyngis ruszył na Chorezm w 1219 roku. W 1222 roku Imperium Chorezmijskie zostało starte z mapy świata.

Oceny szalenie się różnią, ale wydaje się prawdopodobne, że Mongołowie mieli ponad sto tysięcy żołnierzy, a szach co najmniej dwa razy

więcej, i do tego walczył na znajomym terenie. Okazało się to nieważne. Muhammad zmarnował tę przewagę, postanawiając czekać na siły mongolskie w murach miasta, przekonany, że Mongołowie są beznadziejni w strategii oblężenia. Szczerze mówiąc, byli w tym kiepscy, ale Muhammad nie wziął pod uwagę tego, że wyjątkowo szybko się uczą. Pierwsze oblężenie (oczywiście miasta Otrar) trwało wiele miesięcy. Później, w przypadku większości innych miast, trwało kilka tygodni albo dni.

Mongolska armia była sprawna, mobilna, zdyscyplinowana i inteligentnie dowodzona. Czyngis-chan dzielił swoje siły, żeby nacierać z niespodziewanych kierunków, odcinać wsparcie albo jednocześnie atakować liczne cele. Mongołowie traktowali priorytetowo szybką łączność i bez wysiłku zmieniali taktykę, przejmując strategię i uzbrojenie od tych, których podbili. I byli piekielnie bezlitośni.

Mknęli przez Chorezm w przerażającym tempie. Każde oblegane miasto miało szansę się poddać i te, które to zrobiły, były traktowane ze względną wielkodusznością (z naciskiem na „względną”): łupiono je do cna, jasne, ale darowano życie większości mieszkańców. Ale

jeśli się nie poddały albo później podejmowały próbę buntu, odpowiedź była brutalna.

W rodzinnym mieście Omara Chajjama, Niszapurze, kiedy w bitwie zginął ulubiony zięć Czyngisa, zrozpaczonej wdowie pozwolono zadecydować o losie mieszkańców: w rezultacie Mongołowie wycięli wszystkich (wyjąwszy kilku utalentowanych rzemieślników) i spiętrzyli siedemnaście tysięcy czaszek w ogromną piramidę. Rzeź trwała dziesięć dni, a później zabito również każdego psa i kota w mieście, po prostu dla podkreślenia sprawy. W Gurgandżu, jednym z nielicznych miast, które broniły się przez kilka miesięcy, Mongołowie przekopali wały i zmienili bieg Amu-darii (podobno na kilka stuleci, jak było wspomniane wcześniej) – i potężna fala wody zmiotła miasto z powierzchni ziemi. Oba te wydarzenia nastąpiły w 1221 roku, w tym samym miesiącu, który, nawiasem mówiąc, musiał być jednym z najbardziej destrukcyjnych w dziejach.

Czyngis znał propagandową wartość terroru i stwierdził, że wykształcony, umiejący czytać i pisać świat islamski służy mu wielką pomocą: zawsze pilnował, żeby wysyłane listy zawierały opowieści o jego podbojach, co zwiększało szanse na to, że następne miasto podda się bez walki.

Jednocześnie starał się szanować religię, często łagodnie traktując ważne miejsca kultu. Pomimo swojej nieokiełznanej brutalności imperium mongolskie było również zaskakująco tolerancyjne i być może Czyngis-chan stworzył pierwsze na świecie prawo wolności wyznania. Oczywiście miało to wymiar praktyczny: jeśli przeciwnicy wiedzieli, że nie będą musieli toczyć świętej wojny, łatwiej przychodziło im dostrzec zalety kapitulacji – co czyniło z mniejszości wyznaniowych potencjalnych sprzymierzeńców. Kiedy w pierwszych miesiącach 1220 roku padło miasto Buchara, ośrodek muzułmańskiej teologii, Czyngis-chan nakazał oszczędzić Wielki Meczet. Nawet osobiście go odwiedził – podobno po raz pierwszy i jedyny wchodząc do podbitego miasta. Fan namiotów i otwartych równin, uznający za boga Wieczne Błękitne Niebo, nie widział w miastach innego sensu jak tylko taki, że warto je zdobywać.

A co z Muhammadem, którego powalająca dyplomatyczna niekompetencja doprowadziła do tego wszystkiego? Zaszył się w Samarkandzie, siostrzanym mieście Buchary, a gdy Buchara padła, zrozumiał, że przyszła na niego czarna godzina. Uciekł z miasta i przez następny rok brał udział w czymś, co można wielkodusznie

opisać jako „wycofywanie się na z góry upatrzone pozycje”, a mniej wielkodusznie jako „zwiewanie co sił w nogach”. Czyngis-chan wysłał dwadzieścia tysięcy żołnierzy, żeby ścigali go po walącym się imperium, z rozkazami, że mają nie wracać, dopóki go nie schwytają albo nie zabiją. Ścigali go do samych wybrzeży Morza Kaspijskiego, gdzie szukał schronienia na kolejnych wyspach. Zmarł na jednej z nich – bez grosza przy duszy, w łachmanach, tracąc zmysły – na zapalenie płuc, w 1221 roku.

Gdyby po śmierci przyczyny swojego gniewu Czyngis-chan powstrzymał swe ataki, może dziś imię Muhammada byłoby tylko historycznym przypisem. Kłopot w tym, że nie powstrzymał. Niszczył Chorezm przez cały rok 1221, a jego okrucieństwa sięgały zenitu. Rozkazy mordowania wszystkich mieszkańców stawiających opór brzmiały jasno, o czym przekonały się miasta Niszpur, Gurgandż, Merw i wiele innych.

I kiedy Imperium Chorezmijskie przestało istnieć, Czyngis-chan… poszedł dalej, pewnie zachwycony, jakie to było łatwe. Choć początkowo nie był zainteresowany rozszerzaniem imperium na zachód, teraz zapragnął się przekonać, ile jeszcze ziem może

podbić. Wchłonął większą część azjatyckiego świata islamskiego i Mongołowie ruszyli na Europę. Po śmierci Czyngis-chana w 1227 roku jego synowie i wnukowie kontynuowali ekspansję. W szczytowym okresie imperium mongolskie było największym lądowym imperium, jakie kiedykolwiek widział świat, rozciągającym się od Polski po Koreę.

Rozpadło się po kilku pokoleniach, podzielone i targane konfliktami wewnętrznymi, jak to zwykle bywa w przypadku imperiów, ale jego spuścizna przez długi czas pokutowała na niektórych obszarach – nawet w dwudziestym wieku. W emiracie Buchary panowanie bezpośrednich potomków Czyngis-chana skończyło się dopiero wtedy, gdy wkroczyli bolszewicy (w roku 1838 brytyjski żołnierz Charles Stoddart, który brał udział w misji dyplomatycznej, żeby pozyskać Bucharę dla sprawy imperium brytyjskiego, powtórzył głupotę Muhammada w mikroskali: bez żadnego powodu obraził emira Nasrullaha, wskutek czego wrzucono go do głębokiego, wielce nieprzyjemnego miejsca zwanego Dołem Robaków, gdzie spędził kilka koszmarnych lat, żywcem zjadany przez owady, zanim w końcu został stracony.

Mongołowie zniszczyli kulturę, historię i pisma w wielu podbitych przez siebie miejscach, spowodowali przesiedlenie całych ludów i wymordowali niezliczone rzesze ludzi. Plusem jest to, że ujednolicenie i stabilizacja tych samych szlaków handlowych, które spowodowały wojnę, przyczyniło się do transkontynentalnej wymiany kulturalnej i pomogło zapoczątkować erę nowoczesności w większej części Eurazji. Minus jest taki, że wymieniano nie tylko kulturę, ale też choroby, łącznie z dżumą, która zabiła kolejne miliony.

I wszystko to dlatego, że człowiek o kruchym ego uznał, że dyplomacja jest dla frajerów i że zwykła propozycja zawarcia umowy handlowej musi być jakimś nikczemnym podstępem. ’Ala ad-Din Muhammadzie II, spieprzyłeś sprawę, mój synu.

4 KOLEJNE IMPONUJĄCE PORAŻKI W STOSUNKACH MIĘDZYNARODOWYCH

Atahualpa

Inkaski władca, który w roku 1532 popełnił podobny błąd jak Montezuma, kiedy stanął w obliczu hiszpańskiej inwazji, z tą różnicą, że udoskonalił pomysł, przed spotkaniem z Hiszpanami upijając się i prowadząc swoich żołnierzy prosto w oczywistą pułapkę.

Vortigern

Władca Brytanii z piątego wieku, nie mogąc sobie poradzić z Piktami po odejściu Rzymian, podobno zaprosił saskich najemników, żeby walczyli dla niego. Sasi postanowili po prostu przejąć władzę.

Francisco Solano López

Paragwajski przywódca, któremu udało się wplątać swój mały kraj w wojnę ze znacznie większymi państwami: Brazylią, Argentyną i Urugwajem. Ocenia się, że w konsekwencji zginęła ponad połowa mieszkańców Paragwaju.

Telegram Zimmermana

W 1917 roku Niemcy wysłały tajną depeszę do Meksyku, proponując przymierze militarne, jeśli Stany Zjednoczone przystąpią do wojny – i obiecując Meksykowi Teksas, Nowy Meksyk i Arizonę. Kiedy Brytyjczycy przechwycili depeszę, to tylko zachęciło USA do wzięcia udziału w wojnie (a Meksyk nawet nie był zainteresowany propozycją).

9

Smród technologii

Przymus eksplorowania i wiecznego szukania nowych horyzontów jest – jak chyba już wspomniałem – jedną z naszych cech charakterystycznych. Właśnie to pragnienie, aby wciąż badać i odkrywać, pchnęło NASA do wystrzelenia w 1998 roku sondy Mars Climate Orbiter w bezkresną pustą czerń kosmosu.

Kilka miesięcy później Mars Climate Orbiter jak ostatni idiota roztrzaskał się na kupie marsjańskich kamieni.

To spektakularny przykład talentu ludzkości do powielania wciąż tych samych błędów. Nieco więcej niż pięć stuleci po tym, jak Krzysztof Kolumb namieszał z jednostkami miar, źle obliczył odległości i osiadł na mieliźnie w Ameryce, ludzie programujący Orbitera pomylili jednostki, źle obliczyli odległości i sonda spadła na Marsa.

Rewolucja naukowa, następny wielki krok ludzkości w naszej podróży przez historię, rozpoczęła się w szesnastym wieku za sprawą listów i książek, jakie wymieniali między sobą filozofowie w Europie. Na początku w zasadzie

była to nie rewolucja, tylko nadrabianie zaległości, odkrywanie na nowo tego, co już zostało odkryte przez wcześniejsze cywilizacje. Ale ręka w rękę z rozwojem podróży, podbojów i handlu – który to rozwój zawsze łaknął nowej wiedzy i nowych rozwiązań technicznych – przez następne kilka stuleci czyniono ogromne postępy w naszym rozumieniu świata. Rewolucja przyniosła nie tylko postęp nauki ale też samo pojęcie nauki jako takiej, z własną metodologią, która nie jest jedynie wariantem „posiadania odrobiny oleju w głowie".

Tempo przemian przyśpieszało, aż w siedemnastym i osiemnastym wieku w miastach na północy Anglii rozpoczęła się, napędzana przez tanią amerykańską bawełnę z niewolniczych plantacji, kolejna rewolucja. Ta była związana z powstaniem manufaktur i wynalezieniem maszyn umożliwiających produkcję na skalę masową – czyli z czymś, co rozprzestrzeniło się po świecie i na zawsze zmieniło nasze miasta, nasze środowisko, naszą gospodarkę i co pozwala nam zamówić na Amazonie masażer do stóp o trzeciej nad ranem, gdy jesteśmy kompletnie pijani.

Początek epoki naukowej, technicznej i przemysłowej dał ludzkości okazje, o jakich

wcześniejsze pokolenia nie mogłyby nawet marzyć. Niestety, ta epoka dała nam również szansę popełniania błędów na nieznaną dotychczas skalę. Kiedy Kolumb pomylił jednostki, był przynajmniej pewny, że zrobił to na Ziemi. Obecnie, jak wykazuje pechowa historia Mars Climate Orbitera, spieprzamy rzeczy również w kosmosie.

Pomyłka wyszła na jaw kilka miesięcy po rozpoczęciu misji, kiedy próby wprowadzenia drobnych zmian w trajektorii, żeby utrzymać sondę na kursie, przyniosły niezupełnie zamierzony skutek. Ale jak bardzo jest źle, stało się jasne dopiero wtedy, gdy sonda dotarła do Marsa i spróbowała wejść na orbitę, prawie natychmiast tracąc kontakt radiowy z NASA.

Późniejsze dochodzenie wykazało, co się wydarzyło: oprogramowanie Orbitera używało standardowych metrycznych niutonów, podczas gdy oprogramowanie naziemne używało jako jednostek anglosaskich funtów-siły. Za każdym razem, gdy odpalano silniki, efekt był cztery razy mocniejszy od zamierzonego – i w konsekwencji Orbiter znalazł się o ponad sto kilometrów bliżej powierzchni Marsa, niż powinien. Podczas próby wejścia na orbitę wpadł w atmosferę i supernowoczesny, wart trzysta dwadzieścia

siedem milionów dolarów statek kosmiczny prawie natychmiast rozpadł się na kawałki.

Musiało to być żenujące dla NASA, ale może znaleźli pociechę w tym, że raczej nie byli sami na polu naukowych i technicznych blamaży. Kolejny przykład pochodzi nie z wyścigu kosmicznego, ale z zupełnie innego wyścigu, kiedy to w roku 1969 amerykańscy naukowcy rywalizowali z radzieckimi, podejmując próby rozwikłania tajemnic rewolucyjnego odkrycia, jakim była całkowicie nowa postać wody.

Było to w apogeum zimnej wojny, niepohamowanego ideologicznego starcia, które obejmowało nie tylko manewry geopolityczne, balansowanie na krawędzi konfliktu nuklearnego i mroczny świat szpiegów. Zimna wojna zrodziła również rywalizację między światem komunistycznym a kapitalistycznym na polu nauki i inżynierii. Nowych przełomowych odkryć w dziedzinie techniki dokonywano w oszałamiającym tempie i pod wielką presją, żeby nie zostać daleko w tyle za wrogiem; w lipcu 1969 roku człowiek stanął na powierzchni Księżyca, wysłany tam przez rząd amerykański poruszony serią radzieckich lotów w kosmos.

Wśród tych wielkich, stanowiących dobry materiał na film przełomów nowa odmiana wody początkowo wydawała się nie więcej niż drobiazgiem. Została odkryta w 1961 roku przez Nikołaja Fiediakina, naukowca pracującego w prowincjonalnym laboratorium daleko od głównych ośrodków naukowych, i uzmysłowiono sobie jej potencjalną wartość, dopiero gdy zainteresował się nią Boris Dieriagin z Instytutu Chemii Fizycznej w Moskwie. Dieriagin szybko powtórzył doświadczenia Fiediakina i, jak można się było spodziewać, zaczął przypisywać sobie całą zasługę. Poza Związkiem Radzieckim zainteresowanie było znikome, dopóki w 1966 roku nie zaprezentował swojego odkrycia na konferencji w Anglii. Wtedy międzynarodowe środowisko naukowe zwróciło na nie uwagę. Wyścig trwał.

„Anormalna woda”, zwana również „potomstwem wody”, miała nadzwyczajne właściwości. Fiediakin i Dieriagin stwierdzili, że proces skraplania i przepuszczania zwykłej wody przez superwąskie, ultraczyste kwarcowe rurki kapilarne powoduje radykalną zmianę jej chemicznych właściwości. Anormalna woda zamarzała nie w temperaturze zera stopni, ale dopiero przy minus czterdziestu stopniach

Celsjusza. Punkt wrzenia był jeszcze bardziej ekstremalny: co najmniej sto pięćdziesiąt, a może nawet sześćset pięćdziesiąt stopni. W zasadzie trudno nazwać ją cieczą, bo była bardziej lepka niż woda, gęstsza i tłusta – niektóre opisy mówią, że przypominała wazelinę. Gdy cięto ją ostrzem, pozostawał ślad.

Najpierw w Anglii, a następnie w USA naukowcy zaczęli powtarzać pracę Rosjan. Nie było to łatwe, ponieważ niezbędne do procesu kapilary pozwalały jedynie na jego powolny przebieg, w wyniku czego otrzymywano bardzo małe ilości wody. Niektóre laboratoria nie mogły osiągnąć nawet tego, a inne się ścigały, produkując coraz więcej. Jedno z nich, w Stanach Zjednoczonych, dokonało następnego wielkiego przełomu: wyprodukowano tyle anormalnej wody, że możliwe było zrobienie analizy widmowej w podczerwieni. Wyniki opublikowano w prestiżowym czasopiśmie „Science” w czerwcu 1969 roku, miesiąc przed spacerem Armstronga po Księżycu, i artykuł sprawił, że badania nabrały jeszcze większego tempa. Nie tylko potwierdzono radykalnie odmienne właściwości substancji w porównaniu ze zwyczajną wodą, ale też zaproponowano ich wyjaśnienie: wyniki wskazywały, że to

polimerowa odmiana wody z cząsteczkami H_2O łączącymi się w koronki, co czyniło ją bardziej stabilną. I tak „anormalna woda” stała się znana jako „poliwoda”.

Poliwoda „niewątpliwie rewolucjonizuje chemię”, oznajmił magazyn „Popular Science” w grudniu 1969 roku, szeroko omawiając jej wykorzystanie w systemach chłodzących, jako smaru do silników albo spowalniacza w reaktorach atomowych. To odkrycie wyjaśniło wiele aspektów świata natury: poliwodę znajdowano w glinie, co tłumaczyło, dlaczego glina jest plastyczna, dopóki nie zostanie podgrzana do temperatury zapewniającej usunięcie poliwody. Poliwoda mogła wpływać na pogodę, obsiewając chmury… I z pewnością była obecna w ludzkim ciele.

Odkrycie doprowadziło do powstania zupełnie nowej gałęzi chemii, gdy niektóre laboratoria doniosły, że udało im się otrzymać polimerowe wersje innych cieczy: polimetanol, poliaceton. Co bardziej złowieszcze, istniały obawy, że poliwoda może mieć zastosowania militarne, a nawet sama w sobie być bronią: jej struktura wskazywała, że istnieje ona w niższym stanie energetycznym niż zwykła woda, co oznaczało, że jej kontakt ze zwyczajną wodą

może potencjalnie zapoczątkować reakcję łańcuchową, powodując jej przemianę w postać polimeru. Spekulowano, że jedna kropla poliwody dodana do strategicznego zbiornika albo rzeki może stopniowo przemienić całą wodę w syrop. Zapasy wody całych krajów mogą być zagrożone sabotażem.

Po artykule w „Science” wkroczył rząd USA. Agenci CIA przesłuchali naukowców uczestniczących w badaniach, aby dopilnować, żeby wszystkie przełomowe odkrycia zostały w rękach Amerykanów. O poliwodzie nerwowo dyskutowała prasa, od „New York Timesa” po gazety małomiasteczkowe: czy Stany Zjednoczone są w tyle za Rosjanami? Badania nad poliwodą uzyskały najwyższy priorytet i odpowiednie fundusze. W samym roku 1970 ukazały się setki publikacji naukowych. „Dobra nowina – napisał z ulgą »Wall Street Journal« w 1969 roku, po przyznaniu pierwszych dotacji – Stany Zjednoczone najwyraźniej zniwelowały dystans i Pentagon wspiera finansowo badania nad poliwodą, żeby wysforować się przed Związek Radziecki”.

Pewnie już się domyślasz, prawda? Wszyscy wiemy, o czym jest ta książka; w tym momencie powinno być oczywiste, że historia poliwody nie

skończyła się naukowym triumfem, wzajemnym poklepywaniem się po plecach i Noblami. Ale dopiero na początku lat siedemdziesiątych, po latach badań przeprowadzonych przez najlepszych naukowców w najlepszych laboratoriach na wielu kontynentach, prawda wyszła na jaw.

Nie ma czegoś takiego jak poliwoda. Poliwoda nie istnieje.

W rzeczywistości to, co odkryli Fiediakin i Dieriagin i co naukowcy na całym świecie mozolnie produkowali i badali w każdy możliwy sposób, było substancją, którą trafniej można opisać jako „brudna woda". Wszystkie domniemane cudowne właściwości poliwody wynikały z zanieczyszczeń rzekomo sterylnego sprzętu.

Pewien sceptyczny amerykański naukowiec, Denis Rousseau, uzyskał niemal identyczne widmo poliwody, gdy przeprowadził analizę spektralną własnego potu, który wycisnął ze swojej koszulki po meczu piłki ręcznej. Oto tajemnicza substancja, o którą tak desperacko walczyły mocarstwa epoki zimnej wojny. Pot.

Żenujące.

Oczywiście, od początku nie brakowało głosów sceptycznych – wielu naukowców czuło,

że odkrycie brzmi nieprzekonująco, a jeden nawet oznajmił, że jeśli istnienie poliwody okaże się prawdą, to on rzuci chemię. Ale często trudno jest coś obalić, zwłaszcza gdy zachodzi obawa, że twoja poliwoda nie robi tego, co powinna robić poliwoda, ponieważ coś sknociłeś. Trudności z pozyskaniem więcej niż śladowych ilości, a także gorączkowa atmosfera towarzysząca badaniom naukowym w epoce zimnej wojny sprawiły, że naukowcy na kilku kontynentach po prostu widzieli to, co spodziewali się zobaczyć, i dokonywali spektakularnej nadinterpretacji niejasnych czy sprzecznych wyników. Cała sprawa była naukowym myśleniem życzeniowym.

Nawet po ukazaniu się pierwszych publikacji dementujących istnienie poliwody (również w „Science", w 1970 roku), minęły lata, zanim wszyscy w końcu przyznali, że to jedna wielka pomyłka. Ellison Taylor, jeden ze sceptyków biorących udział w ostatecznym obaleniu mitu poliwody, w 1971 roku w wewnętrznym czasopiśmie „Oak Ridge National Laboratory" napisał: „Od początku wiedzieliśmy, że się mylą, i przypuszczam, że wiedziało o tym wielu innych, którzy się nie zaangażowali w badania, ale żaden z głównych protagonistów poliwody tego nie

przyznawał”. W czerwcu 1973 roku „Popular Science” opublikował artykuł zatytułowany *Jak wyhodować własną poliwodę* (podtytuł: *Niektórzy eksperci twierdzą, że ta rzadka substancja nie istnieje. Oto przepis, jak uzyskać jej tyle, żeby przeprowadzić własne eksperymenty*).

Coś takiego stało się nie po raz pierwszy. Oczywiście we wczesnych stuleciach (jeszcze przed wymyśleniem terminu „nauka”) było mnóstwo popularnych teorii, które później okazywały się błędne – w osiemnastym wieku wierzono w istnienie flogistonu, tajemniczej substancji zawartej we wszystkich ciałach palnych i uwalnianej w trakcie spalania; w dziewiętnastym wieku zakładano istnienie eteru, niewidocznej substancji przenikającej wszechświat i przenoszącej światło. Ale różnica polega na tym, że te koncepcje przynajmniej próbowały wytłumaczyć coś, czego w owym czasie nie można było wyjaśnić w sposób naukowy. I mniej więcej tak powinna działać nauka.

Nauka ma całkiem przyzwoite osiągnięcia dlatego, że (przynajmniej w teorii) zaczyna od sensownego, skromnego założenia, iż większość naszych hipotez o działaniu świata będzie błędna. Próbuje posuwać się generalnie we

właściwym kierunku, ale jest to powolny proces stopniowego eliminowania tego, co nieprawdziwe. Powinien przebiegać następująco: masz koncepcję związaną z działaniem świata i chcąc sprawdzić jej poprawność, zaczynasz od prób udowodnienia, że nie jest poprawna. Jeśli ci się nie uda, powtarzasz próby albo usiłujesz w inny sposób dowieść, że nie masz racji. Po jakimś czasie ogłaszasz światu, że nie udało ci się dowieść, że nie miałeś racji, i w tym momencie wszyscy inni spróbują udowodnić, że się mylisz. Jeśli nikt nie udowodni, że się pomyliłeś, ludzie powoli zaczną akceptować to, że być może masz rację albo w każdym razie mylisz się mniej niż inni.

Naturalnie rzeczywistość wygląda inaczej. Naukowiec, nie mniej niż każdy inny człowiek, jest narażony na podwójne niebezpieczeństwo: przyjmowania założenia, że jego postrzeganie świata jest właściwe, i odrzucania wszystkiego, co jest z tym sprzeczne. Właśnie dlatego wymyślono wzajemną weryfikację, powtarzanie prób i tak dalej, ale systemowi daleko do niezawodności, ponieważ gromadomyślenie, wykorzystywanie koniunktury, nacisk polityczny i ideologiczne klapki na oczach to zjawiska występujące w nauce.

Tak więc może się zdarzyć, że wielu naukowców w różnych instytucjach w różnych krajach zdoła przekonać samych siebie, że widzą tę samą wyimaginowaną substancję. Historia o poliwodzie nie jest jedyna: sześćdziesiąt lat wcześniej światem naukowym wstrząsnęło odkrycie zupełnie nowego rodzaju promieniowania. Te niezwykłe nowe promienie (które w końcu okazały się iluzją) nazwano promieniami N.

Promienie N zostały „odkryte” we Francji, a ich nazwa pochodzi od miasta Nancy, gdzie pracował naukowiec, który pierwszy je opisał – René Blondlot, nagrodzony badacz, powszechnie uważany za doskonałego, sumiennego fizyka eksperymentalnego. Był rok 1903, niespełna dziesięć lat po odkryciu promieni X, więc ludzie mogli się spodziewać, że tu, tam czy gdzieś indziej zostanie odkryty nowy rodzaj promieniowania. Co więcej, jak w przypadku poliwody, w grę wchodziła niemała rywalizacja – promienie rentgenowskie zostały odkryte w Niemczech, więc Francuzi też chcieli się wykazać.

Blondlot odkrył promieniowanie N przez przypadek – prowadząc badania nad promieniowaniem rentgenowskim. Interesowały

go zmiany jasności iskry pod wpływem promieni i jego uwagę przykuło to, że iskra rozbłysła wtedy, gdy nie oddziaływało na nią promieniowanie. Przeprowadził dalsze eksperymenty, zebrał więcej dowodów i wiosną 1903 roku ogłosił swoje odkrycie w relacjach z obrad Francuskiej Akademii Nauk. Nie minęło wiele czasu, a spora część świata nauki dostała hopla na punkcie promieniowania N.

W ciągu kilku następnych lat ponad stu dwudziestu naukowców opublikowało ponad trzysta prac (sam Blondlot był autorem dwudziestu sześciu) o niezwykłych właściwościach promieni N, które niewątpliwie okazały się… intrygujące. Były emitowane przez pewien rodzaj płomieni, podgrzany arkusz żelaza i słońce, a także przez organizmy żywe, jak stwierdził kolega Blondlota, Augustin Charpentier: przez żaby i króliki, przez bicepsy i ludzki mózg. Promienie N przenikały przez metal i drewno i można je było przesyłać miedzianym drutem, ale blokowała je woda i sól kamienna. Mogły być magazynowane w cegłach.

Niestety, nie wszyscy odnieśli sukcesy w wytwarzaniu i obserwowaniu promieni N. Wielu szanowanych naukowców nie zdołało ich wywołać, mimo że Blondlot usłużnie opisywał

swoje metody. Prawdopodobnie niepowodzenia brały się stąd, że promienie były bardzo trudne do wykrycia; Blondlot postanowił pójść dalej i zamiast iskier używał ekranów z fosforyzującą powłoką, która świeciła nieco jaśniej, gdy została wystawiona na działanie promieni N. Kłopot w tym, że zmiana jasności była tak nieznaczna, że dawało się ją zobaczyć tylko w całkowicie zaciemnionym pomieszczeniu, i to dopiero po około trzydziestu minutach, gdy wzrok eksperymentatora przywykł do ciemności. Aha, i najlepiej wtedy, gdy patrzyło się na ekran nie wprost, tylko pod kątem.

Ponieważ oczywiście nie ma szans, żeby po półgodzinie siedzenia w zaciemnionym pomieszczaniu wzrok nie spłatał nam figla, wiele osób dostrzegało zmiany.

Sceptycy, których nie brakowało, nie mogli nie zauważyć jednej znamiennej cechy bzika na punkcie promieniowania N: w zasadzie wszyscy naukowcy, którzy zdołali je wytworzyć, byli Francuzami. Było parę wyjątków w Anglii i Irlandii, ale nikomu w Niemczech czy Stanach Zjednoczonych nie udało się go zobaczyć. Ten stan rzeczy zaczynał budzić nie tylko sceptycyzm, ale i jawną irytację. Gdy Francuska Akademia Nauk przyznała Blondlotowi jedną

z prestiżowych nagród za jego pracę, czołowy niemiecki specjalista od promieniowania, Heinrich Rubens, został wezwany przez kajzera na dywanik, po czym przez dwa tygodnie marnował czas, próbując powtórzyć eksperyment Blondlota, zanim w końcu się poddał, upokorzony.

Wszystko to skłoniło amerykańskiego fizyka Roberta Wooda do złożenia wizyty w laboratorium w Nancy, gdy przybył do Europy na konferencję. Blondlot z zadowoleniem zgodził się go przyjąć i pokazać mu swoje ostatnie odkrycia, ale Woodowi co innego chodziło po głowie. Jedna z właściwości tajemniczych promieni polegała na tym, że załamywał je aluminiowy pryzmat, tak jak szklany załamuje światło, rzucając widmo na ekran. Blondlot z entuzjazmem zademonstrował Woodowi doświadczenie i odczytał wyniki pomiarów w miejscu, gdzie padało spektrum. Wood poprosił o powtórzenie eksperymentu i gdy Blondlot był zajęty, zadbał o właściwą kontrolę naukową – innymi słowy, odstawił mu numer.

Korzystając z ciemności, ukradkiem zabrał aluminiowy pryzmat i schował go do kieszeni. Nieświadom, że w aparacie brakuje ważnego

elementu, Blondlot odczytał wyniki pomiarów spektrum, którego nie miało prawa być.

Wood podsumował swoje odkrycie jesienią 1904 roku w uprzejmie brutalnym liście do „Nature”: „Po ponad trzech godzinach obserwowania różnych eksperymentów nie tylko nie mogę potwierdzić istnienia promieni, ale wręcz jestem głęboko przekonany, że eksperymentatorzy, którzy uzyskali pozytywne wyniki, dali się omamić”. Później zainteresowanie promieniami N spadło, chociaż Blondlot i kilku innych fanatyków zdecydowanych dowieść, że przez cały ten czas nie badali mirażu, brnęło dalej.

Historie o poliwodzie i promieniowaniu N są opowieściami ku przestrodze, że nawet naukowcy mogą paść ofiarą takiego samego braku obiektywizmu, jaki dotyka nas wszystkich. Ale są również opowieściami o nauce… uczącej się na błędach. Chociaż z perspektywy czasu szum wokół iluzorycznych odkryć był dla wielu kompetentnych specjalistów bardziej niż trochę żenujący, żadna z tych manii nie trwała dłużej niż kilka lat, bo w końcu zwyciężał sceptycyzm i twarde dowody. Górą nasi!

Ale jeśli powyższe przykłady są raczej nieszkodliwe, to nie brakuje wielu innych, kiedy

pseudonauka zrobiła znacznie więcej złego niż tylko nadszarpnięcie czyjejś reputacji. Jak na przykład spuścizna Francisa Galtona.

Francis Galton, kuzyn Karola Darwina, bezsprzecznie był geniuszem i erudytą, ale również przerażającym dziwakiem, którego straszne pomysły doprowadziły do strasznych konsekwencji. Dokonał przełomowych odkryć w wielu dziedzinach – był pionierem naukowej statystyki, łącznie z opracowaniem koncepcji korelacji, i jego osiągnięcia w tak odmiennych dyscyplinach jak meteorologia i kryminalistyka wciąż nam towarzyszą w postaci mapy pogody i używania odcisków palców do identyfikowania ludzi.

Miał obsesję na punkcie mierzenia różnych rzeczy i stosowania zasad naukowych do wszystkiego, na co się natknął – wśród jego listów opublikowanych w „Nature” jeden dotyczy liczby pociągnięć pędzlem podczas malowania (policzył je, gdy znudziło go pozowanie do portretu), a inny, z 1906 roku, nosi tytuł „Naukowe zasady krojenia okrągłego ciasta” (pokrótce: nie wycinaj klinów, tylko tnij proste kawałki przez środek, żebyś mógł zsunąć pozostałe połówki, co zapobiegnie wysychaniu).

Ale obsesja Galtona sięgała dalej niż wymyślanie sposobów na urozmaicenie brytyjskich podwieczorków. Jedno z jego najbardziej niesławnych badań polegało na tym, że podróżował po miastach i miasteczkach Wielkiej Brytanii, żeby stworzyć mapę występowania najbardziej atrakcyjnych kobiet. Siadał w miejscach publicznych i używał ukrytego w kieszeni urządzenia zwanego iglicą – naparstka z igłą, która wybijała dziurki w kawałku papieru – żeby rejestrować swoje opinie o seksualnym powabie każdej przechodzącej kobiety. Produktem końcowym była „mapa piękności" kraju, bardzo podobna do map pogodowych, wykazująca, że kobiety w Londynie są najbardziej, a w Aberdeen najmniej atrakcyjne – przynajmniej według pewnego perwersyjnego statystyka, który za pomocą igły schowanej w kieszeni ukradkiem oceniał „ruchalność" kobiet, co może nie jest najbardziej obiektywnym podejściem.

Ta sama kombinacja – przymus mierzenia ludzkich cech i kompletny brak szacunku dla uczuć mierzonych ludzi – doprowadziła Galtona do najbardziej niechlubnego wkładu w naukę światową: stworzenia eugeniki. Galton był święcie przekonany, że geniusz jest dziedziczny,

że jednostka odnosi sukces dzięki swojej wewnętrznej naturze, a nie szczęściu czy okolicznościom. Postulował selektywne rozmnażanie ludzi – popieranie (być może finansowymi gratyfikacjami) małżeństw zawieranych przez osoby najodpowiedniejsze do rozpłodu i silne zniechęcanie osób niepożądanych, słabych na umyśle czy biednych, do płodzenia dzieci.

Na początku dwudziestego wieku eugenika przeżywała ogólnoświatowy rozkwit, z Galtonem (wówczas u kresu życia) postrzeganym jako jej bohater. W trzydziestu jeden stanach USA uchwalono prawo przymusowej sterylizacji – do czasu jego zniesienia, w latach sześćdziesiątych, wysterylizowano ponad sześćdziesiąt tysięcy osób w zakładach psychiatrycznych, głównie kobiet. Podobna liczba ludzi została wysterylizowana w promującej „higienę etniczną” Szwecji, gdzie prawo to obowiązywało do 1976 roku. I oczywiście nazistowskie Niemcy… cóż, wszyscy wiemy, co się stało. Galton bez wątpienia byłby przerażony, gdyby mógł zobaczyć, co robiono w imię stworzonej przez niego „nauki”, chociaż nie umniejszyłoby to zła jego koncepcji.

Albo weźmy Trofima Łysenkę, radzieckiego agrobiologa, którego z gruntu złe pomysły przyczyniły się do głodu w ZSRR i Chinach (o czym była mowa w rozdziale trzecim). W przeciwieństwie do Galtona, Łysenko nawet nie miał naukowego uzasadnienia dla swoich chybionych pomysłów.

Pochodził z biednej rodziny, ale szybko awansował w szeregach radzieckiej agronomii dzięki swoim początkowym sukcesom w stymulowaniu wzrostu nasion bez potrzeby siewu ozimego. W końcu został faworytem Stalina i zyskał taką władzę, że zaczął narzucać swoje koncepcje reszcie radzieckiego środowiska naukowego.

Te koncepcje nie były dobre – łagodnie rzecz ujmując – ale przemawiały do ideologicznych przekonań jego komunistycznych panów. Mimo że w latach trzydziestych genetyka była powszechnie uznaną dyscypliną, Łysenko całkowicie ją odrzucił, a nawet zaprzeczał istnieniu genów, ponieważ geny promowały indywidualistyczne postrzeganie świata. Genetyka sugerowała, że cechy organizmów są stabilne i niezmienne, natomiast Łysenko forsował pogląd, że poprzez zmianę środowiska można udoskonalać organizmy, a następnie

przekazywać udoskonalone cechy potomstwu. Dowodził, że w odpowiednim środowisku jeden gatunek roślin może zmienić się w drugi. Instruował rolników, że należy gęsto wysiewać nasiona, ponieważ rośliny tej samej „klasy” nie będą ze sobą konkurować.

Nic z tego nie było prawdą – co więcej, były to oczywiste bzdury i próby stosowania tych teorii w praktyce prowadziły do wymierania upraw. Nie przeszkadzało to Łysence wykorzystywać swojej władzy politycznej i dławić wszelkiej krytyki – do tego stopnia, że tysiące radzieckich biologów zwolniono z pracy, uwięziono albo nawet zabito, gdy odmawiali porzucenia genetyki na rzecz łysenkizmu. Dopiero po ustąpieniu Chruszczowa w 1964 roku innym naukowcom udało się w końcu przekonać partię, że Łysenko jest szarlatanem. Jego dokonania przyczyniły się do śmierci milionów ludzi i cofnęły biologię w Związku Radzieckim o dziesiątki lat.

Za błędami Łysenki stał komunizm, następny przykład będzie natomiast czysto kapitalistyczny – oto opowieść o człowieku, który w ciągu jednego dziesięciolecia popełnił nie jeden, ale dwa najbardziej katastrofalne błędy w historii nauki.

Na manowce

W 1944 roku genialny inżynier, chemik i wynalazca Thomas Midgley, człowiek, którego odkrycia w znacznym stopniu przyczyniły się do ukształtowania dzisiejszego świata, zmarł w swoim domu w wieku pięćdziesięciu pięciu lat.

Śmierć w domowych pieleszach wydaje się całkiem lekka i spokojna, pomyślisz. Nie w tym wypadku. Midgley cierpiał na chorobę Heinego-Medina, był sparaliżowany od pasa w dół, upokorzony tym, że jest całkowicie zależny od pomocy innych. Zaprzągł więc swój talent wynalazcy, żeby zaprojektować skomplikowany system bloczków umożliwiający mu samodzielne siadanie. Szło idealnie, do pewnego listopadowego dnia, kiedy coś poszło trochę nie tak i znaleziono go uduszonego przez linki jego własnego wynalazku.

W tym sposobie śmierci kryje się ponura ironia, ale wcale nie dlatego Tom Midgley został bohaterem tej książki. Jest tutaj, ponieważ – nie do wiary – to, że zginął w łóżku, z powodu własnego wynalazku, nie przebija dwóch największych błędów w jego życiu.

Co więcej, Midgley pod wieloma względami zajmuje wysokie miejsce w rankingu sprawców

największych globalnych katastrof wszech czasów.

Był cichym, bystrym człowiekiem, który większą część życia spędził w mieście Columbus w stanie Ohio. Pochodził z rodziny wynalazców, był z wykształcenia chemikiem, ale miał dryg do rozwiązywania problemów z całego wachlarza dyscyplin – z jednej strony, dzięki ich systematycznemu analizowaniu, a z drugiej, dzięki tendencji do strzelania na chybił trafił, ale do skutku, dopóki coś nie zaskoczyło.

W drugiej i trzeciej dekadzie dwudziestego wieku usiłował rozwiązać problem „stukania" w silnikach samochodowych – uporczywego jąkania i terkotania, szczególnie przy dużym obciążeniu. To nie tylko wkurzało użytkowników pierwszych automobili, ale również powodowało większe zużycie paliwa, co było główną troską w czasie, kiedy sądzono, że światowe zasoby ropy naftowej wyczerpią się raczej wcześniej niż później.

Midgley i jego szef Charles Kettering przypuszczali, że przyczyną stukania jest nierównomierne spalanie paliwa, a nie wada w projekcie silników. Dlatego zaczęli szukać domieszki, która zredukowałaby ten efekt. Początkowo z powodów, które miały

zdumiewająco mało sensu, wpadli na pomysł, że rozwiązaniem jest „kolor czerwony”. Midgley przetrząsnął całe laboratorium, ale czerwonego barwnika w nim nie znalazł. Usłyszał jednak, że jodyna jest czerwonawa i dobrze rozpuszcza się w ropie, więc stwierdził: „Aha, a co mi tam”, zmieszał jodynę z benzyną i wlał do silnika.

Poskutkowało.

Był to ślepy traf, ale zyskali dowód, że są na właściwym tropie. Stosowanie jodyny okazało się niewykonalne, ponieważ była zbyt droga i zbyt trudna do wyprodukowania w potrzebnych ilościach. Ale to odkrycie wystarczyło, by przekonać Midgleya i jego zespół, że powinni kontynuować pracę. W następnych latach wypróbowali – zależnie, w które doniesienia uwierzycie – od stu czterdziestu czterech do trzydziestu trzech tysięcy różnych substancji. Przedział wydaje się raczej mało precyzyjny, ale stojące za badaniami firmy nie bez przyczyny mówiły o nich w niejasny sposób.

Chodziło o to, że ostatecznie wybór padł na ołów (konkretnie: płynny związek chemiczny zwany tetraetyloołowiem – TEL). A ołów jest śmiertelną trucizną. Powoduje między innymi wysokie ciśnienie krwi, niewydolność nerek,

deformacje płodu i uszkodzenia mózgu. Jest wyjątkowo szkodliwy dla dzieci.

Historia Midgleya jest często przytaczana jako przykład niezamierzonych konsekwencji, które… Nie, niezupełnie. Oczywiście, nie stawiał sobie za cel zatrucia wielu pokoleń ludzi na całej kuli ziemskiej, ale też nikt zaangażowany w produkcję i spopularyzowanie benzyny ołowiowej nie zagrał kartą „O nie, cóż za straszna i nieprzewidziana niespodzianka”.

Toksyczność ołowiu nie była niczym nowym – wiedziano o tym dosłownie od tysięcy lat. Zanim w 1923 roku pierwsza stacja benzynowa została zaopatrzona w nowe przeciwstukowe paliwo, eksperci medyczni ostrzegali, że to naprawdę straszny pomysł. William Clark z Amerykańskiej Publicznej Służby Zdrowia napisał, że używanie tetraetyloołowiu stanowi poważne zagrożenie dla zdrowia publicznego, i przepowiedział, całkiem trafnie: „Jest wysoce prawdopodobne, że na ruchliwych drogach spaliny zawierające tlenek ołowiu pozostaną w dolnej warstwie”.

W jeszcze bardziej niepokojąco trafnej prognozie, z 1924 roku, czołowy toksykolog przewidział, że „zatrucie ołowiem będzie postępować tak podstępnie, iż benzyna ołowiowa

znajdzie się w powszechnym użytku, zanim społeczeństwo i rząd przejrzą na oczy”.

I rzecz w tym, że ołów wcale nie był jedynym dostępnym rozwiązaniem. W ciągu kilku lat po przełomie z jodyną zespół Midgleya znalazł mnóstwo skutecznych substancji przeciwstukowych. Jedna była imponująca w swojej prostocie: etanol. Alkohol, będący paliwem sam w sobie, jest dobry nie tylko do sterylizowania ran fizycznych i czasowego znieczulania ran emocjonalnych, ale również sprawdza się jako domieszka przeciwstukowa – z tą dodatkową korzyścią, że produkowanie go na skalę masową jest niesłychanie łatwe i tanie.

Tak naprawdę zespół Midgleya przez lata popierał etanol jako idealne rozwiązanie problemu stukania. Dlaczego zatem zrezygnowano z niego na rzecz substancji, która, o czym wszyscy wiedzieli, jest piekielnie toksyczna? Z pewnością zaskoczy cię odpowiedź, że przyczyną były pieniądze.

Otóż produkcja etanolu była po prostu zbyt tania i zbyt łatwa. I co najważniejsze, nie można go było opatentować. Gigant General Motors w roku 1918 zakupił Delco, firmę Charlesa Ketteringa, i jego zespół badawczy pracował pod presją – mieli pokazać, że faktycznie potrafią

generować zyski, a nie tylko bujać w obłokach. Etanol – substancja, którą można produkować w domu, bez nadziei na patent – nie spełniał warunków. Dlatego zaproponowali ołów.

Jeśli sądzisz, że Thomas Midgley był po prostu nieszkodliwym wynalazcą, którego praca została niewłaściwie wykorzystana przez plutokratów: nie. W rzeczywistości to on sugerował i mocno zalecał używanie ołowiu. Nawet wykonał obliczenia, że po dodaniu ołowiu można o trzy centy zwiększyć cenę galonu benzyny, i przewidywał, że dzięki agresywnej kampanii reklamowej koncern może zdobyć dwadzieścia procent rynku paliwowego. W tej sprawie, podobnie jak w bardzo wielu innych, też się pomylił, zbyt nisko oceniając powodzenie swojego wynalazku. Benzyna ołowiowa – pod nazwą firmową Ethyl, bez wzmianki o ołowiu – podbiła osiemdziesiąt procent amerykańskiego rynku.

Przez cały czas General Motors i Midgley z uporem zapewniali, że paliwo jest nieszkodliwe, chociaż nie brakowało mnóstwa czegoś, co można nazwać sygnałami ostrzegawczymi. Tak naprawdę były to ogromne błyskające neonowe znaki ostrzegawcze. Jak to, że w lutym 1923 roku, kiedy ethyl wszedł do

sprzedaży, sam Midgley musiał wziąć miesiąc wolnego z powodu zatrucia oparami ołowiu. Albo jak to, że umierało wielu pracowników zakładów produkujących paliwo. W rafinerii Bayway w New Jersey pięć osób zmarło wskutek zatrucia ołowiem, a trzydzieści pięć zostało hospitalizowanych, wiele z objawami obłędu wywołanego neurotoksycznym działaniem ołowiu. „Pacjent jest ogromnie pobudzony, krzyczy, skacze z łóżka, rozbija meble i zachowuje się jak w *delirium tremens*”, odnotowano w jednym z raportów. Sześć osób zmarło w zakładach New Jersey Deepwater, gdzie halucynacje powodowane przez ołów występowały tak powszechnie, że pracownicy zmienili nazwę na „Dom motyli”[5]. Przypadki śmiertelne doprowadziły do tego, że sprawa trafiła na pierwszą stronę „New York Timesa”. W obliczu kryzysu public relations zawieszono sprzedaż ethylu i lekarz naczelny USA szybko powołał komisję do zbadania zagrożeń.

A później w niezwykłej wolcie, która stała się wzorcem dla całej gamy późniejszych przekrętów w przemyśle aż do końca dwudziestego wieku, koncerny stojące za Ethyl Gasoline Corporation – General Motors, Standard

Oil i chemiczny kolos DuPont – zdołały obrócić ten kryzys PR w PR-owe zwycięstwo.

Była to klasyczna sytuacja, gdy ludzie, którzy są czemuś winni, odpowiadają na zupełnie niewłaściwe pytania. Społeczeństwo tak mocno skupiło się na ofiarach procesu produkcji, że w końcu była to jedyna kwestia, w jakiej członkowie komisji wydali werdykt. Uwierzywszy w zapewnienia, że w fabrykach zostaną podjęte dodatkowe środki bezpieczeństwa – Midgley zeznał, że tetraetyloołów jest „trucizną nie tyle niebezpieczną, ile podstępną" – postanowili nie zakazywać produkcji. Znacznie ważniejsza kwestia wpływu wdychanych spalin na społeczeństwo nie została rozwiązana: zgodnie z uświęconą tradycją odłożono ją na później, do zbadania w przyszłości. Komisja ogłosiła swą decyzję społeczeństwu i politykom, wystawiając benzynie ołowiowej całkowicie czystą kartę zdrowia.

Jeśli się zastanawiasz nad tymi „przyszłymi badaniami", to przez następne cztery dekady prawie wszystkie były albo finansowane przez producentów benzyny ołowiowej, albo prowadzone przez ich personel. Szok, badania nie przyniosły rozstrzygnięcia! To było wszystko,

co musieli zrobić producenci benzyny ołowiowej, żeby zamknąć sprawę: po prostu zostawić ją nierozstrzygniętą, bo przecież zakaz sprzedaży tego cudownego paliwa, które umożliwiło spełnienie tylu marzeń, byłby bardzo, bardzo zły i niestosowny.

Ponieważ kiedy benzyna ołowiowa została oczyszczona z wszelkich zarzutów, możliwości nie miały granic. Nie tylko zlikwidowała stukanie w silnikach, ale otworzyła drogę do budowy nowej generacji potężniejszych silników, które przemieniły samochody z praktycznych, lecz niezgrabnych gratów w szybkie, kształtne, eleganckie obiekty pożądania. Agresywna kampania reklamowa grała na lękach, że będziesz się telepać gównianym rzęchem, jeśli nie zaczniesz używać benzyny ołowiowej; konkurencyjne produkty, łącznie z tymi wykorzystującymi etanol – substancję, którą zespół Midgleya popierał przez lata – były wyszydzane jako niskojakościowe. Kiedy w innych krajach, które wprowadzały paliwo ołowiowe, pojawiały się obawy co do jego skutków zdrowotnych, rozwiewało je stwierdzenie, że przecież według Amerykanów jest OK; lekarz naczelny kraju Hugh Cumming kontaktował się ze swoimi odpowiednikami za

granicą, by przekonywać, że paliwo jest wyjątkowo bezpieczne.

Wspierana przez rozpaczliwie złą naukę, pogoń za pieniądzem i fakt, że potężne samochody są super i pozwalają na dłuższe podróże, benzyna ołowiowa szybko stała się standardem na całym świecie. Dzięki postępowi w wydobyciu ropy naftowej nie doszło do zapowiedzianego niedostatku paliwa – co było przyczyną rozpoczęcia prac nad substancjami przeciwstukowymi – więc zyski z ołowiu szły na konstruowanie jeszcze potężniejszych silników. Trwała era motoryzacji i na całym świecie coraz więcej ludzi wdychało opary ołowiu.

Problem polega na tym, że ołów się nie rozpada. Podczas gdy niektóre inne toksyny z czasem stają się mniej niebezpieczne, ołów się kumuluje – w powietrzu, glebie, roślinach, zwierzętach i ludziach. W roku 1983 brytyjska Królewska Komisja do spraw Zanieczyszczenia Środowiska podsumowała swój raport stwierdzeniem, że „jest wątpliwe, czy jakakolwiek część powierzchni Ziemi albo jakakolwiek forma życia pozostaje nieskażona ołowiem”. Szczególnie zagrożone są dzieci, gdyż ich organizm wchłania pięć razy więcej ołowiu niż organizm osoby dorosłej. Ocenia się, że

w samych Stanach Zjednoczonych, w okresie od lat dwudziestych do siedemdziesiątych dwudziestego wieku, siedemdziesiąt milionów dzieci miało toksyczny poziom ołowiu we krwi.

Skutki zatrucia są poważne. Światowa Organizacja Zdrowia szacuje, że co roku na całym świecie setki tysięcy ludzi umiera z powodu zatrucia ołowiem. Poza negatywnym wpływem na zdrowie fizyczne, ołów ma też działanie neurotoksyczne – powoduje niski iloraz inteligencji wśród dzieci narażonych na jego oddziaływanie i może być przyczyną dwunastu procent niepełnosprawności intelektualnych na całym świecie.

Wywołuje również problemy behawioralne, takie jak zachowania aspołeczne, jedną z najkoszmarniejszych konsekwencji dokonań Thomasa Midgleya. Należy podkreślić, że obecnie jest to tylko niepotwierdzona hipoteza, ale wielu badaczy wskazuje, że ogromny wzrost przestępczości na całym świecie w okresie powojennym praktycznie zbiega się ze wzrostem skażenia ołowiem.

Poziom przestępczości, który dał początek wielu naszym swobodnym założeniom kulturowym – zdziczałe nastolatki, piekło ubogich części śródmieścia i całe to gadanie

o „superdrapieżnikach” w latach dziewięćdziesiątych – rzeczywiście jest historyczną anomalią, globalnym skokiem w górę, trudnym do wyjaśnienia i (miejmy nadzieję) należącym do przeszłości. Ale w kolejnych krajach, niezależnie od ich kondycji społecznej czy kierunku politycznego, przestępczość zaczęła wzrastać jakieś dwie dekady po wprowadzeniu na rynek benzyny ołowiowej – innymi słowy, kiedy dzieci poważnie narażone na działanie ołowiu stały się nastolatkami i dwudziestokilkulatkami. I korelacja działa też w przeciwną stronę: w ostatnich dziesięcioleciach nastąpił spadek liczby brutalnych przestępstw na całym świecie, znów niezależnie od polityki społecznej danego kraju. Jednak wskaźnik przestępczości zaczął spadać dopiero jakieś dwadzieścia lat po tym, jak na konkretnym obszarze zakazano używania benzyny ołowiowej – następowało to szybciej tam, gdzie zakaz wprowadzono wcześniej, i szybciej w krajach, które wprowadziły go z dnia na dzień, a nie stopniowo.

Dla przypomnienia, korelacja nie ma związku z przyczynowością i wciąż nie jest niczym więcej niż domysłem opartym na posiadanych informacjach. Pomijając kwestie etyczne, gdyby

naszprycować ołowiem grupę niemowlaków, a później czekać dwadzieścia lat, żeby zobaczyć, ile przestępstw popełnią, to też nie musiałoby stanowić dowodu. Ale jeśli dodać do tego być może miliony śmiertelnych ofiar zatrucia ołowiem, zanieczyszczenie każdego zakątka planety i to, że wiele pokoleń dzieci miało we krwi truciznę obniżającą ich inteligencję (nawiasem mówiąc, te pokolenia RZĄDZIŁY ŚWIATEM PRZEZ OSTATNIE CZTERDZIEŚCI LAT), istnieje możliwość, że spowodowaliśmy globalną falę przestępczości, która trwała przez dziesiątki lat i ukształtowała nasze postrzeganie społeczeństwa, tylko dlatego, że Thomas Midgley chciał zarobić trzy centy więcej na galonie… Cóż, to bardzo długi i bardzo ponury żart.

Sam Midgley nie spoczął na laurach po wynalezieniu benzyny ołowiowej. Wieczny majsterkowicz, szybko zajął się czymś innym – a miał jeszcze do popełnienia drugi katastrofalny błąd.

W przeciwieństwie do wieloletnich poszukiwań lepszego paliwa, tym razem poszło szybko: według korporacyjnej legendy, od chwili postawienia sobie problemu Midgleyowi zajęło tylko trzy dni znalezienie rozwiązania. I w przeciwieństwie do ołowiu, tu naprawdę

mamy przykład niezamierzonych konsekwencji: w tym wypadku nie było ignorowania złowieszczych ostrzeżeń ani maskowania ryzyka. Wynikły one po prostu z założenia, przy braku jakichkolwiek dowodów, że wszystko będzie dobrze.

Tym razem problemem, przed jakim stanął Midgley, było chłodzenie. Był rok 1928, niedługo po wynalezieniu chłodziarek (wcześniej kwitł handel lodem: ogromne ilości lodu wycinano i przewożono z zimnych części świata, żeby ludzie w tych cieplejszych częściach mogli przechowywać w niskich temperaturach i schładzać różne rzeczy). Kłopot w tym, że wszystkie substancje używane do chłodzenia były (a) drogie i (b) wyjątkowo niebezpieczne. Miały też zwyczaj zapalać się albo zatruwać ludzi w przypadku wycieku – rok po tym, jak Midgley rozpoczął pracę nad schładzaniem, wyciek chlorometanu w szpitalnej chłodni w Cleveland zabił ponad sto osób.

Nic dziwnego, że przeszkodziło to w upowszechnieniu tej metody schładzania.

Cel był prosty: znaleźć tanią, niepalną, nietoksyczną substancję, która spełni taką samą rolę, jak dotychczas znane czynniki chłodzące. Koncern General Motors właśnie kupił firmę

chłodniczą, którą przemianowano na Frigidaire; wiedzieli, że jeśli rozwiążą problem, zarobią kupę kasy.

Tym razem Midgley obrał bardziej naukowe podejście, bez zdawania się na przypadek (ostatecznie miał już ponad dziesięć lat doświadczenia na polu chemii). Badając właściwości chemiczne znanych czynników chłodzących, szybko uznał fluor za najbardziej prawdopodobnego kandydata, najlepiej w połączeniu z węglem, by ten zneutralizował toksyczność fluoru. Jedną z pierwszych substancji, które w wyniku eksperymentów otrzymał zespół Midgleya, był dichlorodifluorometan. W dzisiejszych czasach jest lepiej znany pod nazwą handlową: freon.

Midgley zademonstrował jego bezpieczeństwo na zebraniu Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego, teatralnie wdychając głęboko freon i wydmuchując go, by zgasić świeczkę. Nietoksyczny, niepalny i doskonały czynnik chłodzący. Idealny. Co więcej, Midgley odkrył nie tylko jeden nowy związek, ale całą grupę związków o podobnych właściwościach. Stały się one znane jako chlorofluorowęglowodory – albo, używając powszechnie znanego skrótu, CFC.

Niestety, na początku lat trzydziestych nikt tak naprawdę nie wiedział, co to jest powłoka ozonowa ani jak bardzo ważną rolę odgrywa ta cienka warstwa cząsteczek tlenu w stratosferze, osłaniając powierzchnię Ziemi przed szkodliwym promieniowaniem ultrafioletowym. Z pewnością nikt nie miał pojęcia, że CFC, całkowicie nieszkodliwe na poziomie morza, stają się znacznie bardziej niebezpieczne, kiedy dostaną się do górnych warstw atmosfery, gdzie promieniowanie ultrafioletowe spowoduje ich rozpad na elementy składowe – i że jeden z tych elementów, chlor, będzie niszczyć ozon, okradając planetę z jej ochronnej tarczy.

I na pewno nikt nie przewidział, że CFC będą stosowane nie tylko do chłodzenia. Ludzie bardzo szybko wykombinowali, że te nowe, ekscytujące i wyjątkowo bezpieczne związki chemiczne mają mnóstwo innych zastosowań – przede wszystkim jako czynnik nośny w aerozolowych kosmetykach. Kolejna ponuro-zabawna ironia losu: podczas drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu CFC były powszechnie używane do rozpylania środków owadobójczych, łącznie z innym klasycznym przykładem wielkoskalowego błędu w dziedzinie

chemii, DDT, koszmarem powodującym wady wrodzone.

Po wojnie aerozole naprawdę wystartowały, od rozpylania farb po dezodoranty. Wystartowały też w inny, bardziej dosłowny sposób: ogromne ilości CFC, jakie zaczęliśmy uwalniać, dotarły do stratosfery, gdzie zabrały się do demontowania warstwy ozonowej.

Dobra wiadomość jest taka, że tym razem ludzkość zrozumiała problem, zanim zdążył spowodować wymieranie na skalę masową. Hurra! Punkt dla ludzkości! W latach siedemdziesiątych (gdy zaczęto stopniowo wycofywać benzynę ołowiową) odkryto rosnącą dziurę w powłoce ozonowej i stwierdzono jej związek z CFC. Tu nadeszło ostrzeżenie: jeśli nie zahamuje się procesu niszczenia ozonosfery, ludzie będą coraz bardziej narażeni na szkodliwe promieniowanie ultrafioletowe, co szybko spowoduje dramatyczny wzrost zachorowalności na raka i ślepoty.

I tak, począwszy od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, świat zabrał się do odkręcania spuścizny Thomasa Midgleya – oba jego główne wynalazki są albo zakazane, albo stopniowo wycofywane w większości krajów. Wciąż mamy w środowisku ogromne ilości ołowiu – ołów się

nie rozpada ani nie znika, a usuwanie go jest koszmarnie trudne – ale dobra wiadomość jest taka, że przynajmniej w większości miejsc na świecie dzieci nie wdychają go w takich ilościach jak kiedyś i u wielu z nich ilość ołowiu we krwi spadła poniżej toksycznego poziomu. Hurra! Warstwa ozonowa powoli się naprawia, od chwili gdy wprowadzono zakaz stosowania CFC: jak dobrze pójdzie, w latach pięćdziesiątych dwudziestego pierwszego wieku powinna wrócić do stanu sprzed wynalazków Midgleya. Górą nasi!

Tymczasem Midgley ma ustaloną reputację: był „jednoosobową katastrofą ekologiczną”, jak nazwano go w „New Scientist”; człowiekiem, który, słowami historyka J.R. McNeilla (w książce *Something New Under the Sun*), „wywarł większy wpływ na atmosferę ziemską niż jakikolwiek inny pojedynczy organizm w historii życia na Ziemi”.

Ale jest również prawdą, że ukształtował współczesny świat, często w niespodziewany sposób. Dzięki paliwu przeciwstukowemu samochody w wielu częściach świata stały się dominującym środkiem transportu i nie tylko narzędziem, ale również wyznacznikiem statusu, potężnym symbolem osobistej tożsamości

i indywidualizmu. CFC nie tylko przyczyniły się do powstania domowej lodówki, ale też były używane w klimatyzatorach, bez których wiele ważnych miast świata po prostu nie miałoby szans istnieć w swojej obecnej postaci. Jego dwa wynalazki nawet stworzyły tandem: potężniejsze pojazdy z wbudowaną klimatyzacją, co umożliwiło regularne i komfortowe pokonywanie dużych odległości. Znaczne połacie amerykańskiego Zachodu i duże obszary Bliskiego Wschodu, biorąc jedynie dwa przykłady, prawdopodobnie wyglądałyby zupełnie inaczej, gdyby nie wynalazki Thomasa Midgleya.

Poza tym nastąpił efekt domina w szerzej pojętej kulturze – na przykład w Ameryce kina należały do pierwszych użytkowników klimatyzacji, co pomogło zwiększyć ich popularność podczas wielkiego kryzysu, co przyczyniło się do rozwoju złotej ery Hollywood, co być może zdefiniowało formę rozrywki dwudziestego wieku. Zasadniczo można powiedzieć, że Thomas Midgley wynalazł Los Angeles: miasto, które chyba nie mogłoby się obyć bez samochodów i klimatyzacji i które jest ojczyzną przemysłu filmowego.

Kiedy więc następnym razem będziesz siedzieć w kinie i oglądać jakiś durny hollywoodzki film o gliniarzu, który łamie zasady, walcząc z falą przestępczości, pamiętaj, że prawie wszystko, czego właśnie doświadczasz, może wynikać stąd, iż Thomas Midgley uważał, że wynalezione przez niego związki chemiczne będą nieszkodliwe i dadzą mu zarobić trzy centy na galonie.

6 NAUKOWCÓW, KTÓRZY ZOSTALI ZABICI PRZEZ WŁASNE EKSPERYMENTY

Jesse William Lazear

Amerykański lekarz Jesse William Lazear udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że żółta febra jest przenoszona przez komary – pozwalając się ukąsić zarażonemu owadowi. Zmarł, potwierdzając prawdziwość swojej teorii.

Franz Reichelt

Ten austriacki krawiec postanowił w roku 1912 przetestować zaprojektowany i uszyty przez siebie płaszcz-spadochron, skacząc z wieży Eiffla (podobno miał użyć manekina). Poniósł śmierć na miejscu.

Daniel Alcides Carrión García

Peruwiański student medycyny był zdecydowany zbadać chorobę Carrióna. Oczywiście wtedy nie nazywała się chorobą Carrióna. Zyskała nazwę po tym, jak wstrzyknął sobie krew z brodawek ofiary tej choroby i zmarł.

Edwin Katskee

Lekarz, który w 1936 roku postanowił się dowiedzieć, dlaczego kokaina – wówczas używana jako środek znieczulający – ma negatywne efekty uboczne. Wstrzyknął sobie tonę koki, spędził noc, gryzmoląc na ścianach swojego gabinetu coraz bardziej nieczytelne notatki, i zmarł.

Carl Wilhelm Scheele

Genialny szwedzki chemik, który odkrył wiele pierwiastków – łącznie z tlenem, barem i chlorem – ale miał nawyk smakowania każdego nowego odkrycia. Zmarł w roku 1786 po skosztowaniu substancji zawierających ołów, kwas fluorowodorowy i arszenik.

Clement Vallandigham

Prawnik, pionier kryminologii. Broniąc oskarżonego o morderstwo, udowodnił, że rzekoma ofiara mogła sama przypadkowo się postrzelić… i przypadkowo postrzelił siebie. Zmarł, ale jego klient został uniewinniony.

10

Krótka historia ślepoty na to, co nadchodzi

Współczesny świat jest, bądźmy szczerzy, dezorientującym miejscem.

Żyjemy w czasach, kiedy zmiany techniczne i społeczne zachodzą z zawrotną szybkością. Radykalne przeskoki w naszym sposobie życia następują w ciągu jednego pokolenia albo dziesięciolecia, a czasami w niespełna rok. Wszystko wokół wydaje się nowe, ale równocześnie trudno się pozbyć wrażenia, że w coraz większym tempie tylko powtarzamy błędy naszej przeszłości. Jakoś nadal nie potrafimy dostrzec, że znów nam zagrażają.

Jak mówiliśmy w rozdziale pierwszym, nasza zdolność dokładnego przewidywania przyszłości i planowania nigdy nie była wielka, a przyśpieszające w ciągu ostatnich stuleci tempo zmian tylko pogorszyło sprawę. Kiedy przez cały czas otaczają nas lśniące, zaskakujące nowe rzeczy, heurystyka używana do dokonywania ocen zaczyna zawodzić. Gdy jesteśmy bombardowani coraz większym natłokiem informacji, nie powinno dziwić, że jeśli zaczyna

ich być zbyt wiele do przetworzenia, zaczynamy wyławiać te strzępy, które potwierdzają nasze poglądy. Jak ktokolwiek z nas może powiedzieć, czy padamy ofiarą efektu Dunninga-Krugera, skoro wciąż musimy uczyć się robienia nowych rzeczy?

I tak oto żyjemy w epoce niezliczonych nowości, których nie zdołaliśmy przewidzieć, albo zignorowaliśmy ludzi, którzy je przewidzieli. Ale niestety, nie wszystkie z tych nowości są dobre. Zapytajcie Mary Ward.

Mary Ward była pionierką pod wieloma względami. Urodziła się w 1827 roku w irlandzkim hrabstwie Offaly, w arystokratycznej rodzinie, i to nie byle jakiej: od dzieciństwa obracała się wśród naukowców, zarówno krewnych, jak i ich gości. Miała dość szczęścia, że nie tylko podsycali jej zainteresowania naukowe, ale również je finansowali. Gdy była dzieckiem, rodzice, widząc jej zaciekawienie światem przyrody, kupili jej mikroskop – w owym czasie najlepszy w kraju. Był to inspirujący prezent, ponieważ okazało się, że Mary ma rzadką zdolność rysowania tego, co oglądała pod mikroskopem (jako nastolatka naszkicowała również konstrukcję ogromnego teleskopu Leviathan of Parsonstown o średnicy

zwierciadła 183 centymetry – zbudowanego przez jej kuzyna, Williama Parsonsa, byłego przewodniczącego Królewskiego Towarzystwa Nauk – największego teleskopu na świecie do 1917 roku).

W późniejszych latach Mary korespondowała z wieloma naukowcami, którzy widząc jej talent, zamawiali u niej ilustracje do swoich książek. W 1857 roku, rozczarowana jakością publikacji poświęconych mikroskopii, postanowiła wydać książkę ze swoimi rycinami. Obawiając się (nie bez powodu), że żaden wydawca nie podejmie się tego, ponieważ jest kobietą, sama wydała dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy. Sprzedały się i książka przyciągnęła zainteresowanie wydawcy, który uznał, że z uwagi na piękno ilustracji i jakość tekstów może w tym wypadku warto przymknąć oko na płeć. Opublikowana pod tytułem *The World of Wonders as Revealed by the Microscope*, stała się swego rodzaju sensacją wydawniczą – w ciągu dziesięciu lat ukazało się osiem wznowień, co uczyniło ją jedną z pierwszych książek w kategorii, którą dziś moglibyśmy nazwać popularnonaukową.

Nie był to koniec popularnonaukowej kariery Mary Ward – napisała jeszcze kilka książek, w tym poświęconą teleskopii, towarzyszkę tej

o mikroskopii (w 1862 roku obie zostały zaprezentowane na wystawie w Pałacu Kryształowym); ilustrowała liczne prace naukowe wybitnych naukowców; publikowała artykuły w kilku czasopismach, w tym dobrze przyjęte studium ropuch paskówek; została jedną z trzech kobiet – wśród których była też królowa Wiktoria – figurujących na liście korespondencyjnej Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego. Nigdy nie zdobyła stopnia naukowego, ale na pewno tylko z tej przyczyny, że kobietom nie pozwalano studiować.

Tyle że… chociaż Mary Ward była utalentowaną kobietą i miała niezwykłe życie, wcale nie dlatego dzisiaj o niej pamiętamy. Może powinno być inaczej, ale nie jest – z powodu tego, co się stało w Parsonstown trzydziestego pierwszego sierpnia 1869 roku. Tego dnia czterdziestodwuletnia Mary wybrała się z mężem, kapitanem Henrym Wardem, na przejażdżkę pojazdem parowym. Pojazd był domowej roboty – zawsze otaczali ją naukowcy, więc to oczywiste – zbudowany przez synów jej kuzyna, Williama Parsonsa.

Taka jazda była w owym czasie zupełnie nowym doświadczeniem, pierwszą zapowiedzią nadchodzącej epoki. Napędzany parą pojazd

został wynaleziony wcześniej we Francji, ale minęły lata, zanim skonstruowano coś, co dziś moglibyśmy nazwać samochodem. Ówczesne pojazdy – choć ociężałe, niezdarne i powszechnie podejrzewane o niszczenie dróg – wzbudziły taką sensację, że już w 1865 roku wydano ustawę regulującą korzystanie z nich, ale wciąż były rzadkimi, eksperymentalnymi nowościami. Spośród miliardów ludzi żyjących wówczas na planecie właśnie Mary Ward znalazła się w pierwszym ułamku ułamka ułamka procentu osób jeżdżących „samochodem”.

Zapiski mówią, że pojazd, który toczył się przez centrum Parsonstown z prędkością pięciu i pół kilometra na godzinę, ostro skręcił na rogu Cumberland Street, przy kościele. Może to zwykły pech. Może droga była nierówna, dobra tylko dla koni i wozów. Może nikt nie pomyślał o koncepcji zbyt szybkiego wchodzenia w zakręt, ponieważ wozami konnymi kieruje się inaczej i ryzyko też jest inne. Może Mary, podekscytowana przygodą i przyszłymi możliwościami, po prostu wychyliła się odrobinę za mocno, żeby spojrzeć na drogę.

Niezależnie od przyczyny, na zakręcie jedna strona pojazdu lekko się uniosła i Mary spadła

pod koła. Złamała kark i zmarła niemal natychmiast.

Mary Ward była pierwszą w historii świata ofiarą wypadku samochodowego.

Była pionierem na wiele sposobów, ale nie zawsze można sobie wybrać to, w czym się będzie pierwszym. Ocenia się, że w dzisiejszych czasach rocznie ginie w wypadkach samochodowych milion trzysta tysięcy osób. Przyszłość wciąż nadciąga szybciej, niż się spodziewaliśmy, a my wciąż usiłujemy ją przewidzieć.

Na przykład w roku 1825 magazyn „Quarterly Review" prognozował, że pociągi nie mają przyszłości. „Cóż zabawniejszego i bardziej absurdalnego niż przypuszczenie, że lokomotywy będą jeździć dwa razy szybciej od dyliżansów?", pytano.

Kilka lat później, w 1830 roku, William Huskisson, członek brytyjskiego parlamentu i były minister stanu, uczestniczył w otwarciu linii kolejowej Liverpool–Manchester. Jechał z Liverpoolu do Manchesteru wraz z księciem Wellingtonem i wieloma innymi dygnitarzami. Zatrzymali się w połowie drogi, żeby lokomotywa mogła nabrać wody, i, pomimo zakazu, wielu pasażerów wysiadło z pociągu. Huskisson

postanowił pójść do księcia Wellingtona, by uścisnąć mu dłoń i załagodzić dawny spór – i dlatego stał na drugich torach, gdy akurat pędziła po nich słynna Rakieta George'a Stephensona. Pasażerów ostrzeżono, żeby zeszli z drogi nadjeżdżającego pociągu, ale Huskisson, nieobeznany z nową sytuacją, spanikował i nie mógł się zdecydować, co zrobić. W końcu, zamiast po prostu stanąć z innymi pasażerami po drugiej stronie torów, spróbował wsiąść do wagonu Wellingtona. Drzwi, których się desperacko trzymał, otworzyły się na całą szerokość i w ten sposób Huskisson znalazł się na drodze Rakiety. Tak oto William Huskisson został jedną z pierwszych śmiertelnych ofiar wypadku kolejowego.

W roku 1871 Alfred Nobel powiedział o swoim wynalazku: „Mój dynamit lepiej przyczyni się do pokoju niż tysiąc światowych kongresów. Mam nadzieję, że w dniu, w którym dwie armie będą mogły w ciągu jednej sekundy obrócić się nawzajem w perzynę, wszystkie cywilizowane narody zaprzestaną wojen i rozwiążą swe wojska".

W 1873 roku nastąpił krach na giełdzie wiedeńskiej, gdy pękła bańka spekulacyjna, co

zapoczątkowało wieloletni światowy kryzys gospodarczy.

Kilka lat po Noblu, w 1877 roku, Richard Gatling, wynalazca kartaczownicy, nazwanej jego imieniem, napisał do przyjaciela, że ma nadzieję, iż jego wynalazek otworzy nową, humanitarną epokę działań zbrojnych. Napisał, że pracę nad nim rozpoczął po tym, gdy „prawie codziennie widziałem żołnierzy wysyłanych na front i powrót rannych, chorych i martwych. (…) Przyszło mi na myśl, że gdybym wynalazł maszynę – broń – która dzięki szybkości ognia umożliwi jednemu człowiekowi wykonanie na polu bitwy tyle co setka ludzi, to w ogromnym stopniu zastąpiłoby konieczność tworzenia wielkich armii, i w konsekwencji ludzie byliby mniej narażeni na bitwy i choroby”.

W tym samym roku Carl Orton, prezes przedsiębiorstwa Western Union, odrzucił propozycję Alexandra Grahama Bella, który chciał mu odsprzedać prawa do telefonu. „Po co tej firmie elektryczna zabawka?”, powiedział.

W 1888 roku członkowie grupy metodystycznych misjonarzy w Chicago potrzebowali pieniędzy i wpadli na pomysł, który nazwali „wędrującą puszką” – rozesłali półtora tysiąca listów z prośbą o datki w wysokości

dziesięciu centów i o przekazanie kopii tego listu trzem znajomym osobom. Zarobili ponad sześć tysięcy dolarów, chociaż niejeden adresat mocno się złościł, gdy po raz kolejny dostawał list. Tak oto narodził się łańcuszek szczęścia.

W 1897 roku wybitny brytyjski naukowiec lord Kelvin przepowiadał, że „radio nie ma przyszłości". W tym samym roku „New York Times" wychwalał skonstruowany przez Hirama Maxima automatyczny karabin maszynowy jako broń tak straszną, że zapobiegnie wybuchowi wojen, i nazwał ją „koszmarnym wynalazkiem tworzącym i wspierającym pokój".

W 1902 roku wybitny brytyjski naukowiec lord Kelvin stwierdził w wywiadzie, że lot transatlantycki jest niepodobieństwem i że „żaden balon i żaden aeroplan nigdy nie odniesie sukcesu". Bracia Wright odbyli swój pierwszy lot półtora roku później. Orville Wright w liście z 1917 roku wspominał: „Kiedy wraz z bratem zbudowaliśmy pierwszą machinę latającą, myśleliśmy, że wkraczamy w świat innowacji, które sprawią, że kolejne wojny będą już praktycznie niemożliwe. Nie byliśmy w tym odosobnieni, o czym świadczy fakt, że francuskie stowarzyszenie pokojowe nagrodziło nas medalami za nasz wynalazek".

W 1908 roku porucznik Thomas Selfridge brał udział, jako pasażer, w pokazowym locie pilotowanym przez Orville'a Wrighta. Po piątym okrążeniu bazy wojskowej Fort Myer w Wirginii złamało się śmigło i samolot runął na ziemię. Selfridge został pierwszą w historii ofiarą wypadku lotniczego (Wright przeżył).

W 1912 roku Guglielmo Marconi, wynalazca radia, przewidywał, że „nadchodząca era łączności bezprzewodowej zapobiegnie wojnom, ponieważ sprawi, że staną się one niedorzeczne". Dwa lata później wybuchła wojna.

Szesnastego października 1929 roku Irving Fisher, wybitny ekonomista z Yale, oznajmił, że „ceny akcji osiągnęły stabilny poziom". Osiem dni później doszło do krachu na światowej giełdzie, gdy pękła bańka spekulacyjna napędzana przez łatwo dostępne kredyty. Światowa recesja gospodarcza trwała wiele lat; w następstwie kryzysu finansowego wyborcy w wielu krajach demokratycznych zwrócili się ku populistycznym autorytarnym politykom.

W 1932 roku Albert Einstein przepowiadał, że „nie ma najmniejszego dowodu, że [energia jądrowa] będzie kiedykolwiek dostępna".

W 1938 roku, gdy brytyjski premier Neville Chamberlain wrócił do Wielkiej Brytanii po

podpisaniu z Adolfem Hitlerem porozumienia, obwieścił, że to „pokój dla naszych czasów”, po czym dodał: „Idźcie do domu i połóżcie się spać”. W 1939 wybuchła wojna.

W 1945 roku Robert Oppenheimer, który kierował projektem budowy bomby atomowej w Los Alamos, napisał: „Jeśli ta broń nie przekona ludzi do położenia kresu wojnom, to nie dokona tego nic, co kiedykolwiek wyjdzie z laboratorium”. Na przekór jego nadziejom – i nadziejom Nobla, Gatlinga, Maxima i Wrighta – wciąż mamy wojny, chociaż przynajmniej jeszcze nie mieliśmy wojny jądrowej (w każdym razie, gdy to piszę), więc może Oppenheimer wygrywa na punkty.

W 1966 roku wybitny konstruktor Richard Buckminster Fuller prognozował, że do roku 2000 „powszechny dostatek doprowadzi do stopniowego zaniku polityki”.

W 1971 roku rosyjscy kosmonauci, Gieorgij Dobrowolski, Wiktor Pacajew i Władisław Wołkow stali się pierwszymi ludźmi, którzy zmarli w kosmosie. Nastąpiło to wskutek gwałtownej dekompresji podczas powrotu statku Sojuz 11 ze stacji kosmicznej.

W 1977 roku Ken Olson, założyciel Digital Equipment Corporation, przepowiadał, że

informatyka zawsze będzie przemysłem niszowym, bo jak stwierdził: „Nie ma powodu, żeby ktoś chciał mieć w domu komputer”. W 1978 roku Gary Thuerk, kierownik działu marketingu Digital Equipment Corporation, rozesłał do około czterystu odbiorców wiadomość reklamującą produkty firmy – przez sieć Arpanet, jednego z prekursorów internetu. Był to pierwszy w świecie spam (udało się: dzięki tej kampanii e-mailowej firma sprzedała komputery warte miliony dolarów).

W 1979 roku Robert Williams, pracownik zakładów Forda w Michigan, został pierwszą osobą w historii zabitą przez robota.

W grudniu 2007 roku komentator finansowy Larry Kudlow napisał w „National Review”: „Nie będzie żadnej recesji. Pesymiści się mylą. Nic się nie stanie. (…) Bum Busha żyje i ma się dobrze. Tak, to wciąż jest największa historia, jaka nigdy nie zostanie opowiedziana”. W grudniu 2007 roku rozpoczęła się w gospodarce amerykańskiej recesja (w czasie gdy to piszę, Larry Kudlow pełni obowiązki dyrektora w Krajowej Radzie Gospodarczej Stanów Zjednoczonych). W 2008 roku na giełdach światowych nastąpił krach, gdy pękła bańka spekulacyjna napędzana przez łatwo dostępne kredyty. Światowa recesja

gospodarcza trwała wiele lat; w następstwie kryzysu finansowego wyborcy w wielu krajach demokratycznych zwrócili się ku populistycznym autorytarnym politykom.

W sierpniu 2016 roku na syberyjskim Półwyspie Jamalskim zmarł pewien dwunastoletni chłopiec, a co najmniej dwadzieścia innych osób z grupy koczowniczych hodowców reniferów zostało hospitalizowanych, ponieważ zaraziły się bakterią wąglika. W tym regionie bakteria wąglika nie dawała o sobie znać od siedemdziesięciu pięciu lat; do epidemii doszło w czasie letniej fali gorąca, kiedy temperatura przekroczyła o dwadzieścia pięć stopni średnią dla tego obszaru. Fala gorąca spowodowała rozmarzanie wiecznej zmarzliny, wraz z ciałami reniferów, które padły podczas poprzedniej epidemii, w 1941 roku.

Patogeny mogą przetrwać w lodzie – żywe, w hipostazie – przez dziesiątki, setki, może tysiące lat. Choroba trwała uśpiona, w ujemnych temperaturach, od czasów, kiedy rosyjska zima pokonała armię Hitlera, i czekała na stopienie się lodowej klatki. Nastąpiło to w roku 2016 (najgorętszym w historii prowadzenia pomiarów), gdy ocieplenie po raz kolejny

uwolniło bakterie, które uśmierciły ponad dwa tysiące reniferów, zanim przeniosły się na ludzi.

Chciałoby się powiedzieć, że nikt nie mógłby przewidzieć tak przewrotnej katastrofy, ale pięć lat wcześniej dwóch naukowców prognozowało, że w miarę ocieplania się klimatu marzłoć będzie stopniowo tajać i uwalniać długo nieobecne w dziejach choroby. Wraz ze wzrostem temperatur ten proces będzie się nasilał, z ciekawym efektem przewijania historii wstecz – do czasów sprzed Thomasa Midgleya, ciężko pracującego w laboratorium, sprzed Eugene'a Schieffelina, otwierającego klatki w parku, sprzed Williama Patersona, marzącego o imperium – i odkręcaniem skumulowanych skutków rewolucji przemysłowej. Nie wiemy, ilu ludzi zmiana klimatu zabije w obecnym stuleciu, nie wiemy, w jaki sposób zmieni ona nasze społeczeństwo, ale wiemy, że co najmniej jedna z jej ofiar zmarła, ponieważ niezamierzoną konsekwencją naszych decyzji jako gatunku było przywołanie „zombie wąglika" z grobu. Prawdopodobnie chłopiec nie będzie ostatnią ofiarą.

Siódmego maja 2016 roku – nieco mniej niż półtora stulecia po tym, jak Mary Ward w pechowy letni poranek wybrała się na

przejażdżkę – niejaki Joshua Brown jechał w pobliżu miasta Williston na Florydzie swoją teslą model S, w trybie autopilota. Późniejsze śledztwo wykazało, że w ciągu trzydziestu siedmiu minut jazdy trzymał ręce na kierownicy ledwie przez dwadzieścia pięć sekund – przez resztę czasu polegał na automatycznym systemie prowadzenia auta. Kiedy ciężarówka zajechała mu drogę, nie zauważył jej ani on, ani oprogramowanie, i doszło do zderzenia.

Tak oto Joshua Brown jako pierwsza osoba na świecie zginął w wypadku samochodu prowadzonego przez autopilota.

Witajcie w przyszłości.

Epilog

Jak spieprzyć przyszłość

W kwietniu 2018 roku ogłoszono, że w Australii znów zostanie uruchomiona zamknięta wcześniej elektrownia węglowa. To niezwykłe z oczywistych powodów – gdy świat próbuje powoli odwracać się od wywołujących zmiany klimatyczne paliw kopalnych, otwieranie elektrowni węglowej musi wydawać się dziwne – ale jeszcze bardziej niezwykła jest przyczyna podjęcia takiej decyzji. Elektrownia ma zapewniać tanią energię kopalni kryptowalut.

Najbardziej znaną kryptowalutą jest bitcoin, ale ten ekosystem się powiększa, gdyż firmy wypuszczają nowe kryptowaluty w tempie wykładniczym, mając nadzieję zarobić na dzikiej walce o cyfrowe pieniądze. Te waluty nie są „kopane” jak, powiedzmy, złoto. Są oparte na technologii zwanej *blockchain* (łańcuch bloków), gdzie każda wirtualna moneta ma nie tylko symboliczną wartość, lecz jest również rejestrem transakcji. Ich tworzenie oraz obsługa coraz bardziej skomplikowanych rejestrów wymaga znacznej mocy obliczeniowej, co oznacza

zużywanie energii w szaleńczym tempie, i to samo odnosi się do kopalń kryptowalut.

Kryptowaluty nie mają wartości samoistnej i z założenia żaden organ centralny nie kontroluje ich powstawania ani przepływu. Ich jedynym czynnikiem ograniczającym jest koszt obliczeń, jakie trzeba wykonać, żeby je tworzyć i wymieniać. Ale wiara niektórych ludzi, że są walutą przyszłości, prowadzi do tego, że ich wartość rośnie, chociaż z racji braku kontroli jest niestabilna, całkowicie zależna od tendencji rynkowych. To przykład klasycznej manii spekulacyjnej, z bańkami tworzącymi się i pękającymi, gdy hossa się kończy i nikt nie chce znaleźć się wśród tych, którzy zostają z nagle pozbawionym wartości pakietem.

I jak większość manii, ta również ma wpływ na świat realny. Nie chodzi tylko o otwarcie elektrowni w Australii: na wiejskich terenach Ameryki, sto siedemdziesiąt lat po gorączce złota, która gnała na zachód ludzi skuszonych wizją bogactwa, wybuchła nowa gorączka. Tania energia, niskie koszty wynajmu i przestrzeń do budowania – to wszystko ściąga firmy, które inwestują setki milionów dolarów, aby tworzyć ogromne, prądożerne kopalnie w miasteczkach stanów Waszyngton, Montana, Newada i innych.

Mieszkańcy jednego z miast, do którego wprowadzili się poszukiwacze złota dwudziestego pierwszego wieku, narzekają, że trwający przez całą dobę ryk serwerów nie daje im spać, negatywnie wpływa na zdrowie i działa odstraszająco na lokalną faunę.

Jeden z szacunków przewiduje, że do końca 2018 roku wydobycie bitcoinów zużyje tyle energii, ile zużywa jej cała Australia.

Ta książka mówiła o porażkach i błędach, jakie popełniliśmy w przeszłości. Ale co z błędami popełnianymi teraz i tymi, które popełnimy w nadchodzących latach? W jakiej formie objawi się nasza głupota w przyszłości?

Przepowiadanie, jak wykazaliśmy, jest niezawodnym sposobem na to, by zrobić z siebie idiotę w oczach późniejszych historyków. Może przyszłe dziesięciolecia i stulecia pokażą, że ludzkość popełnia całe serie zupełnie nowych, oryginalnych błędów; może znajdziemy jakąś drogę, żeby wcale ich nie popełniać. Ale gdyby chcieć pójść o zakład, najrozsądniej byłoby postawić na to, że prawdopodobnie będziemy powielać błędy przeszłości.

Zacznijmy więc od rzeczy oczywistych.

Ze wszystkiego, czym tak beztrosko zatruwamy środowisko na zasadzie „a co to

komu szkodzi”, to węgiel, radośnie spalany od początków rewolucji przemysłowej, ma największe szanse, żeby zepsuć nam zabawę.

Człowiek może doprowadzać do zmian klimatycznych, będących potencjalnym zagrożeniem dla wielu społeczeństw i wielu aspektów cywilizacji, co jest na tyle uznanym faktem naukowym, że ponowne przytaczanie dowodów wydaje się nudne. Dawno minęliśmy punkt, kiedy ten fakt może okazać się kolejną pomyłką i przyczyną późniejszego zażenowania, jak poliwoda albo promieniowanie N. A jednak są ludzie, którzy mają powody temu przeczyć – finansowe, polityczne, wynikające z czystej złośliwej przekory – żeby zatrzymać nas na etapie debatowania „czy to prawdziwe?”, zamiast pozwolić nam ruszyć naprzód i przejść do etapu „naprawdę trzeba coś z tym zrobić”. Mniej więcej takiej strategii używali producenci paliwa: wystarczy z uporem twierdzić, że za wcześnie na jednoznaczną ocenę, i dalej zbijać kokosy.

Tak więc zbiorowo puszczamy mimo uszu ostrzeżenia, chociaż powinniśmy ganiać w panice, jakby palił się nasz dom… bo w sumie taka jest prawda. W obecnym stuleciu mieliśmy siedemnaście z osiemnastu najcieplejszych lat od początku prowadzenia pomiarów. W kwietniu

2018 roku po raz pierwszy w naszej epoce geologicznej stężenie dwutlenku węgla w atmosferze przekroczyło próg czterystu dziesięciu cząstek na milion. Poprzednim razem było wyższe tylko w okresie ocieplenia w plejstocenie, około trzech milionów dwustu tysięcy lat temu – w czasie gdy Lucy spadała ze swojego drzewa. A jeśli myślisz: no dobra, skoro już kiedyś też było takie wysokie, to nie może być źle – śpieszę dodać, że w owym czasie poziom morza był prawie dwadzieścia metrów wyższy niż dzisiaj.

Aha, dwutlenek węgla powoduje nie tylko zmianę klimatu. Część CO_2 jest pochłaniana przez ocean. Dobra wiadomość, prawda? Okazuje się, że wcale nie. Woda morska ma odczyn lekko alkaliczny, ale im większa absorpcja CO_2, tym większe zakwaszenie, a wzrost kwasowości prowadzi do efektu domina, który obejmuje całe życie morskie, od maleńkich mięczaków po wielkie ryby.

Aha, sytuacja się pogarsza, jeśli następuje to w połączeniu z ociepleniem oceanów. A oceany się ocieplają. Jeśli chcesz przykładu, że źle się dzieje, spójrz na Wielką Rafę Koralową – jeden z prawdziwych cudów prawdziwego świata przyrody – która umiera w alarmującym tempie.

Dwa kolejne lata intensywnego „blaknięcia” oznaczają śmierć korali na kolejnych wielkich częściach rafy.

Ludzie… chyba trochę spieprzyliśmy sprawę.

Oczywiście, to nie jedyna katastrofa, ku jakiej zmierzamy energicznie i zdecydowanie. Dajemy sobie wybór. Dla przykładu: w maju 2018 roku doniesiono, że naukowcy wykryli gwałtowny wzrost emisji freonu. Gdzieś na świecie, prawdopodobnie w Azji, ktoś znowu zaczął produkować rzekomo zakazany wynalazek Thomasa Midgleya. To może oznaczać cofnięcie się regeneracji powłoki ozonowej o dziesięć lat. Dobra robota na froncie uczenia się na błędach.

Albo weźmy oporność na antybiotyki. Odkrycie antybiotyków i innych leków przeciwdrobnoustrojowych było jednym z największych dokonań dwudziestego wieku, ratującym życie rzeszom ludzi. Ale postępując podobnie jak mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej ścinający swoje drzewa, używaliśmy tych leków zbyt wiele, zbyt często. Za każdym razem, gdy bierzemy antybiotyk, rośnie ryzyko, że jeden mikrob okaże się oporny – i wtedy zabijemy tylko konkurencję. To przyśpieszona ewolucja, gdyż wskutek naszych poczynań powstają nowe szczepy opornych na antybiotyki superzarazków,

które mogą sprawić, że powrócą wszystkie dawne choroby (i nawet nie trzeba rozmrażać tundry, żeby to się stało).

Dlatego też na świecie szybko zaczyna brakować skutecznych antybiotyków – część problemu polega na tym, że antybiotyki po prostu przynoszą za mały zysk, żeby koncerny farmaceutyczne inwestowały w badania nad tworzeniem nowych. Szacuje się, że już siedemset tysięcy ludzi umiera rocznie z powodu infekcji bakteriami opornymi na antybiotyki.

A może przyczyną naszego upadku będzie to, że podejmowanie decyzji zlecimy algorytmom komputerowym, w nadziei że zrobią to lepiej i mądrzej od nas, a my nie będziemy niczemu winni, gdy się pomylą. Algorytmy kontrolujące samochody autonomiczne to tylko jeden przykład; inne decydują, jakie akcje kupić i sprzedać, jakie wiadomości widzimy w mediach społecznościowych i na ile jest prawdopodobne, że ktoś skazany za jakieś przestępstwo znów je popełni. Lubimy myśleć, że algorytmy będą bardziej racjonalne niż ludzie, w rzeczywistości równie dobrze mogą powielać i potęgować wszystkie nasze uprzedzenia i fałszywe przesłanki, jakie do nich wprowadzimy.

Obawy związane z przerzucaniem decyzji na komputery wcale się na tym nie kończą. Badania nad sztuczną inteligencją postępują w szybkim tempie. Jeśli zdołamy stworzyć sztuczną inteligencję przewyższającą ludzką, możemy się mylić, przewidując, że opowie się po naszej stronie. Może zacząć nami sterować według własnych celów, może nas uznać za zagrożenie i zniszczyć, może stwierdzić, że ludzie nie są ważni, i skończymy jako surowiec do produkcji jak największej ilości spinaczy albo czegokolwiek innego, co jej zleciliśmy. Perspektywa, że możemy się katapultować w niebyt, wydaje się odległa, ale niepokojąco wielu podobno mądrych ludzi bierze ją całkiem na poważnie.

A może, zanim któraś z tych prognoz będzie miała szansę się spełnić, po prostu rozpętamy wojnę nuklearną i taki będzie nasz koniec.

A może nasz ostateczny błąd nie będzie taki dramatyczny. Może bez żadnych fajerwerków po prostu skażemy się na gównianą przyszłość przez nasze lenistwo. Odkąd wyzwoliliśmy się z więzów grawitacji, wkraczając w erę kosmiczną, podejście do niepotrzebnych rzeczy w kosmosie jest mniej więcej takie samo jak na Ziemi: po prostu je wyrzucamy. W końcu kosmos jest bardzo duży, więc jakie to ma znaczenie?

I tutaj wkracza syndrom Kesslera. W 1978 roku naukowiec pracujący dla NASA, Donald Kessler, przewidywał taką sytuację, co jednak nie powstrzymało nas przed wyrzucaniem śmieci w przestrzeń kosmiczną. Problem polega na tym, że gdy wyrzuca się śmieci w kosmosie, one zostają tam – i krążą, zachowując mniej więcej taką samą prędkość i trajektorię jak to, z czego zostały wyrzucone. I czasami zderzają się z innymi śmieciami.

Kłopot w tym, że z powodu prędkości kolizja jest niesłychanie niszczycielska. Zderzenie z maleńkim obiektem może być katastrofalne w skutkach dla satelity czy stacji kosmicznej i spowodować powstanie milionów nowych odłamków, które będą doprowadzać do następnych kolizji. Kessler przewidywał, że gdy zaśmiecanie przestrzeni kosmicznej przekroczy punkt krytyczny, wówczas nastąpi efekt lawinowy, aż w końcu naszą planetę otoczy chmura pędzących z ogromną prędkością śmieciowych pocisków. Wynik: satelity staną się bezużyteczne, a loty kosmiczne śmiertelnie niebezpieczne. Zostaniemy, skutecznie, z powrotem przykuci do Ziemi.

Pod pewnymi względami byłby to dziwnie poetycki koniec podróży, którą eony temu

rozpoczął upadek Lucy. Po tysiącach lat eksploracji, postępu, wszystkich naszych marzeń i szlachetnych pobudek – oto gdzie kończymy: zamknięci na naszej planecie, w więzieniu zbudowanym z własnych śmieci.

Cokolwiek przyniesie nam przyszłość, jakiekolwiek zaskakujące zmiany nastąpią w przyszłym roku, w przyszłym dziesięcioleciu, w przyszłym stuleciu, wydaje się prawdopodobne, że będziemy robić zasadniczo te same rzeczy. Będziemy obwiniać innych za nasze niedole i konstruować misterne wyimaginowane światy, żebyśmy nie musieli myśleć o własnych grzechach. W następstwie kryzysów gospodarczych będziemy zwracać się ku populistycznym przywódcom. Będziemy walczyć o pieniądze. Będziemy ulegać gromadomyśleniu, maniom i efektowi potwierdzenia. Będziemy sobie wmawiać, że nasze plany są dobrymi planami i że nie ma szans, by coś poszło źle.

A może… a może nie? Może nadeszła chwila, żeby się zmienić i zacząć uczyć się na błędach przeszłości. Może tylko przemawia przeze mnie pesymizm, może bez względu na to, jaki durny i przygnębiający czasami wydaje się świat, w rzeczywistości ludzkość staje się mądrzejsza

i bardziej oświecona i mamy na tyle dużo szczęścia, że żyjemy u zarania nowej epoki niepopełniania błędów. Może naprawdę potrafimy stać się lepsi.

Może pewnego dnia wdrapiemy się na drzewo i nie spadniemy.

Podziękowania

Nie napisałbym tej książki bez pomocy wielu ludzi. Dziękuję przede wszystkim mojemu agentowi, Antony’emu Toppingowi, bez którego, bardzo dosłownie, nie ruszyłbym z miejsca. Praca z Alexem Clarkiem, Kate Stephenson, Ellą Gordon, Becky Hunter, Robertem Chilverem i całym zespołem z Headline była dla mnie wielką przyjemnością i bardzo przepraszam za niedotrzymywanie terminów. Chciałbym również podziękować Willowi Moyowi i cudownym ludziom z Full Fact, między innymi za długie czekanie.

Moi bliscy – rodzice Don i Colette oraz brat Ben, historyk – służyli mi bezwarunkową pomocą. Hannah Jewell dała mi inspirację do napisania zabawnej książki historycznej, przenikliwość i wspólne rozumienie duchów. Kate Arkless-Gray zapewniła mądrą radę, życzliwe ucho i co najważniejsze, fantastyczną

okazję, by zaopiekować się jej domem. Maha Atal i Chris Applegate oferowali stymulujące dyskusje i liczne sugestie, podobnie jak Nicky Reeves. Muszę podziękować również historykom z Twittera za to, że byli niezawodnie wielcy i pomocni, w szczególności Gregowi Jennerowi (którego luźno sparafrazowałem na stronie 19) i Fern Riddell; proszę, ich książki też kupcie. Damian i Holly Kahya, James Ball, Rose Buchanan, Amna Saleem i wielu innych podsuwało mi mądre słowa i piwo. Spotkania z Kelly Oakes w czasie pierwszych etapów pisania dały mi dokładnie taką motywację, jakiej potrzebowałem. Chciałbym podziękować Tomowi Chiversowi za lunch, przy którym się nie spotkaliśmy, za co przepraszam. Kiedy pisałem tę książkę, zespół CHVRCHES wydał mocny album – włączam ich tutaj tylko w nadziei, że kogoś roztargnionego przyciągnie nazwa, ale nie wniknie w kontekst i tym samym nie pomyśli, że moje życie jest znacznie bardziej olśniewające, niż jest. Na tej samej zasadzie dziękuję również Beyoncé, Cate Blanchett i Duchowi Davida Bowiego.

Nie trzeba mówić, że wszystkie błędy w tej książce są moją winą i że nikt nie powinien ich powielać. Z wyjątkiem Ducha Davida Bowiego.

Do dalszej lektury

Przyznam, że pisząc pewne fragmenty, korzystałem z wielu książek (niektóre wymieniłem już w tekście). Wszystkie są warte przeczytania, bo pozwolą głębiej wniknąć w różne kwestie i wydarzenia, które przedstawiłem tu jedynie w zarysie.

Książka *Pułapki myślenia. O myśleniu szybkim i wolnym* Daniela Kahnemana była wspomniana w części o dziwactwach procesów poznawczych i jest ona podstawą zrozumienia, jak funkcjonuje nasz umysł. *A Colorful History of Popular Delusions* Roberta E. Bartholomew to doskonała lektura o maniach, szaleństwach, przelotnych modach i panikach.

Wspomniany w tekście *Upadek* Jareda Diamonda jest podstawowym źródłem informacji o Wyspie Wielkanocnej (co więcej, wpływ autora widać w całym rozdziale).

Biografia *Hitler. Narodziny zła 1889–1939* Volkera Ullricha była źródłem znacznej części materiału o Hitlerze (fani eleganckich literackich subtweetów rozpoznają główną myśl spektakularnej recenzji tej książki, napisanej przez Michiko Kakutani).

Kolejną pozycją, do której kilka razy tu nawiązałem, jest *The Price of Scotland: Darien, Union and the Wealth of Nations* Douglasa Watta – wnikliwa i szczegółowa analiza głupoty Williama Patersona.

Pozycje *Genghis Khan: The Man Who Conquered the World* Franka McLynna oraz *Genghis Khan and the Making of the Modern World* Jacka Weatherforda były ważne w rozdziale o Imperium Chorezmijskim.

Na koniec brawa dla dwóch książek, które już wcześniej stąpały po podobnym gruncie: *Mistakes that Changed History: Backfires and Blunders That Collapsed Empires, Crashed Economies, and Altered the Course of Our World* Billa Fawcetta i *The Mammoth Book of Losers* Karla Shawa – obie były dla mnie niezrównaną lekturą i dzięki nim dowiedziałem się o kilku wybornych wpadkach, o których przedtem nie słyszałem.

Przypisy

[1] Piosenka The Beatles *Lucy in the Sky with Diamonds*.

[2] *You only live once* (ang.) – żyje się tylko raz.

[3] Przełożył J. Paszkowski.

[4] Gra słów: (ang.) *doge* – doża; *dog* – pies; w memach polskich: Pieseł.

[5] Zatruci neurotoksyną robotnicy zachowywali się tak, jakby łapali albo odpędzali latające motyle.